

Kurier Galicyjski skończył 5 lat



W pierwszym numerze, który ukazał się 15 sierpnia 2007 roku napisaliśmy:

„Jesteśmy pismem w pełni niezależnym. Choć zrzeszamy ludzi o różnych poglądach i przynależności organizacyjnej, programowo nie jesteśmy i nie chcemy być organem żadnej organizacji. Taka jest formuła wolnej prasy i zasady tej chcemy dotrzymać. Jesteśmy natomiast otwarci na współpracę ze wszystkimi środowiskami, organizacjami i innymi zrzeszeniami polskimi i nie tylko polskimi, choć te pierwsze mają dla nas, ze zrozumiałych względów, znaczenie pierwszoplanowe. Zawsze chętnie będziemy przedstawiać ich dokonania i problemy. Chcemy przy tym współpracować ze wszystkimi, którym drogie jest słowo polskie i polska kultura. Niezależnie od ich przynależności organizacyjnej, narodowości, wyznania. Szanujemy i chcemy przedstawiać na łamach naszego pisma kulturę, dokonania narodów i środowisk, żyjących razem z nami na tej ziemi.

Czerpiemy ducha z tej „jagiellońskiej mozaiki”, tak jak czynili to przodkowie nasi w dawnej Rzeczypospolitej. Dlatego też będziemy wspierać oparte na prawdzie porozumienie pomiędzy narodem polskim i ukraińskim. Uważamy, że jest ono racją stanu Polski i Ukrainy. Tak, jak racją stanu jest wspólna europejska droga. Łamy naszego pisma są otwarte dla wszystkich”.

Po pięciu latach ta deklaracja nie straciła nic na swojej aktualności. W tym czasie gazeta nasza zwiększyła swoją objętość i znacznie zwiększyła nakład. Dziś Kurier Galicyjski to nie tylko drukowany dwutygodnik. To także codzienny portal informacyjny www.kuriergalicyjski.com, na którym od 15 lutego br., kiedy ruszył w nowej postaci, pojawiło się ponad 1000 artykułów. To wreszcie polsko-ukraiński Klub Galicyjski i przygotowywany dwujęzyczny kwartalnik i portal „Wolni z Wolnymi”. Wkrótce ujrzy też światło dzienne dodatek dla dzieci – „Polak Mały”. Kurier Galicyjski to także organizator corocznych polsko-ukraińskich konferencji, organizowanych

wspólnie z ukraińskimi uniwersytetami. Konferencje te weszły już do kalendarza najbardziej liczących się wydarzeń na tym polu. Kurier Galicyjski stał się też inicjatorem wielu innych przedsięwzięć jak np. wystawy czy stałe audycje radiowe dla Polaków w Lwano-Frankowsku.

W ciągu pięciu lat udało nam się stworzyć platformę wymiany myśli pomiędzy środowiskami polskimi na Ukrainie i nie tylko polskimi. Udało się nam też zbudować pomost pomiędzy środowiskami w Kraju i poza nim – na Wschodzie. Wokół podejmowanych przez nas inicjatyw powstało środowisko ludzi różnych narodowości, których wspólnym mianownikiem jest otwartość, niechęć do stereotypów, a także gotowość do działania i współpracy.

Nic z tego, co wymieniliśmy, nie wydarzyłoby się bez Was, drodzy Czytelnicy i Współpracownicy. Dziękujemy Wam za życzliwość, wsparcie, wierność i wytrwałość.

Redakcja Kuriera Galicyjskiego

W poszukiwaniu Dzikiego Stepu s. 17



Eros w Legionach s. 28



Jak powstał konsulat RP we Lwowie s. 6
Bezgraniczny cynizm władzy s. 23

15 sierpnia na Cmentarzu Orłąt

15 sierpnia, w dniu Święta Wojska Polskiego, w dniu Cudu nad Wisłą, polska społeczność Lwowa oddała hołd bohaterom, spoczywającym na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Na płycie Nieznanego Żołnierza, wiązaną kwiatów w imieniu konsulatu generalnego RP we Lwowie złożył Andrzej Drozd, z-ca konsula generalnego grupa harcerzy z Kluczborka oraz przedstawiciele organizacji polskich we Lwowie.



KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcie

Konsul Drozd udzielił krótkiej wypowiedzi dla czytelników Kuriera: „Jest to piękna tradycja, ponieważ dzisiejszy dzień jest Świętem Wojska Polskiego, historii Wojska Polskiego, wszystkich bitew stoczonych przez żołnierzy polskich na przestrzeni wieków. W związku z tym jest to bardzo symboliczne święto. Z drugiej strony, tradycja obchodów tego Święta na Cmentarzu Orłąt jest niezwykle ważną i symboliczną, ponieważ spoczywa tutaj około 3000 żołnierzy, którzy polegli w nierównej, choć zwycięskiej bitwie z wrogiem. Te dni przeszły do historii jako zryw bohaterstwa – i tak to należy ocenić. Dlatego myślę, że połączenie tych dwu elementów jest dobrym połączeniem”.

Rozmawialiśmy też z harcerzami z Kluczborka, którzy wzięli udział w uroczystościach. Kapelan tej grupy, ks. harcmistrz Daniel Maksymowicz zaznaczył: „Jest to już nasza dziesiąta wizyta na Kresach. Naszym zadaniem jest porządkowanie zapomnianych cmentarzy polskich na tych terenach. Głównie jeździliśmy do Brzeżan, ale w tym roku jesteśmy we Lwowie i mamy zamiar porządkować kwatery wojskowe na Cmenta-

rze Janowskim. Dziś jesteśmy tutaj. Ilekroć jesteśmy na Kresach zawsze odkrywamy dla siebie coś nowego. Głównym miejscem naszych wizyt są Brzeżany. Za każdym naszym pobylem odkrywamy jakiś nowy nagrobek, jakiś pomnik. Są to fragmenty naszej historii, które są wygrzebywane dosłownie spod krzaków, spod ziemi, spod zarośli. Nasza grupa składa się z trzonu – stałych uczestników grupy, a do nich dochodzą co roku osoby nowe, młode i to nas cieszy”.

Do rozmowy dołączyła się harcmistrzyni Anna Sochocka: „Jest to chyba już piąta moja wizyta na Ukrainie i za każdym razem jestem tu na Cmentarzu Orłąt. Jednak najbardziej w pamięci utkwiła mi wizyta w 2011 roku, gdy harcerstwo obchodziło swój jubileusz 100-lecia. Tu na cmentarzu była kulminacja obchodów. Była to dla nas niezwykle ważna i wzruszająca uroczystość”.

Uroczystościom sprzyjała nawet pogoda. W chwili złożenia wieńców deszcz przestał na chwilę padać i na moment zaświeciło słońce. Po uroczystościach znów zrobiło się szaro i deszczowo.


ISSN 1996-2304



9 771996 230009

Prasa polska o Ukrainie

wybrał i opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

 Na Ukrainie startowała kampania wyborcza przed wyborami parlamentarnymi w październiku. Zetrze się w nich Partia Regionów prezydenta Wiktora Janukowycza z opozycją, której symbolem jest odsiadująca siedem lat więzienia b. premier Julia Tymoszenko.

Zjazd partii Batkiwszyna (Ojczyzna), stronnictwa Tymoszenko, przyznał jej pierwsze miejsce na swej liście wyborczej, nie zważając na to, że opozycyjna polityka jako osoba karana nie może kandydować w wyborach. Numerem jeden na liście Partii Regionów jest premier Mykoła Azarow, bliski współpracownik Janukowycza.

Zgodnie z wynikami przeprowadzonych w marcu badań socjologicznych Partia Regionów mogłaby liczyć w wyborach na 18,2 proc. głosów. Batkiwszyna cieszyła się wówczas poparciem 19,6 proc. wyborców. Eksperti, którzy komentowali ten sondaż, wskazywali, że jeśli ugrupowanie byłej premier stworzyło koalicję z innymi formacjami opozycyjnymi, m.in. z Kliczką, Partia Regionów nie byłaby w stanie utrzymać władzy.

Znawcy ukraińskiej sceny politycznej uważają, że październikowe wybory mogą zaowocować konfliktem między ich uczestnikami, ale wątpią, by mimo stałych narzekań na politykę władz i pogarszające się warunki życia na Ukrainie mogło dojść do zrywu społecznego, podobnego do pomarańczowej rewolucji 2004 r.

Komentatorzy na Ukrainie obawiają się, że rozpoczynająca się kampania wyborcza skupi się przede wszystkim właśnie na takich tematach zastępczych. Uważają, że obecna ukraińska klasa polityczna nie jest w stanie odpowiedzieć przed wyborami na pytanie, jak postrzega wizję przyszłego rozwoju swego kraju.

Ukraina: ruszyła kampania przed wyborami do parlamentu. ika 30-07-2012



Przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy Wołodymyr Łytwin podpisał kontrowersyjną ustawę o językach, która faworyzuje język rosyjski i może doprowadzić do wyparcia języka ukraińskiego z oficjalnego użytku w połowie obwodów kraju.

Wypowiadający się przeciwko ustawie Łytwin wyjaśnił, że musiał podpisać przevorsowany w czerwcu przez rządzącą, prezydencką Partię Regionów dokument, gdyż tak nakazuje mu prawo. Opozycja uznała tymczasem, iż Łytwin stał się uczestnikiem przestępstwa, ponieważ głosowanie nad ustawą zostało sfałszowane.

-Ta ustawa nie istnieje. Naruszenia konstytucji, procedur i norm parlamentarnych (przy głosowaniu nad ustawą) były tak wyraźne, że nie ma żadnych podstaw prawnych, by uważać ten stos papierów za akt prawny - napisała w oświadczeniu opozycy-

na partia Batkiwszyna (Ojczyzna) byłej premier Julii Tymoszenko.

Po podpisaniu przez Łytwiną ustawa o podstawach polityki językowej została skierowana do podpisania przez prezydenta Wiktora Janukowycza. - Decyzja prezydenta nie urazi żadnej z grup społecznych: ani ludzi, którzy za język ojczysty uważają ukraiński, ani tych, którzy za język ojczysty uznają język rosyjski, bądź inny - zapewniła doradczyni Janukowycza Hanna Herman.

Jeśli dokument ten wejdzie w życie w regionach, gdzie istnieją duże skupiska mniejszości narodowych (ponad 10 procent miejscowej ludności), dopuszcza się używanie w życiu publicznym języka tych mniejszości. Na mocy nowej ustawy język rosyjski byłby regionalnym językiem w 13 z 27 regionów Ukrainy, w tym w Kijowie i Sewastopolu. Krymsko-tatarski (krymski) stałby się regionalnym językiem na Krymie, węgierski - w regionie zakarpackim, a rumuński - w obwodzie czerniowieckim.

Według ekspertów miejsce języka rosyjskiego w życiu publicznym na Ukrainie jest problemem zarówno społecznym, jak i politycznym. Znaczna grupa obywateli średniego i starszego pokolenia, głównie na wschodzie i południu kraju, nie mówi bowiem ani nie pisze po ukraińsku.

Na Ukrainie podpisano ustawę faworyzującą język rosyjski. p.mal. 31-07-2012



Funkcjonariusze mają dość kierowców patrzących im na ręce podczas kontroli drogowej. Nagrania kierowców, którzy filmowali funkcjonariuszy drogowki (DAI), były pomocne w wykrywaniu afer korupcyjnych wśród milicjantów. Z pracą zegnali się także ci, którzy grozili kierowcom. W Charkowie z milicji odszedł kapitan, który wymachiwał przed kierowcą kijem bejsbolowym. Z pracy został też wyrzucony milicjant, który nie chciał rozmawiać z kierowcą w języku ukraińskim, mówiąc, że „nie rozumie tej cielej mowy”.

Na Ukrainie powstał nawet portal AntyDAI, gdzie były zamieszczone nagrania i opowieści tych, którzy mieli z milicją kłopoty. Ale to ma się skończyć. Milicja ostrzega, że za filmowanie funkcjonariusza bez jego zgody można będzie trafić na 15 dni do aresztu. - Wideo może być prowokacją i próbą wywierania wpływu na funkcjonariuszy - uzasadniał zastępca szefa DAI Wołodymyr Reznikow.

Inne zdanie w tej sprawie mają prawnicy. Tłumaczą, że filmowanie nie można zabronić, gdyż może stanowić dowód w sprawie, a funkcjonariusze nie są osobami prywatnymi i nie mogą twierdzić, że zostały naruszone ich prawa do ochrony wizerunku.

Ukraińska drogowka jest uznawana za jedną z najbardziej skorumpowanych struktur w tym kraju. Próbowal ją zlikwidować były prezydent Wiktor Juszczenko. Postępowanie miały być zastępowane przez punkty pomocy drogowej. Jednak do

tego nie doszło. W przyszłym roku na ukraińskich drogach ma pojawić się kilka tysięcy kamer. Być może wtedy walka z korupcją będzie skuteczniejsza.

Skorumpowanej milicji nie wolno filmować. Tatiana Serwetnyk 03-08-2012



Cztery aktywistki z feministycznej grupy Femen protestowały przeciwko MKOI w pobliżu miejskiego ratusza w Londynie (City Hall). Oskarżyły Międzynarodowy Komitet Olimpijski o to, że przymyka oczy na łamanie praw kobiet w państwach muzułmańskich.

MKOl ugiął się pod presją Arabii Saudyjskiej i zgodził się, by 18-letnia judoczka Wodjan Shahrkhani wystąpiła w hidżabie zasłaniającym twarz. Urodzona w Mekce zawodniczka ma wystąpić w piątek w kategorii 78 kg.

Aktywistki z grupy Femen napisały na ciele „No to Sharia” czyli „Nie dla szariatu” - tradycyjnego prawa muzułmańskiego stojącego na gruncie podziału społecznych ról mężczyzny i kobiety, odbieranego przez feministki jako uprzywilejowujące mężczyzn.

Spacyfikowanie protestu zajęło policji sporo czasu ponieważ przedstawicielki grupy Femen szarpały się i wierzgały.

Na swoich internetowych stronach Femen wezwał MKOl do potępienia przemocy przeciwko kobietom w krajach muzułmańskich. O aresztowanych w Londynie aktywistkach napisano, że przyjechały z Francji.

Femen powstał w Kijowie w 2008 r. Grupa organizowała protesty m.in. przeciwko międzynarodowym agencjom matrymonialnym, seks-turystyce, angażowaniu wychudłych młodocianych modelek przez projektantów mody, a także podczas Euro 2012.

Działaczki Femen na igrzyskach w Londynie: „Nie dla szariatu”. 03-08-2012



Dostawcy czolowego producenta implantów z ludzkiej tkanki w pogoni za zyskiem stosują nieetyczne metody - ujawniło dziennikarskie śledztwo prowadzone w 11 krajach. 35-letni Ukrainiec Oleksandr Frołow zmarł na początku tego roku wskutek ataku padaczki. W drodze na cmentarz matka zauważyła, że ze stopy syna zsunął się but. - Synowa jej dotknęła i powiedziała, że wydaje jej się, jakby była pusta - opowiada Lubow Frołowa.

Pogrzeb wstrzymano. Po autopsji milicja sporządziła listę brakujących części Oleksandra: dwa zębra, dwa ścięgna Achillesa, dwa łokcie, dwa bębenki uszne, dwa zęby itd. Pewność, że nie trafią one do amerykańskich czy europejskich kręgosłupów, wynika tylko z tego, że 24 lutego policja je odnalazła.

Znajdowały się - wraz z innymi szczątkami - w lodówkach zamontowanych w białym minibusie. Dokumenty mówiły, że ładunek jest

przeznaczony dla niemieckiej firmy Tutogen. Należy ona do RTI Biologics, czolowego amerykańskiego producenta implantów przygotowywanych z ludzkiej tkanki.

Tylko w USA co roku sprzedaje się około 2 mln takich produktów. Przy okazji - jak pokazało ośmiomiesięczne śledztwo przeprowadzone w 11 krajach przez Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) - dochodzi do nadużyć.

Chodzi naturalnie o pieniądze. W USA i wielu innych krajach nie wolno handlować ludzką tkanką, ale wolno „odzyskiwać koszty”. Zarabiają więc ci, którzy ciało wynajdują, preparują, przechowują tkankę, produkują implanty i je sprzedają. Nie zarabia tylko rodzina dawcy.

Na świecie jedno ciało może przynieść od 80 tys. do 200 tys. dol. zysku. RTI zanotowała w ub. r. 11,6 mln dol. zysku brutto. Przedstawiciele branży zapewniają, że nadużycia to margines, a produkty są bezpieczne, bo tkanka jest sterylizowana. Wciąż istnieje jednak ryzyko przeniesienia z dawcy na biorcę infekcji bakteryjnych, żółtaczki, wścieklizny czy HIV. Od 2002 r. FDA udokumentowała 1,3 tys. infekcji i 40 zgonów po wszczepieniu produktów z ludzkiej tkanki. To niewiele, zważywszy na to, że jedna RTI w zeszłym roku wyprodukowała takich produktów pół miliona. Ale lekarze często nie informują pacjentów - bo nie muszą - że materiał użyty do produkcji wszczepionego implantu penisa czy piersi wyprzebarwiono z ludzkich zwłok. Kliniki mają obowiązek zawiadamiać władze tylko o najpoważniejszych powikłaniach.

W 2005 r. wykryto, że firma Biomedical Tissue Services kupiła od nowojorskich grabarzy tysiąc ciał (po 1 tys. dol. sztuka), z których po cichu wymontowywała cenne fragmenty. Nie testowano ich na obecność patogenów. Zrobione z nich produkty trafiły m.in. do Szwajcarii, Turcji i Australii.

- Od początku wszystko fałszowaliśmy. Bo mogliśmy - zeznał właściciel firmy Michael Mastromarino. Teraz odsiaduje wyrok od 25 lat więzienia.

Łowcy skór i kości. Robert Stefanicki, 04-08-2012



Przed jesiennymi wyborami parlamentarnymi na Ukrainie tamtejsze banki komercyjne przypomniły o ich największych dłużnikach. Nie są nimi bynajmniej przeciętni Ukraińcy, ale ich wybrańcy. - Na firmy prowadzone przez deputowanych Rady Najwyższej przypada aż 90 procent przedawnionych długów bankowych - ujawnił doradca Alfa Banku Roman Szpek. Finansiści biją na alarm: w ich kraju uformowała się nowa klasa dłużników chronionych przez immunitet poselski. Szpek twierdził, że zadłużeni parlamentarzyści placą za fikcyjne bankrutstwa swoich przedsiębiorstw, a także za utworzenie firm z czystym kontem, za pośrednictwem których funkcjonują spółki polityków.

Właściciele banków sporządzają listy nieuczciwych wierzycieli z man-

datem poselskim, a ostatnio zaapelowali do premiera Mykoły Azarowa, by nie dopuścił do udziału w wyborach parlamentarnych posła Partii Regionów Dmytra Swiatasza. Parlamentarzysta działa w branży samochodowej. Bankierzy twierdzą, że jest im winien... 250 milionów dolarów.

Problem z politykami, którzy niechętnie zwracają bankom pieniądze, na Ukrainie istnieje nie od dziś. Dwa lata temu tamtejszy tygodnik „Dzerkało Tyżnia” sporządził własny ranking najważniejszych ukraińskich skandalistów dłużników. Listę otwierał deputowany wspomnianej Partii Regionów Oleksandr Sawczuk, właściciel firmy Azowmasz produkującej maszyny do produkcji stali i żeliwa. Długi Sawczuka oszacowano wówczas na... 550 milionów dolarów. W wywiadach dla tygodnika „Dzerkało Tyżnia” bankierzy podkreślali, że w ukraińskim parlamencie sformowała się „koalicja dłużników bankowych, którzy reprezentują wszystkie frakcje”.

Finansiści zapowiadają, że stworzą także czarną listę z nazwiskami sędziów, którzy bronią nieuczciwych dłużników, krzywdząc tym samym uczciwych obywateli.

Politycy dłużni miliony dolarów. Tatiana Serwetnyk 07-08-2012



Prokuratura stawia coraz więcej zarzutów przywódczyni opozycji, której uwolnienia domaga się Europa.

We wrześniu Julia Tymoszenko zostanie oskarżona o zlecenie zabójstwa deputowanego Jewhena Szczerbania. Zginął on zastrzelony w 1996 r. na donieckim lotnisku. Był nie tylko posłem, lecz także znanym biznesmenem. - Niemieccy lekarze, którzy leczą Tymoszenko, twierdzą, że potrzebuje kilku tygodni wypoczynku. Poczekamy te kilka tygodni, a potem postawimy jej zarzuty - mówił ukraińskiej gazecie „Siedogonia” zastępca prokuratora generalnego Rinat Kuźmin.

To nie jedyna zła wiadomość dla byłej premier. Śledczy prowadzą przeciw niej dochodzenie w sprawie... pobicia strażnika. Miało do tego dojść podczas przewożenia Julii Tymoszenko z więzienia do miejscowego szpitala, w którym jest leczona na schorzenie kręgosłupa.

- To absurd. Tymoszenko jest ciężko chora. Nie może chodzić. Jak mogłaby pobić strażnika? Major Kowalenko, który napisał oświadczenie w tej sprawie, to zwierzę - oburzał się jej adwokat Serhij Własenko. Mąż Tymoszenko Oleksandr, który otrzymał azyl polityczny w Czechach, apeluje do rządów europejskich, by stanęły w obronie jego żony, zanim „będzie za późno”. Nowe zarzuty pod adresem Tymoszenko skrytykował Peter Stano, rzecznik komisarsza ds. rozszerzenia UE Stefana Füle.

Tymoszenko, mimo oczekiwań UE, nie będzie mogła także wystartować w wyborach parlamentarnych 28 października. Centralna Komisja Wyborcza Ukrainy nie zarejestrowała jej kandydatury, ponieważ została skazana przez sąd, a tego zabrania

ukraińskie prawo. Opozycyjna partia Batkiwyszczyna apeluje do UE, by wsparła starania o dopuszczenie Tymoszenko i Łucenko do udziału w wyborach.

- Reakcja UE na wydarzenia na Ukrainie powinna być bardziej ostra. Destabilizacja wewnętrzna w tym kraju może zaszkodzić także samej Europie – mówi „Rz” kijowski politolog Jewhen Petrenko. Jak twierdzi, władze Ukrainy wybrały drogę rozwoju, biorąc za wzór Białoruś i Rosję.

Czy Julia Tymoszenko pobiła strażnika. Tatiana Serwetnyk 09-08-2012

gazeta „No, chcecie Tymoszenko, to zapłaćcie. Ona ukradła 14 mld dol., to oddamy ją za połowę tej sumy” – miał powiedzieć prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz niemieckiej kanclerz Angeli Merkel. Tak twierdzi były wicepremier Oleh Rybaczuk.

Były już polityk dał obszerny wywiad ukraińskiemu serwisowi Ostro.org, w którym bardzo krytycznie wypowiada się o klasie politycznej Ukrainy. Sam Rybaczuk przez wiele lat pracował na wysokich stanowiskach, m.in. jako poseł opozycyjnej dziś partii Nasza Ukraina, wicepremier ds. europejskich w rządzie Julii Tymoszenko, a w końcu w administracji poprzedniej głowy państwa Wiktora Juszczenki.

Pod koniec wywiadu opowiada o tym, że wielu bogatych Ukraińców, którzy są sponsorami Janukowycza, mieszka w Europie i że ekipa rządząca dziś krajem była bardzo zawiedziona, że Kijów nie podpisał w zeszłym roku umowy stowarzyszeniowej z UE. Nie chciała tego Bruksela z powodu skazania Tymoszenko.

Rybaczuk twierdzi, że usłyszał to od jednego z doradców Merkel, który brał udział w spotkaniu pani kanclerz z prezydentem Ukrainy. - Ktoś z towarzyszy regionalistów przekonał Janukowycza, że Tymoszenko ukradła i wywiozła do Unii 15 mld. Skąd taka kwota, nikt nie wie. I Janukowycz był wspaniałomyślny, zaproponował Merkel wykupienie jej za połowę. Doradca Merkel mówił mi, że pani kanclerz długo dochodziła do siebie, a kiedy przyszła do siebie, nie chciała mieć z Janukowyczem nic do czynienia – opowiada Rybaczuk.

Berlin rzeczywiście zabiegał w Kijowie, by władze przestały przesładować Tymoszenko. Oferował m.in. opłacenie jej leczenia w Niemczech – była premier cierpi na przepuklinę kręgosłupa. Ekipa Janukowycza odrzuciła propozycję Berlina, ale zgodziła się, by w szpitalu w Charkowie, gdzie obecnie przebywa Tymoszenko, mogli się nią zająć niemieccy lekarze.

Rybaczuk wspomina o ofercie „sprzedaży” w kontekście poziomu, jaki prezentują politycy na Ukrainie. Wcześniej nie zostawiał też suchej nitki na samej Tymoszenko. Przytacza m.in. słynne zdanie Juszczenki: „Z Janukowycza da się zrobić Ukrainę, z Tymoszenko – nigdy”.

Po Pomarańczowej Rewolucji oboje szybko jednak się pokłócili i ich współpraca układała się fatalnie.

Janukowycz chciał Tymoszenko „sprzedać” Merkel za 7 mld dol. Roman Imielski, 15-08-2012

Prezydent RP o Bitwie Warszawskiej i wyzwaniach przyszłości

(fragmenty przemówienia Bronisława Komorowskiego)

Jak co roku 15 sierpnia, w dniu Święta Wojska Polskiego spotykamy się tutaj przed Grobem Nieznanego Żołnierza, aby oddać hołd żołnierskiej krwi przelanej za Ojczyznę. W kolejną rocznicę Bitwy Warszawskiej z 1920 roku, w kolejną rocznicę zwycięstwa w wojnie z Rosją bolszewicką nasze serdeczne myśli i wdzięczne serca kierujemy ku bohaterom sprzed przeszło 90 lat, jak i ku współczesnym polskim żołnierzom stojącym na straży naszej suwerenności i naszego bezpieczeństwa. Wielkość tamtego polskiego zwycięstwa z 1920 roku zbudowała swoisty wzorec, który przymierzamy i do współczesności.

Słusznie pamiętamy o sile ducha, o sile morale, które były jednym z fundamentów tamtego wielkiego sukcesu. Dlatego mówimy o Cudzie nad Wisłą. Trzeba jednak pamiętać i o innych źródłach naszego militarnego zwycięstwa. Wygraliśmy, gdyż wtedy cały naród skupił się wokół wielkiego zadania odbudowy polskiej siły zbrojnej, wokół zadania obrony świeżo odzyskanej niepodległości. Wtedy potrafiliśmy w imię nadrzędnej racji stanu odrzucić na bok większość różnic i podziałów. Wtedy racja stanu skutecznie ograniczyła racje partyjne. Liczyła się Polska i nasz wspólny ogólnonarodowy interes. Wygraliśmy, bo nie byliśmy wtedy sami. Nasze aspiracje i naszą walkę wspierały zwycięskie demokracje Zachodu, zwłaszcza Francja. Wygraliśmy, bo nawet w tak trudnym okresie początków naszej niepodległości, naszej niepodległej państwowości polskim Siłom Zbrojnym naród zapewnił odpowiednie wyposażenie, odpowiednie uzbrojenie. Pod wieloma względami to nowoczesne, jak na tamte czasy wyposażenie miało, obok siły ducha, decydujące znaczenie dla ostatecznego wyniku wojny. Trzeba więc pamiętać, że wtedy polscy lotnicy i wspierający ich ochotnicy z innych krajów, w tym obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki, uzyskali zdecydowaną przewagę w powietrzu. Trzeba pamiętać, że dostarczone przez Francję czołgi siały wśród bolszewików strach i panikę. Trzeba pamiętać, że rewelacyjny polski wywiad, a w jego ramach supernowoczesne jak na tamte czasy systemy podsłuchu i dekrypcji, po-



zwalazy stronie polskiej poznać treść bolszewickich depeesz niejednokrotnie zanim dotarły one do dowódców Armii Czerwonej. Trzeba pamiętać, że wygraliśmy dzięki wysokim kwalifikacjom naszej kadry oficerskiej, gdy doświadczeniom wyniesionym z armii austrowęgierskiej, pruskiej, rosyjskiej i francuskiej towarzyszył wolny od dowódczego schematyzmu talent Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Przecież nie uległ on dominującej w ówczesnej Europie strategii wojny pozycyjnej i zadał bolszewikom klęskę dzięki dynamice manewru i na przekór doświadczeniom I wojny światowej.

W 1920 roku wygraliśmy! Dzisiaj, gdy na tamto wiekopomne zwycięstwo patrzymy z blisko już stuletniej perspektywy, stale musimy zadawać sobie pytanie, czy my współcześni Polacy, ciesząc się już trzecią dekadą ponownie odzyskanej niepodległości i wolności, w stopniu wystarczającym mierzymy nasze bezpieczeństwo, przymierzając do współczesności tamtą sprawdzoną w 1920 roku matrycę zwycięstwa? Wiemy, że niektóre elementy tej dziejowej recepty na militarną siłę i na sukces, na zwycięstwo, na poczucie bezpieczeństwa zdecydowanie i dzisiaj możemy zaliczyć do posiadanych narodowych aktywów.

Jesteśmy przecież częścią potężnego sojuszu, jakim jest NATO. Jesteśmy zintegrowani z Zachodem poprzez Unię Europejską. Wzmacniamy swoją pozycję i swoje bezpieczeństwo poprzez trwający nieprzerwanie od ponad 20 lat wzrost gospodarczy. O te więzy, o te ważne źródła siły i naszego bezpieczeń-

stwa i wolności należy dbać i należy je szanować i pomnażać. Bo dobro nie szanowane i nie rozwijane ulega zawsze uszczupleniu, osłabieniu i zanika. Dlatego Polska aktywnie uczestniczy w pogłębianiu integracji europejskiej, w umacnianiu roli i siły NATO – wspólnie ponosząc znaczne koszty, a często ryzyka i wyrzeczenia. Przykładem jest rola polskich pilotów w chronieniu przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii, a przede wszystkim nasze wieloletnie zaangażowanie w Afganistanie i związane z nim straty ludzkie i ogromny koszt, bo około 5 mld złotych wydanych w ciągu paru lat na tę właśnie misję.

Musimy jednak pamiętać i o tym, że budowa własnych narodowych zdolności obronnych to nasz główny obowiązek wobec Ojczyzny, a także wobec NATO. Bo własny system obronny będzie zawsze podstawą gwarancji naszego bezpieczeństwa i częścią siły sojuszu jako całości. Dlatego przymierzając matrycę zwycięstwa z 1920 roku, trzeba powiedzieć, że absolutnie konieczne jest kontynuowanie wysiłku na rzecz modernizacji polskich sił zbrojnych przede wszystkim pod kątem obrony własnego terytorium, obrony naszego kraju – a to oznaczać będzie także większe zdolności całego sojuszu nатовskiego.

(...) Zakupiliśmy nowoczesne samoloty wielozadaniowe i transportowe, wyposażyliśmy polską armię w nowoczesne systemy przeciwpancerne, w nowoczesne transportery opancerzone... To tylko część długiej już listy zrealizowanych projektów na rzecz nowoczesności nowoczesnej, profesjonalnej polskiej armii. Nie-

które z egzemplarzy tego nowoczesnego uzbrojenia możecie Państwo obejrzeć tutaj po uroczystości na Placu noszącym dumne imię Marszałka Józefa Piłsudskiego. Ale są jeszcze przed nami wielkie zadania do podjęcia. Są zadania ważne dla naszego polskiego bezpieczeństwa. To między innymi unowocześnienie i usprawnienie systemu dowodzenia, systemu szkolnictwa wojskowego, to wyposażenie Marynarki Wojennej w nowoczesne, przystosowane do obrony polskiego wybrzeża okręty. Ale przede wszystkim to nowoczesny system obrony przed atakiem z powietrza. Potrzebna jest nasza polska tarcza będąca jednocześnie fragmentem wielkiego ogólnonarodowego systemu. To przedsięwzięcie kosztowne, ale konieczne jest do udźwignięcia w ramach polskiego budżetu obronnego, rosnącego przecież wraz ze wzrostem polskiego PKB. W ramach budżetu, a nie w oparciu o dodatkowe pieniądze. Trzeba to podkreślić w dobie europejskiego kryzysu ekonomicznego. Jest to do udźwignięcia, gdyż definitywne zakończenie misji militarnej w Afganistanie przyniesie istotne oszczędności. Jeśli mogliśmy wydać w ciągu paru lat 5 mld złotych na misję afgańską, to tym bardziej teraz powinniśmy ten strumień pieniędzy skierować na budowę systemów broniących terytorium naszego kraju i terytoriów wszystkich krajów członkowskich sojuszu. To przedsięwzięcie konieczne, bo bez skutecznej tarczy chroniącej przed atakiem z powietrza, wydatki na modernizację sił zbrojnych ponoszone dzisiaj, mogą okazać się bezużyteczne, krótkotrwale w godzinie zagrożenia. To przedsięwzięcie konieczne, by nie zostać w tyle za innymi. To przedsięwzięcie konieczne, by mniej się obawiać pomruków niezadowolonych z tytułu naszego zaangażowania w umacnianie bezpieczeństwa własnego, w siłę całości Sojuszu Północnoatlantyckiego czy też bezpieczeństwo naszego amerykańskiego sojusznika. To przedsięwzięcie możliwe. Bo kiedy jak nie teraz? (...) To trzeba zrobić dzisiaj. Dzisiaj traktowanie serio matrycy – wzorca zwycięstwa w 1920 roku – to utrzymanie jednoznacznego kierunku ku nowoczesności polskich sił zbrojnych. (...)

źródło: www.prezydent.pl

Cyryl: mam nadzieję, że moja wizyta polepszy stosunki między naszymi krajami

Mam nadzieję, że moja wizyta wniesie swój skromny wkład do polepszenia stosunków pomiędzy Polską a tymi krajami, gdzie obecna jest rosyjska Cerkiew prawosławna – powiedział patriarcha Moskwy i całej Rusi Cyryl I podczas powitania w Warszawie.

„Chciałbym podziękować, że mogę tu przybyć na polską ziemię, aby się spotkać z przedstawicielami polskiego Kościoła prawosławnego oraz spotkać się z przedstawicielami Kościoła katolickiego w Polsce” – mówił patriarcha.

Cyryl I przypomniał, że jest to jego pierwsza wizyta w kraju zachod-



Patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl I, fot. Paweł Supernak / PAP

nioeuropejskim po wybraniu go na patriarchę moskiewskiego i pierwsza w historii wizyta patriarchy moskiewskiego w Polsce.

„To daje nam możliwość spotkania się z prawosławnymi w Polsce i katolikami w Polsce, po to by zastanowić się nad naszą przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Dla nas wszystkich Ewangelia jest fundamentem. Jestem głęboko przekonany, że na tym fundamencie można rozwiązać wszelkie nieporozumienia, które powstają wśród ludzkości” – podkreślił patriarcha moskiewski.

„To jest wspaniała rzecz, że kultura chrześcijańska dominuje zarówno

w Polsce jak i w Rosji. To oznacza, że mamy wspólne podstawy do rozwiązywania tych trudnych spraw, które mamy w naszej przyszłości” – dodał.

Cyryl powiedział, że chciałby prosić o błogosławieństwo dla polskiego narodu, polskich władz i polskiego państwa. „Chciałbym życzyć wszystkim Polakom sukcesów w waszej pracy, w waszym życiu i wyrazić nadzieję, że moja wizyta wniesie swój skromny wkład do polepszenia stosunków pomiędzy Polską a tymi krajami, gdzie obecna jest rosyjska Cerkiew prawosławna” – zaznaczył patriarcha.

PAP

Do Europy po polsku, czyli Letnia Szkoła Kultury i Języka Polskiego na Ukrainie

Od kilku lat pracę Letniej Szkoły na Ukrainie wspiera Instytut Nauczania Języka Polskiego jako obcego Uniwersytetu Śląskiego, przysyłając studentki, które mogą wykorzystać w praktyce metodyczne nowinki. Letnia Szkoła w to trud wielu osób i instytucji, których celem jest, aby na Ukrainie Europa zaczynała się po polsku.

MAŁGORZATA TUSZYŃSKA
Kongres Oświaty Polonijnej
oraz Rada Polska w Berlinie

Przejście graniczne w Medyce przywitało nas spokojem i powagą. Podjechaliśmy. Samochód sprawdzono bez wielkiego zainteresowania. Podeszliśmy do okienka odprawy paszportowej, potem otrzymaliśmy „bilet” od celników i w 10 minut byliśmy gotowi do wjazdu na Ukrainę. Żadnych kolejek, żadnego czekania, żadnej przepychanki czy nerwów. Pisma pomocnicze i telefony kontaktowe okazały się zupełnie niepotrzebne. Zupelna Europa: podjechaliśmy, popatrzeli w paszport, celnicy dali swoje błogosławieństwo, no i w drogę. Zupelnie tak, jak to było niedawno na polsko-niemieckiej granicy. Droga, która wiedzie z granicy do Lwowa szeroka, równo wyasfaltowana, wymalowane białe, lśniące w świetle reflektorów pasy, a na zakrętach białoczerwone odblaskowe oznakowanie. Zupelna Europa. I tak do samego Lwowa, ba nawet dalej, bo trasa prowadzi via Kijów.

Jedziemy całkiem szybko. To dobrze, bo jutro ma być zakończenie Letniej Szkoły Kultury i Języka Polskiego w Drohobyczu. Trzeba przecież jakoś wyglądać. Goście z Bytomia i ja z dalekiego Berlina. W samochodzie jedzie z nami nauczycielka języka polskiego, pani Jola Brzoza, która ma zacząć pracę w ramach takiej Letniej Szkoły Kultury i Języka Polskiego z dziećmi w Samborze. Zatem po kilku kilometrach zbaczamy z trasy lwowskiej, ale Sambor jest oddalony o 40 km od Drohobycza, więc właściwie nie oddalamy się wiele od celu.

W jednej chwili zmienia się jednak wszystko. Choć droga szeroka i wyasfaltowana, to musimy radykalnie zwolnić, bo w asfalcie są liczne dziury, wypełnione wodą po wieczornej ulewie. Są też zupełnie niewidoczne w nocy wyrzuczenia w asfalcie spowodowane przez korzenie drzew. Kierowca jedzie raz po lewej stronie, raz po prawej, chwilami mam podejrzenie, że może tu jak w Anglii, ruch jest prawostronny. Nie, jednak jedziemy jak po niewidocznym labiryncie albo po polu minowym, choć z boku mijają nas samochody z miejscową rejestracją. Po kwadratowej sylwetce sądząc, są to Łady, które jakby dzielniej pokonują czarną asfaltową otchłań podziurawioną jak ser, mniej przejmując się ubytkami w asfalcie. My jednak poważnie zwolniliśmy tak, że na pokonanie 40 km potrzebujemy ponad godzinę.

Dojechaliśmy do sióstr, gdzie będzie baza letniej szkoły w Samborze. Dom niezbyt wielki, ale zadbane. Przed domem piękne klomby i kwiaty, za domem mały ogródek i trawa. Czysto, schludnie, cicho. Bardzo pracowicie biegnie tu czas, choć na innych posesjach bu-



Przed Domem Polskim w Samborze

dowlany nieład i jakiś marazm. Może jednak świat o 3 nad ranem wygląda jakoś inaczej. Do gościnnego domu w ojców bonifratrów w Drohobyczu dotarliśmy o świcie. Tu będzie nasza baza, by doglądać letnie projekty realizowane przez Górnos Śląski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Katowicach.

Zakończenie Letniej Szkoły Kultury i Języka Polskiego w Drohobyczu rozpoczęło się Mszą świętą w miejscowym kościele, który fundowany został przez Kazimierza Wielkiego wraz z nadaniem miastu praw miejskich w 1368 r. Po południu wszyscy spotkali się w murach Szkoły Średniej nr 2 w Drohobyczu, która od 2 do 14 lipca gościła uczniów Letniej Szkoły. Zadanie to Katowicka „Wspólnota” realizuje już po raz piąty, dzięki takim zapaleńcom jak pani Alicja Brzan-Kłoś, która nie tylko dba o to, aby latem

dzieci z Drohobycza i okolic mogły uczyć się po polsku, ale jest inicjatorką akcji „Podaruj znicz na Kresy” czy Humanitarnej Pomocy Medycznej, o czym tutaj wszyscy dobrze pamiętają, otaczając nas w sposób szczególny swoją serdecznością.

W tym roku partnerem na miejscu jest także zakon szpitalny bonifratrów i niezmiernie miły Ojciec Pio, który swoją opieką postanowił otoczyć nie tylko osoby starsze, ale i na dziecięcych twarzach zapalić uśmiech. Wszyscy wiedzą, że bez udziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i bonifratrów, w tym roku projekt nie miałby miejsca. Środki finansowe pochodzą z polskiego MSZ, ale to ojciec Pio wziął na siebie trud ich rozliczenia i wyasygnował wcześniej potrzebne sumy, aby projekt mógł dojść do skutku. Nad opracowaniem i wykonaniem projektu czuwała Kato-

wicka „Wspólnota” i bez niej nie udałooby się poprowadzić Letniej Szkoły.

Akademia w szkolnej auli rozpoczęła się dostojnie, od odśpiewania hymnów Ukrainy i Polski. Potem było już radośnie i wesoło. Dzieci pokazywały na scenie czego nauczyły się na lekcjach. Było i „Kto ty jesteś”, i „Miau kotku miao”, i wiersze o miłości do ziemi rodzinnej, i cały bukiet piosenek pod kierunkiem pani Ludmiły Nelipy, która na co dzień prowadzi młodzieżowy zespół muzyczny „Leśne kwiaty”. Także i tym razem publiczność mogła wysłuchać walców czy poloneza w ich wykonaniu, w opracowaniu na mandolinę i cymbały.

W Drohobyczu, dzięki doskonałej współpracy z wydziałem oświaty, Letnia Szkoła ma świetną bazę lokalową i wypracowaną renomę. Do dyspozycji postawiono pomieszczenia w Szkole nr 2, dlatego w tym roku można było dzieciom zaproponować coś więcej. Po lekcjach z języka polskiego i kultury polskiej działało kółko fotograficzne, kółko teatralne i chór, stąd program na zakończenie był bardzo ciekawy i na wysokim poziomie. Mimo tego, że do końca nie wiadomo było czy w tym roku MSZ przyzna środki finansowe na Letnią Szkołę w Drohobyczu, to jednak warto podejmować wojnę nerwów, bo projekt w Drohobyczu kwitnie uśmiechami dzieci i dumą rodziców. Tutaj Europę poznają się po polsku.

Dyplomom, podziękowaniom nie było końca. Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddział

w Drohobyczu pan Adam Aurzecki uhonorował nauczycielki, wolontariuszki z Polski, pamiątkowymi prezentami. Wręczył honorowe dyplomy dyrektor szkoły nr 2 pani Larysie Pankiewicz i pani Alicji Brzan-Kłoś z Górnos Śląskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, uznając ich wkład pracy i zaangażowanie w realizację tego zadania.

Od kilku lat pracę Letniej Szkoły na Ukrainie wspiera Instytut Nauczania Języka Polskiego jako obcego Uniwersytetu Śląskiego, przysyłając studentki, które mogą wykorzystać w praktyce metodyczne nowinki. Letnia Szkoła w Drohobyczu to trud wielu osób i instytucji, których celem jest, aby na Ukrainie Europa zaczynała się po polsku. W zajęciach w Drohobyczu brało udział 70 dzieci w przedziale wiekowym od 6 do 17 lat. Po akademii nauczyciele, młodzież, dzieci, rodzice, członkowie Towarzystwa spotkali się na pikniku przy pieczonych kielbaskach i ciastach. Podsumowywano trud ostatnich dwóch tygodni pracy. Wyrazom wdzięczności nie było końca, a dzieci obdarowane książeczkami, zeszytami, kredkami deklarowały, że w następnym roku będą chciały powrócić tu znowu.

Podobnie było w Stryju, gdzie Letnia Szkoła Kultury i Języka Polskiego w tym roku zaproponowała nauczanie początkowe. W Centrum Kulturalno-Oświatowym im. Kornela Makuszyńskiego prowadzonym przez panią prezes Tatianę Bojko umożliwiono milusińskim, w ramach nauczania po polsku, poznanie polskich zwyczajów i rękodzieła, a młodzież mogła otrzymać pomoc w przygotowaniu się do egzaminów certyfikacyjnych z języka polskiego. W zajęciach uczestniczyło 30 osób, a Uniwersytet Śląski wpiął pracę miejscowej placówki edukacyjnej przysyłając dwie przemile studentki. Cieszylibyśmy się, gdyby Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” projekty, które dają wymierne efekty, jak te w Drohobyczu i Stryju, wprowadziło na stałe do swojego kalendarza imprez.

W Samborze letnie zajęcia odbywały się w Domu Polskim. Do Letniej Szkoły przyszło 35 małych dzieci. Dowiedziały się o tej możliwości z ogłoszeń od księdza w kościele. Niektóre przyszły, bo znały tą szkołę z zeszłego roku, inne, bo rodzice przeczytali ulotkę Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddziału w Samborze. Prezes TKZL pan Czesław Prędkiewicz wiele trudu poświęcił, aby Letnią Szkołą w Samborze zainteresować rodziców dzieci młodszych. Na uroczystości rozpoczynającej zajęcia szkolne najodważniejsze z nich zaśpiewały pieśń maryjną i psalm Dawida oraz zatańczyły w takt modnej ukraińskiej piosenki odtworzonej naprędce z telefonu komórkowego. Rodzice, wolontariusze i przedstawiciele TKPZL, Wspólnoty, Kongresu



Letnia Szkoła w Centrum im. Kornela Makuszyńskiego w Stryju

Oświaty Polonijnych, a także brat Jan od Bonifratrów oklaskiwali małe gwiazdy.

W sprawie języka polskiego w Samborze jest jeszcze wiele do zrobienia, bo polszczyzna nie jest mocną stroną wschodzących gwiazd. W tym roku zajęcia wzbogaciły wycieczki po okolicy szlakiem wielkich Polaków, a niektórym dzieciom towarzyszyły ich mamy. W majątku Fredrów w Wiszni 1,5 km od Rudek, 35 km od Sambora wszyscy byli po raz pierwszy. Kościół p.w. WNMP w Rudkach ufundowany niegdyś przez hrabiego Andrzeja Fredrę odwiedziła wcześniej tylko jedna samborska rodzina, ale o grobie wielkiego komediopisarza Aleksandra Fredy i krypcie rodziny

nickiego. Zajęcia muszą odbywać się w trzech turach ze względu na skromne możliwości lokalowe Centrum i dużą liczbę chętnych w bardzo różnym wieku. Prowadzone są przez uśmiechnięte studentki Uniwersytetu Śląskiego, które w ciągu dwóch dni potrafiły przygotować z uczniami piękny program na rozpoczęcie szkoły. Uroczystość z okazji inauguracji Letniej Szkoły w Chmielnickim odbyła się w weekend. Do sali w Domu Kultury obok uczniów i rodziców przybyli przedstawiciele Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” z Katowic, Kongresu Oświaty Polonijnej oraz Rady Polskiej z Berlina, prezosi poszczególnych organizacji polonijnych i obwodowego związku, miej-



Drohobycz, lekcje fotografowania

nie wiedział nikt. Trasa wycieczek wiodła także do Stryja – miejsca urodzenia Kornela Makuszyńskiego twórcy Koziółka Matołka. W Centrum Kulturalno-Oświatowym dzieci wzięły udział w konkursie rysunkowym, szkicując kolejne przygody sympatycznego Koziółka. Jako, że rok 2012 jest rokiem innego przyjaciela dzieci, Janusza Korczaka, uczestnicy wyprawy mogli poznać także przygody tytułowego bohatera powieści wielkiego pedagoga, Króla Maciusia oraz przypomnieć tragiczny życiorys Korczaka.

Wielkie zainteresowanie Letnia Szkoła wzbudziła w Chmielnickim. Tutaj po raz pierwszy zaproponowano taką formę edukacji w języku polskim. Duża, 50-osobowa grupa chętnych w przedziale wiekowym od 6 do 20 lat świadczy o tym, że jest to projekt bardzo potrzebny. Współpracę z Górnośląskim Oddziałem „Wspólnoty” podjęła pani Ludmiła Kotył – dyrektor Kulturalno-Oświatowego Centrum im. Juliusza Słowackiego Wspólnoty Polskiej miasta Chmiel-

scowych władz oświatowych oraz miejscowa telewizja. Szkoda, że nie dotarli przedstawiciele konsulatu RP. Konsulowie mogliby osobiście doświadczyć z jakim zaangażowaniem dzieci i młodzież prezentowała swoje wiadomości na temat Polski i jej historii czy scenkę z „Króla Maciusia I”, przygotowaną z okazji roku Janusza Korczaka, a maluchy tańczyły taniec do „My jesteśmy krasnoludki”. Serce publiczności podbił mały chłopiec Daniel Gocaluk, który mimo ciężkiej choroby recytował przeświecnie wiersze o miłości do ziemi rodzinnej i Polski. Żałujemy, że nie udało się tego przeżyć konsulowi z obwodu Chmielnickiego, może przekonałby pracowników innych konsulatów RP na Ukrainie, żeby odwiedzali polonijne placówki edukacyjne w swoich obwodach.

Wyjechaliśmy z przekonaniem, że również w obwodzie Chmielnickim Europa zaczyna się po polsku. Powstaje pytanie czy Europa po polsku to – ważne zadanie dla pracowników polskiego MSZ na tych terenach?



Konkurs rysunkowy o Koziółku Matołku

Jak zostać liderem?

W pierwszej połowie sierpnia, w Warszawie, „Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie” zrealizowała projekt „Letnia akademia młodzieżowych liderów – Wyzwanie”. W projekcie uczestniczyła grupa dwudziestu młodych ludzi z Ukrainy i z Białorusi, w wieku 15 – 17 lat.



Warsztaty z przedsiębiorczości

MARCIN ROMER

W ciągu siedmiodniowego pobytu młodzież polska z Borysławia na Ukrainie i Grodna na Białorusi brała udział w warsztatach z zakresu przedsiębiorczości, samorządności, osobowości przywódcy, zarządzania projektem, podstaw ekonomii (tworzenie mini-przedsiębiorstwa) i reklamy.

Młodzi uczestnicy projektu zapoznali się z zasadami funkcjonowania samorządu terytorialnego, młodzieżowego i szkolnego, analizowali cechy przydatne liderowi podczas wykonywania wspólnych zadań, zastanawiali się nad sposobami motywacji pracowników oraz identyfikacji zagrożeń dla realizowanych projektów.

Ponadto uczestniczyli w zajęciach kulturalno-krajoznawczych. W programie było m.in. zwiedzanie Uniwersytetu Warszawskiego, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie, zespołu gmachów Sejmu i Senatu RP.

W czasie warsztatów skupiono się na kilku blokach programowych. Jednym z nich było „mini-przedsiębiorstwo”. W ramach tego bloku młodzi uczestnicy warsztatów „zakładali” własną firmę. Określali cel, rodzaj działalności, odbiorcę, układali biznesplan i przewidywali rezultaty.

Kolejny blok był poświęcony sprawom samorządowym. Zajęcia warsztatowe obejmowały problemy samorządu szkolnego i terytorialne-

go. Uczestnicy zapoznawali się też z zasadami działania instytucji demokratycznych.

Kształtowanie umiejętności liderkich przedstawiono na przykładzie działalności Centrum Smolna wyrosłego ze wspólnoty mieszkaniowej, a zapoznaniu się z ideą samorządu terytorialnego służyła wizyta studyjna – spotkanie z przedstawicielami Młodzieżowej Rady Miasta st. Warszawy.

W Galerii Atelier odbyły się też zajęcia warsztatowe poświęcone zasadom działań marketingowych i reklamie wizualnej. Projekt zrealizowany został ze środków Ministerstwa Edukacji RP.

KG

List do redakcji

Na uroczystości nadania sztandaru Szkole Języka Polskiego im. Karoliny Lanckorońskiej oraz obchody Dnia Kultury Polskiej na zaproszenie Mirosławy Tomeckiej – prezesa Towarzystwa Pomocy Polakom „Wielkie Serce” do Nowego Rozdołu przybyła delegacja powiatu grodziskiego. Samorząd powiatu grodziskiego reprezentowali: Jerzy Terlikowski – radny Rady Powiatu Grodziskiego i Lidia Abramczyk – naczelnik Wydziału Oświaty, Kultury i Sportu. Podróż z Grodziska Mazowieckiego do Nowego Rozdołu zajęła prawie cały dzień.

Na uroczystości do Nowego Rozdołu przybyły także liczne delegacje władz samorządowych z Łowicza, Krakowa, Wrocławia, Lublina, Sochaczewa, Grodziska Mazowieckiego, obecni byli przedstawiciele władz rejonu miłkowskiego i Nowego Rozdołu. Władze Rzeczypospolitej reprezentował Konsul Generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd. Podniosły charakter uroczystości nadawała orkiestra 21 Brygady Strzelców Podhalańskich z Rzeszowa pod dowództwem kpt. Andrzeja Kufła.

Uroczystości rozpoczął przemarsz gości z placu przed szkołą do pięknie odrestaurowanego, barokowego kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w pobliskich Brzozowcach. Podczas uroczystej Mszy Św. nastąpiło poświęcenie sztandaru. Jego fundatorem jest Pan Józef Adamski – prezes Fundacji Pomocy Polskim Szkołom na Wschodzie. Uroczyste przekazanie sztandaru polskiej szkole nastąpiło po powrocie na plac szkoły. Tam uczniowie złożyli uroczyste słubowanie na sztandar.

Delegaci Powiatu Grodziskiego złożyli gratulacje dyrekcji polskiej szkoły za dotychczasowe osiągnięcia, przekazali upominki i osobisty list od starosty Grodziskiego i władz powiatu,

Szkoła im. Karoliny Lanckorońskiej ma swój sztandar



a także podarunek od dzieci grodziskiej szkoły specjalnej, własnoręcznie pięknie wyhaftowaną makatkę.

Kolejnym punktem było odsłonięcie popiersia patronki szkoły Karoliny Lanckorońskiej, która przez długi czas, zanim została profesorem Uniwersytetu Lwowskiego, zamieszkiwała w pobliskim Starym Rozdole, gdzie do dziś stoi opuszczony jej rodowy pałac.

W części artystycznej uczniowie przedstawili najważniejsze wydarzenia z życia tej wielkiej poetki, humanistki i patriotki, która całe swoje życie poświęciła, służąc ojczyźnie.

Następnego dnia odbyły się obchody Dnia Kultury Polskiej w Nowym Rozdole. Głównym punktem obchodów Dnia Kultury Polskiej była defilada ulicami miasta do centralnie ustalonego pomnika Tarasa Szewczenki. Defiladę z udziałem zaproszonych gości, przedstawicielami miejscowych władz, uczniami polskiej szkoły, licznymi mieszkańcami

miasta prowadziła orkiestra wojskowej szkoły specjalnej, własnoręcznie pięknie wyhaftowaną makatkę.

Przy pomniku ukraińskiego poety, po odegraniu hymnów narodowych, nastąpiło uroczyste złożenie kwiatów i okolicznościowe przemówienia. Nie zabrakło także krótkiego koncertu najmłodszych uczniów w strojach ludowych. Uroczysty przemarsz zakończył się przed Domem Kultury. Tu na placu przed gmachem orkiestra wojskowa dała pokaz musztry paradej.

Dni Kultury Polskiej zwińczyła uroczysta akademia w Domu Kultury. Wystąpiła orkiestra wojskowa oraz uczniowie polskiej szkoły im. Karoliny Lanckorońskiej, a także członkowie Towarzystwa „Wielkie Serce”. Na scenie przybyłych mieszkańców rozgrzewały barwne polskie krakowiaki, kujawiaki i oberki, a także ukraińskie pieśni i tańce ludowe. Zachwycał wysoki poziom artystyczny zespołów, pięknie kolorowe stroje ludowe oraz starannie opracowana choreografia.

Polska placówka dyplomatyczna we Lwowie pracuje już ćwierć wieku

Do redakcji Kuriera Galicyjskiego przyszedł list:

Sz. Pan Konstanty Czawaga, „Kurier Galicyjski”.

Drogi Kostia!

Przesyłam Ci – zgodnie z rozmową – materiał dot. powołania, 25 lat temu, Urzędu Konsularnego we Lwowie. Wykorzystaj go wg własnego uznania, opatrując odpowiednim tytułem.

Drogi Kostia! Jeżeli posiadasz zdjęcia z pierwszych lat pracy Urzędu, prześlij je do Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, który planuje wydanie publikacji „Historia polskiej placówki konsularnej we Lwowie w latach 1987–2012. Do tej publikacji przekazałem też przedkładany Ci materiał.

Serdecznie pozdrawiam
Włodzimierz Woskowski

WŁODZIMIERZ WOSKOWSKI b. pierwszy konsul polski we Lwowie

Takie były początki

W roku 1987 został powołany Urząd Konsularny we Lwowie. Od 1972 r. jestem związany z dyplomacją Polski (obecnie emerytowany pracownik MSZ) i nie znam przypadku, by powstaniu jakiegokolwiek placówki konsularnej w świecie poświęcono tak wiele uwagi w polskich środkach masowego przekazu jak powstaniu Urzędu Konsularnego we Lwowie.

Nastąpiło niebывале zainteresowanie problemami tego miasta i sytuacją miejscowych Polaków. Nie było dnia, by Urząd nie był odwiedzany przez przedstawicieli polskich instytucji kulturalnych, naukowych, organizacji społecznych, biznesmenów itp., pragnących nawiązać współpracę ze swoimi odpowiednikami we Lwowie. Oczywiście jest to zrozumiałe, gdy uwzględnimy jaką rolę w naszych dziejach ojczystych odgrywał Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie. Jak pisze w swojej wspaniałej książce *Rozmyślenia i wspomnienia o Lwowie i Lwowiakach* Leszek Mazepa: „Dla Polaków – i tych stanowiących zaledwie około 1% mieszkańców Lwowa, i tych, którzy zostali stąd wypędzeni w ramach tzw. „repatriacji” i mieszkają zarówno w Macierzy oraz są rozsiadani po świecie, i tych, którzy w nim nigdy może nie byli, lecz dla których Lwów jest miastem-legendą, miastem tak ściśle związanym z historią i z kulturą polską – dla wszystkich tych Polaków Lwów jest miastem niezwykle drogim, wywołującym poczucie wzniosłej dumy i dramatycznej zadumy”.

Dlaczego NIE

Powołanie placówki konsularnej we Lwowie poprzedziły wieloletnie starania strony polskiej. Bardzo trudno było jednak przełamać opór strony radzieckiej. Również władze Lwowa i obwodu lwowskiego były przeciwne powstaniu polskiej placówki konsularnej. Według posiadanych przez nas informacji, także znaczna część ówczesnej opozycji, tej, która była ściśle związana z ideologią OUN i uważająca się za spadkobiercę UPA, nie akceptowała naszej propozycji.

Czynnikami oficjalne argumentowały, że nie można stwarzać precedensów i powoływać konsulatu we Lwowie, mieście, które nie stanowi stolicy republiki radzieckiej. Przypomnę, że konsulaty polskie (poza Wydziałem Konsularnym Ambasady w Moskwie) istniały w Kijowie, Mińsku i Leningradzie (obecnie Sankt-Petersburg). W tym ostatnim mieście urząd zajmował się przede wszystkim problematyką morską. Nie było żadnych polskich placówek dyplomatycznych w Kazachstanie, Gruzji, Armenii, Azerbejdżanie, na Litwie, Łotwie, w Estonii i w pozostałych republikach radzieckich. Konsulat Generalny w Kijowie

był akredytowany na Moldawię. Strona radziecka nie uznawała pojęcia „Polonia” i miejscowi Polacy (chodzi o Polaków żyjących na ziemiach należących przed II wojną światową do Polski). W ZSRR – twierdzono – żyje społeczeństwo radzieckie, które tworzy naród radziecki, a ich dotychczasowa narodowość ma znaczenie drugorzędne. Obywatelom tym państwo gwarantuje wszelkie prawa i przywileje. Wszelka myśl, nie mówiąc o działaniu, o tożsamości narodowej, tym bardziej o utworzeniu własnego państwa, były bezzłotnie zwalczane, a działacze represjonowani.

Polskie zabiegi i starania

Podjęliśmy starania o powołanie Urzędu Konsularnego we Lwowie, strona polska, ze zrozumiałych względów, eksponowała problematykę – jeżeli tak można powiedzieć – „czysto konsularną”. Wskazywaliśmy, że jesteśmy zobowiązani do otoczenia opieką konsularną 4 tysiące Polaków, w tym 1000 we Lwowie, pracujących w obwodach Zachodniej Ukrainy oraz setek tysięcy obywateli polskich przemierzających się tranzytem (szczególnie w okresie letnim) przez terytorium Ukrainy na Węgry, do Rumunii i krajów bałkańskich.

W tym czasie przejście graniczne w Medyce-Szegini było jedynym przejściem granicznym między Polską a ówczesną Ukrainą Radziecką i to właśnie ono obsługiwało ten ogromny tranzyt. Ruch z roku na rok się zwiększał. Jeżeli według danych służb granicznych w roku 1987 granicę tę przekroczyło ponad 600 tys. osób, to już w roku 1989 ponad 3 mln osób. Ludzie byli zmęczeni długim oczekiwaniem na odprawę graniczną, gubili dokumenty, okradano ich i napadano na nich w trakcie przejazdu przez Karpaty, ulegali wypadkom drogowym itp. We wszystkich sprawach wymagających pomocy i opieki konsularnej (wydawanie dokumentów zastępczych, udzielanie pożyczek, a także załatwianie spraw związanych z pobiciami i rabunkami) musieli jechać do Kijowa, odległego przecież od Lwowa o około 530 km. Dziś trudno sobie wyobrazić jakie męczarnie przechodziły np. rodziny z małymi dziećmi, gdy w upalne lato musiały jechać do Kijowa. Ja z tymi udrczonymi ludźmi się spotykałem, kiedy pracowałem w Konsulacie Generalnym w Kijowie. Wiedzieliśmy również, że Polacy byli masowo karani, wręcz szykanowani w trakcie przejazdu tranzytem. Na przykład w roku 1987 za naruszenie przepisów drogowych, zatrzymywanie się w miejscach niedozwolonych, zbaczanie z tras tranzytowych itp. zostało ukaranych ponad 12 tys. obywateli polskich. Poza tym Polacy do Kijowa musieli udawać się w sprawach dotyczących wydobywania dokumentów o pozostawionym mieniu, o grobach swoich bliskich, odpisów aktów urodzenia i ślubu, a także związanych z urodze-

niami i nadawaniem obywatelstwa dzieciom z rodzin mieszanych itp.

Urząd był także potrzebny mieszkańcom innych narodowości (w tym oczywiście przede wszystkim Ukraińcom) zamieszkującym Zachodnią Ukrainę. Ze względu na zaszciości historyczne mieli oni wiele powiązań z Polską. Ze wszystkimi sprawami dotyczącymi ich stosunków z naszym krajem musieli jeździć do Kijowa. Jako ciekawostkę należy potraktować to, iż jednym z pierwszych interesantów Urzędu był Zbigniew Brzeziński (oczywiście „korespondencyjnie”).

Chociaż strona radziecka twierdziła, że obywatele polscy mają zapewnioną opiekę pod każdym względem, to wobec powyższych faktów nie mogła przejść obojętnie. Na jej stanowisko duży wpływ miała podpisana w kwietniu 1987 r. przez Wojciecha Jaruzelskiego i Michaiła Gorbaczowa deklaracja o współpracy w dziedzinie ideologii i kultury.

Wyrażono wreszcie zgodę na otwarcie Agencji Konsularnej, pierwszej placówki konsularnej w powojennym Lwowie. Nie upieraliśmy się w sprawie rangi Urzędu, uznając że najważniejszą rzeczą było jego powstanie. Urząd został akredytowany na 7 obwodów: lwowski, wołyński, rowieński, tarnopolski, iwanofrankowski (stanisławowski), czerniowiecki i zakarpaci. Miejscowe władze pragnęły wprowadzić pewne warunki. Najpierw sugerowano, by do Lwowa przyjeżdżał na 2-3 dni konsul z Kijowa, a gdy to nie pomogło, domagano się, by nowo powstała placówka zajmowała się sprawami „czysto konsularnymi”.

Pierwsze kroki

Jak bardzo była potrzebna opieka konsularna nad naszymi rodakami świadczy chociażby to, że w 1989 r., gdy granicę przekroczyło ponad 3 mln Polaków, tylko około 600 z nich zostało ukaranych (por. dane z 1987 r.). Ze strony Urzędu zostały w ich sprawach podjęte setki interwencji.

Wzmógł się ruch na przejściu granicznym w okresie letnim powodował, że tworzyły się po stronie ukraińskiej gigantyczne kolejki, przekraczające bardzo często 10 km. Na odprawę nierzadko trzeba było czekać 4-6 dni. Jeżeli dodać, że przy drogach oczekiwania nie było żadnych toalet i sklepów, nie mówiąc o hotelach, zaś mieszkańcy miejscowości znajdujących się przy nich nie zezwalali naszym turystom (ze zrozumiałych względów) oczekiwać w nich na odprawę graniczną – będziemy mieli obraz „drogi przez mękę”.

W tej sprawie dużym osiągnięciem było to, że udało się, dzięki moim usilnym staraniom, wprowadzić na granicy wspólną odprawę celno-pasportową. Po stronie ukraińskiej straż graniczna i celnicy polscy wraz ze swoimi radzieckimi odpowiednikami dokonywali wspólnej odprawy przy wjeździe do Polski, a po stronie polskiej – odwrotnie. Miało to ogromny wpływ na szybkość i kulturę odpraw.

Pierwszy raz – pełniąc funkcję konsula w Kijowie – zetknąłem się z rzeczywistością lwowską w 1985 roku. W czasie mojej oficjalnej wizyty podjąłem z władzami Lwowa i obwodu lwowskiego rozmowy m.in. na temat Cmentarza Łyczakowskiego i Obrońców Lwowa. Stwierdziły one z oburzeniem, że we Lwowie nie ma żadnego Cmentarza Orłąt, jest Cmentarz Łyczakowski, na którym chowano Polaków, tak jak nie ma polskich szkół i polskiego teatru; są natomiast dwie



Włodzimierz Woskowski. Lwów, marzec 2012, fot. Jurij Smirnow

szkoły radzieckie, w których można prowadzić zajęcia w języku polskim i teatr amatorski, któremu zezwala się wystawiać spektakle w języku polskim.

Rzeczywiście, w miejscu, gdzie był Cmentarz Orłąt znajdowało się wysypisko śmieci. Groby zasypała ziemią i gruzem. Wyrósły na ich przez dziesiątki lat drzewa, krzewy i zielsko. Przez cmentarz przeprowadzono drogę, przy której wybudowano pałac młodzieży. Katakumby przekazano spółdzielni wytwarzającej nagrobki. Mieściła się w nich szlifiernia kamieni. Kolumnadę otaczającą łukiem fronton cmentarza, usytuowanego na wzgórzu, poroziowano z użyciem czołgów. Pozostała tylko arkada cmentarna.

Wobec lawinowo rozwijającej się sytuacji władze partyjne i państwowe czuły się coraz bardziej bezradne. Wyraziły w końcu zgodę na oddawanie świątyni wierzącym, na rozwijanie wszechstronnych kontaktów miejscowych Polaków z Krajem, wyjazdy dzieci i młodzieży na obozy, kolonie i naukę do Polski, a także na działalność Urzędu Konsularnego wykraczającą daleko poza problematykę „czysto konsularną”.

Wykorzystaliśmy to w całej pełni. Dzięki naszym staraniom już w drugim roku działania Urzędu na obozy i kolonie po raz pierwszy po wojnie do Polski wyjechało ponad 300 dzieci i młodzieży z rodzin polskich, zaś na studia do Polski skierowaliśmy ponad 200 młodych ludzi. Po raz pierwszy wyjechał do Kraju Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, a do Lwowa przyjechał Teatr „Kalambur” z Wrocławia z piosenkami lwowskimi. We Lwowie dzięki moim staraniom wydzielono kino „Kopernik”, w którym codziennie wyświetlano tylko polskie filmy w oryginale. Nieoceniony Jacek Klimowicz przywoził je samochodem konsulat z Rzeszowa. Pan Jacek wraz z żoną Oksaną tłumaczył na język rosyjski i ukraiński programy telewizyjne i rozsyłał je do wszystkich gazet obwodowych, wychodzących w rejonie działania Urzędu.

Wyjazdy dzieci i młodzieży na obozy, kolonie i kursy j. polskiego odbywały się na koszt strony polskiej. Tylko Lasy Państwowe w 1988 r. od-

dały do dyspozycji młodzieży lwowskiej w okresie letnim 170 miejsc w swoich ośrodkach wypoczynkowych. Przez granicę młodzież (i nie tylko) przewoziły autokary „Energopolu”, realizującego w tym czasie inwestycje we Lwowie. Nieocenioną pomocą w tych i innych przedsięwzięciach podejmowanych przez naszą placówkę, służył nam wspaniały człowiek, lwowiak, zakochany bez pamięci w swoim mieście, pisarz, scenarzysta, filmowiec i mój serdeczny przyjaciel Jerzy Janicki. Dzięki swoim znajomościom i pozycji w Kraju powodował, że wiele firm i instytucji z Polski finansowało powyższe poczynania. To dzięki Jego zaangażowaniu, do Lwowa przyjeżdżali coraz częściej wybitni przedstawiciele kultury i sztuki, nauki, pisarze, reżyserzy, aktorzy, piosenkarze, muzealnicy, konserwatorzy zabytków itp.

Chwile pełne wzruszeń...

Z wieloma z tych wydarzeń wiąza się określone historie, a także chwile pełne wzruszeń. Na przykład bardzo długo władze Lwowa nie chciały wyrazić zgody na przyjazd Teatru „Kalambur” z piosenkami lwowskimi – znowu ten wydumany polski nacjonalizm. Na moją prośbę władze Wrocławia przyjęły delegację władz Lwowa z kierownikiem Wydziału Kultury obwodu lwowskiego, odpowiednio z nią „popracowały”, no i te wreszcie zgodę na przyjazd Teatru „Kalambur”. A gdy w trakcie jego występów we Lwowie zabrzmiały słowa pieśni „Dzień deszczowy i ponury” – łzy w oczach mieli wszyscy znajdujący się w sali.

Albo pierwszy wyjazd lwowskiego Teatru Polskiego do Polski. Żeby go umożliwić przedstawiłem miejscowym władzom oficjalne zaproszenie Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Chociaż zapraszającymi były w rzeczywistości, o czym doskonale wiedziałem, władze kościelne z Wrocławia.

A pierwsze po wojnie wyjazdy dzieci i młodzieży na obozy i kolonie letnie do Polski. Wraz z pierwszym autokarem pojechałem na granicę. Po stronie polskiej czekali na swoich rówieśników ze Lwowa harcerze polscy. Wręczyli im biało-czerwone chusty i zaśpiewali wspólnie Hymn

Polski. Nikt z obserwujących te sceny nie mógł powstrzymać łez...

Mam ogromną satysfakcję, podobnie jak moi ówczesni współpracownicy, że w miarę naszych sił i możliwości oraz dzięki moim bardzo dobrym kontaktom z Urzędem ds. Wyznań, a także ogromnemu zaangażowaniu się wielkiego przyjaciela naszego Urzędu, Ukraińca, Konstantego Czawagi (obecnie dziennikarz „Kuriera Galicyjskiego” i współpracownik radia „Watykan”) w latach 1988-1990 w rejonie naszego działania zwrócono miejscowym Polakom około 100 obiektów sakralnych. Ścisłe kontakty utrzymywałam z ojcem Rafałem (Kiernickim). Gościem Urzędu był też arcybiskup Marian Jaworski.

Czas „pierestrojki”

W okresie nasilającej się „pierestrojki” uzyskałam zgodę na rozpoczęcie prac renowacyjnych w czynnie społecznym przez załogę „Energo-polu” na Cmentarzu Łyczakowskim, w tym w „kwartałach wojskowych”. Nie muszę dodawać, że do prac tych bardzo czynnie włączyli się miejscowi Polacy, którzy już wcześniej podejmowali działania mające na celu ochronę tego obiektu przed zniszczeniem.

W pierwszej kolejności przystąpiono do porządkowania i odrestaurowania kwatery powstańców listopadowych lat 1830-1831 i tzw. „górkę powstańców lat 1863-1864”, zwanej też „cmentarzyskiem powstańców styczniowych”. Konsekwencją zgody na prace renowacyjne w „kwaterach wojskowych” było rozpoczęcie prac na Cmentarzu Orłąt.

Pragnę zauważyć, że we wzajemnych relacjach długo nie używano nazwy Cmentarz Orłąt. Był Cmentarz Łyczakowski i kwatery wojskowe. Jeszcze w „Porozumieniu podpisanym przez Fundację Kultury Polskiej z Lwowskim Oddziałem Funduszu Kultury Ukraińskiej” w dniu 10 marca 1990 r. użyto takich sformułowań.

W języku oficjalnym we Lwowie nazwa „Cmentarz Orłąt” zaczęła się pojawiać w drugiej połowie 1989 r., a została niejako zalegalizowana podczas wizyty prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego we Lwowie w dniu 12 kwietnia 1990 r.

Kiedy mowa o początkach prac renowacyjnych na Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Orłąt, pragnę z ogromnym szacunkiem przywołać nazwisko mojego przyjaciela śp. Józefa Bobrowskiego – ówczesnego dyrektora „Energo-polu” we Lwowie. Jego zaangażowanie się i ogromny autorytet wśród załogi sprawiły, że z chwilą uzyskania przez Urząd Konsularny zgody na rozpoczęcie prac na Cmentarzu Łyczakowskim (de facto Cmentarzu Orłąt) załoga „Energo-polu”, podkreślałam w czynnie społecznym, dokonała rzeczy wręcz niemożliwej – do lata 1990 r. praktycznie wszystkie mogiły Obrońców Lwowa zostały odkopane, a śmiecie i gruz, którymi były przysypane, zostały wywiezione.

O postawie załogi i jej dyrektora niech świadczy jeszcze jeden przykład. W 1989 r. zwróciłem się do władz z prośbą o umożliwienie mi oddania hołdu poległym polskim żołnierzom Września 1939 roku – z okazji 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej. Wiedziałem, że są pochowani na dawnym przedmieściu Lwowa, w Hołosku. Zgodę uzyskałem 31 sierpnia. Co nastąpiło później, zrelekcjonowała w „Gazecie Wyborczej” pani Wiesława Grochala w artykule „Tylko we Lwowie”: „Kiedy Konsulat dał znak, że można, w jedna noc zrobili pomnik, krzyż z napisem Żołnierzom poległym w walce 1939 roku i posadzili wokół tuje tak, że nazajutrz w rocznicę Września, pośrodku działek, na dawnym śmietniku można było odprawić uroczystą mszę”.

Uzyskane efekty byłyby niemożliwe, gdyby nie zaangażowanie się

załogi „Energo-polu” i miejscowych Polaków w te poczynania, w pierwszej kolejności prof. Leszka Mazepy – pierwszego przewodniczącego powstałego w grudniu 1988 r. Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, oraz takich ludzi w Kraju, jak Jerzy Janicki. Tak się szczęśliwie złożyło, że w tym czasie ministrem budownictwa i materiałów budowlanych (jemu podlegał „Energo-pol”) był mój wieloletni przyjaciel Józef Niewiadomski, który do tej sprawy odniósł się z pełnym zrozumieniem.

Podjęcie prac na Cmentarzu Orłąt wymagało przynajmniej życiwej aprobaty ówczesnej opozycji ukraińskiej. To właśnie prof. Leszek Mazepa był organizatorem i wspólnie ze mną uczestniczył w spotkaniach z przewodniczącym „Ruchu” we Lwowie prof. Orestem Wlochem. Zaprzy-

„Hyde Parku” – centralnym punkcie miasta Lwowa, prospekcje Lenina, między operą a pomnikiem Mickiewicza, w miejscu, gdzie przed wojną wznosił się pomnik Sobieskiego. Co raz śmieiej i odważniej o swojej przynależności narodowej zaczęli mówić żyjący we Lwowie Polacy. Na mniej lub bardziej formalnych spotkaniach, w tym w Urzędzie Konsularnym, który był o każdej porze dnia dla nich otwarty, zrodziła się myśl o utworzeniu organizacji zrzeszającej Polaków.

Powstanie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej

Powstanie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej to wynik i efekt zbiorowej mądrości, odwagi i zaangażowania żyjących we Lwowie Polaków, a szczególnie ludzi ta-



Pierwsze walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Lwów, 1990 r. Fot. Archiwum KG

jażniony z Urzędem Konsularnym Konstanty Czawaga był organizatorem moich spotkań z przedstawicielami zdelegalizowanego Kościoła Unickiego. Nie muszę dodawać, że większość tego typu spotkań odbywała się poza siedzibą Urzędu.

Ważnym przedsięwzięciem w tym kontekście było spotkanie znanych ukraińskich polityków opozycyjnych Lwowa, m.in. profesorów wspomnianego już O. Włocha i M. Holubca z przedstawicielami polskiego Sejmu Kontraktowego, zorganizowane przeze mnie w Konsulacie. Uczestniczyli w nim m.in. senatorowie A. Szczepkowski (znany aktor) i J. Musiał, poseł J. Blachno oraz L. Mazepa, J. Janicki, S. Nicieja i in. Dokonał się szczerzy wymiany poglądów nt. perspektyw stosunków polsko-ukraińskich oraz potrzeb Polaków we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej.

Te poczynania, które przedstawiłem wyżej, (i nie tylko te), były podejmowane, o czym trzeba pamiętać, w okresie gdy jeszcze funkcjonowała władza radziecka. Wszystkie dziedziny życia społecznego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego regulowała partia. Przecież Ukraina proklamowała niepodległość dopiero 24 sierpnia 1991 r. A nasze działania odbywały się w latach 1987-1990. Jak pisze L. Mazepa w cytowanej już książce (s. 29) o lwowskich Polakach: „Byliśmy obywatelami ZSRR z całymi z tego wynikającymi konsekwencjami. Otoczeni i obserwowani przez wszelkie służby komunistyczne. Zresztą gdy zostałem prezesem Towarzystwa, mój telefon był na stałym podsłuchu (czułem, słyszałem w słuchawce stałą obecność i oddech tego kagebisty), zaś w roku następnym zdjęto mnie z funkcji kierownika katedry w Konserwatorium, chociaż moja kadencja się nie skończyła”.

I chociaż system radziecki ciągle funkcjonował, to jednak pojawiało się w nim coraz więcej pęknięć i rys. „Pierestrojka” i „glasność” powodowały wzrost poczucia narodowego Ukraińców i ich dążenie do utworzenia samodzielnego, niezawisłego państwa. Był to główny temat codziennych wystąpień, np. w swoistym ukraińskim

kich, jak Leszek Mazepa, Władysław Łokietko, Adam Kokodyński, Stanisław Czerkas, Zbigniew Jarmilko, Marian Baranowski, Jan i Zbigniew Bilowie, Adolf Wisłowski, bracia Emil i Józef Legowiczowie, Marta Markunina i dziesiątki innych.

Jestem szczęśliwy, że w okresie, gdy powstawało Towarzystwo i miejscowi Polacy z dumą wojowali o swoją tożsamość narodową, miałem szczęście być z tymi ludźmi i udzielać im, w miarę swoich sił i możliwości, różnorodnej pomocy.

Duszą i prawdziwym przywódcą oraz przewodnikiem na tej trudnej drodze był prof. Leszek Mazepa. Jego wysoka kultura osobista, takt, zaangażowanie, wyrozumiałość dla ludzkich słabości i ambicji, szacunek i uznanie w kręgach naukowych i kulturalnych odegrały decydującą rolę przy tworzeniu organizacji.

Wyrazem mądrości, polegającą na uwzględnieniu istniejących realiów, była nazwa organizacji. Nie związek, zrzeszenie, organizacja itp., lecz Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Nazwa sugerowała, o czym przekonywano władze, że Towarzystwo to organizacja, która jest otwarta dla wszystkich, którzy interesują się polską kulturą, a więc nie tylko Polaków. Stąd aktywnymi jego członkami zostali: Ukraińiec Konstanty Czawaga, wspaniały propagator kultury polskiej reżyser Teatru Polskiego Rosjanin Walery Bortiakow. Wspierali powstanie Towarzystwa miejscowi dziennikarze – codzienni goście Konsulatu – i takie autorytety, jak m.in. ówczesny rektor Wyższej Szkoły Sztuk Stosowanych (obecnie Akademia Sztuki) Emanuel Myśko, przewodniczący Lwowskiego Oddziału Literatów Ukrainy, wybitny poeta, deputowany do Rady Najwyższej, syn posła na Sejm II RP Rostysław Bratuń, przewodniczący „Ruchu” we Lwowie prof. O. Wloch i wielu innych intelektualistów.

Po stronie Ukrainy

Wielką zbiorową mądrością żyjących we Lwowie i na terenie Zachodniej Ukrainy Polaków było także i to, że od samego początku stały po stronie tych, którzy podjęli w wa-

runkach „pierestrojki” walkę o wolną i samodzielną Ukrainę. Prof. Leszek Mazepa w imieniu TKPZL oraz miejscowi Polacy dawali temu wyraz w trakcie różnorodnych spotkań z miejscowymi Ukraińcami.

Polacy aktywnie uczestniczyli w różnych akcjach politycznych, m.in. w wielu ogólnomiejskich wiecach potępiających represje stalinowskie, popierających ukraińskie dążenia niepodległościowe i na rzecz przeobrażeń demokratycznych. Wiece odbywały się na placu przed uniwersytetem, koło „Brygidek”, przed więzieniem na Łąckiego i wspomnianym już centrum Lwowa. Na placu przed Teatrem Skarbrowskim po raz pierwszy w powojennym Lwowie Polacy manifestowali pod biało-czerwonymi flagami. W styczniu 1990 r. po raz drugi z flagami narodowymi brali

wych” (relację z uroczystości zamieszczała m.in. „Lwowska Prawda”, nr 70 (12074 z 13. 04. 1990 r.).

Od autora...

Staralem się przedstawić niektóre poczynania nowo powstałego Urzędu w pierwszych latach jego funkcjonowania. Mimo że w ciągu pierwszego roku byłem jedynym konsulem w tym Urzędzie (w roku 1990 pracowało już 4 konsułów), to efekty pracy placówki zostały bardzo wysoko ocenione przez kierownictwo MSZ (podziękowania i gratulacje dla mnie od ministra Skubiszewskiego), miejscowych Polaków (czemu dają wyraz przy każdym moim pobycie we Lwowie), rodaków w Kraju, a także przez większość lwowskich Ukraińców.

Pragnę podkreślić z całą mocą, że efekty te osiągnięte przede wszystkim dzięki ofiarności, samozaparciu i serdecznemu zaangażowaniu się tych ludzi, którzy podjęli razem ze mną prace w Urzędzie w tym bardzo trudnym, obfitującym w znamienne wydarzenia okresie. To dzięki panu Jackowi Klimowiczowi, znającemu Lwów i realia lwowskie (pochodzi z Łodzi, ukończył studia we Lwowie, gdzie założył rodzinę i osiadł tu na stałe), mogłem szybko nawiązać ścisłą współpracę z odpowiednimi władzami i instytucjami. Pan Jacek, najpierw społecznie, używając własnego samochodu, gdy trzeba było to także w nocy i dni świąteczne, załatwiał sprawy konsularne. Kosztem wolnego czasu jeździł do Polaków oczekujących na przejściu granicznym, łagodził i rozwiązywał konflikty w kolejkach oczekujących na odprawę. Faktownie przez rok pełnił funkcję mojego nieformalnego zastępcy. Musiał się zmierzyć z wieloma problemami, zwłaszcza wtedy, gdy ja wyjeżdżałem służbowo do innych odwołów. Z ogromu swoich obowiązków wywiązywał się zawsze wzorowo.

Nie do przecenienia była pełna zaangażowania praca pani Mirosławy Woskowskiej (prywatnie mojej żony). Pełniła funkcję księgowej, zajmowała się sprawami finansowymi, zaopatrzeniem oraz recepcją interesantów o każdej porze dnia i nocy (mieszkaliśmy na terenie Konsulatu). Ludzimo, najczęściej wymęczonym i zdenerwowanym, zawsze służyła dobrym słowem, szklanką herbaty lub kawy i w miarę potrzeby podejmowała stosowne interwencje.

Tej dwójce dzielnie sekundowali: śp. Ewa Tarchanow, kierowca „Giena” Kogut i Natasa. Dzięki nim Urząd był czynny całą dobę, nie znali pojęcia „godziny urzędowania”, pracowali zaś za marne grosze. Żadne z nich nie miało poborów przekraczających 150 USD miesięcznie.

Ja mogłem tylko wynagrodzić ich uznaniem i szacunkiem, co wielokrotnie z perspektywy minionych lat.

Efekty osiągnięte w tak krótkim czasie były możliwe także dzięki wsparciu, życzliwości i w wielu sprawach konkretnej pomocy ze strony licznych instytucji i organizacji krajowych oraz takich ludzi, jak Jerzy Janicki. Na każdym kroku mogłem liczyć na pomoc i wsparcie miejscowych Polaków, którym przewodził wybitny uczonek, wspaniały, mądry człowiek prof. Leszek Mazepa.

Bardzo pozytywną atmosferę wytworzyli miejscowi dziennikarze, z którymi systematycznie się spotykałem, m.in. na comiesięcznych konferencjach prasowych. Niemalże wpływ miało i to, że udało mi się w niedługim czasie ułożyć pełne zrozumienia partnerskie stosunki z miejscowymi władzami i o czym wspominałem – z opozycją.

W 25. rocznicę powołania Urzędu Konsularnego we Lwowie życzyłbym ludziom w nim zatrudnionym wielu sukcesów w pracy i wszelkiej pomocy w życiu osobistym.

Sposób na życie... w warunkach całkowicie odmieńionych

z ELŻBIETĄ SMUŁKOWĄ, slawistką, białorutenistką, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i pierwszym ambasadorem RP na Białorusi, rozmawiał we Lwowie, mieście jej urodzenia i dzieciństwa, KONSTANTY CZAWAGA.

Prof. dr hab. Elżbieta Smułkowa jest specjalistką w zakresie języka i dialektów białoruskich oraz słowiańskiego językoznawstwa porównawczego. Badaczka polsko-białorusko-litewskiego pogranicza w zakresie kontaktów językowych i problematyki socjo-etnolingwistycznej. Organizatorka kształcenia młodej kadry naukowej (polskiej i zagranicznej) w zakresie interdyscyplinarnych badań terenowych pogranicza językowego i kulturowego. Kilkakrotnie odbywała staże naukowe w Kijowie, Mińsku i Moskwie. Prowadziła wykłady gościnne na zaproszenie Uniwersytetów w Lund i w Konstancji. Uczestniczka Międzynarodowych Kongresów Slawistycznych i licznych międzynarodowych konferencji w kraju i zagranicą, w tym w 1990 roku w Rzymie na sympozjum *The Foundations of Historical and Cultural Traditions in East Central Europe: Belarus, Lithuania, Poland, Ukraine*, na którym po raz pierwszy spotkali się przedstawiciele państw postsowieckich z badaczami emigracyjnymi Ameryki i krajów Europy Zachodniej. Jest autorką „Księgi referatów i dyskusji Okrągłego stołu”, która została wydana w Lublinie w 1994 roku. W latach 1991-1995 początkowo konsul generalny, a następnie pierwszy ambasador RP na Białorusi. Autorka ponad 160 publikacji naukowych.

Pani profesor, skąd u rodowitej lwowianki takie wielkie zainteresowanie kwestią języka białoruskiego?

Po wojnie trafiłyśmy z matką do Torunia. Do Torunia przeniesiono wtedy Uniwersytet Wileński, dawny Stefana Batorego, i środowisko Uniwersytetu Wileńskiego prowadziło polonistykę w Toruniu, którą ja zaczęłam studiować. Była tam bardzo ciekawa i mądra osoba – prof. Halina Turska, która badała gwary białoruskie, polonizację Litwinów i częściowo Białorusinów na terenie Wileńszczyzny. Ja broniłam u niej swą pracę magisterską. Prof. Turska podsunęła mi pomysł badania gwar białoruskich na Białostocczyźnie. Także dawny Uniwersytet im. Stefana Batorego wpłynął na moje zainteresowanie lingwistyczne. No a potem potoczyły się już moje losy naukowe, kolejne prace, gdzie zobaczyłam jak bardzo wiele ciekawego jest w tym języku, jakie istnieją archaizmy, jaki związek z językiem litewskim, z polskim i świadomość, że to jest pogranicze wyrażone w kulturze, w świadomości ludzkiej i w samym języku właśnie.

Takie „muzeum lingwistyczne”?

Muzeum to za dużo powiedziane, ale na pewno ślad oddziaływania na gwary ludowe, kultury zarówno litewskiej, jak i polskiej jest duży, a od pewnego czasu też kultury rosyjskiej. Wpływ języka rosyjskiego jest tam ogromny. W tej chwili tak duży, że w jakimś sensie zagraża żywotności języka białoruskiego.



Prof. Elżbieta Smułkowa

A czy nie ma zagrożenia języka białoruskiego ze strony języka litewskiego i polskiego?

Myślę, że nie, musimy tu uściślić, czy chodzi o czasy najnowsze. Z wpływem litewskim jest o tyle trudno, że to jest bardzo odległy system językowy. Jeżeli ludzie nie mieszkają w tej samej wsi, jeżeli nie są te osoby od dawna związane, to nawzajem się nie rozumieją. Natomiast w części północno-zachodniej Białorusi, gdzie ludność litewska, białoruska i polska jest przemieszana, tam właściwie każdy z tych trzech języków jest wzajemnie zrozumiały. I takie badania prowadziliśmy w okolicach Brasławia na Białorusi, gdzie jest granica lotewska, litewska i białoruska. W takim trójkącie – ludzie porozumiewają się między sobą zupełnie dobrze.

Kim są „słynni” białoruscy „tutejsi”?

Kim są „tutejsi”? Na to można odpowiedzieć albo dowcipem, albo dłuższym wykładem. To nie jest, jak się często ludziom wydaje, unikanie samookreślenia. To jest podkreślenie istoty rzeczy. To jest podkreślenie tego, że przy licznych i kolejnych zmianach państwowości istotne jest zamilowanie do miejsca rodzinnego, miejsca pochodzenia, krajobrazu. Ta Mała Ojczyzna jest tutaj sprawą najważniejszą i nie trzeba wyciągać za daleko idących wniosków z tego określenia. Natomiast trzeba powiedzieć, że określenie „tutejsi” wychodzi już z użycia. Bardzo dużo jeździłam po wsiach w początkach moich zainteresowań dialektami. Miałam dużo do czynienia z tymi ludźmi. Oni mają swoją świadomość, tylko że ta świadomość jest oparta na czymś innym. To jest świadomość oparta przede wszystkim na religii, na wy-

znaniu. Na wyznaniu, na miejscu urodzenia i pochodzenia.

A samookreślenie narodowe?

Jest tego jeszcze ciągle za mało, ale ono się buduje wyraźnie i na pewno wśród średniego pokolenia czy młodzieży nikt już nie powie, że nie wie kim jest. Białoruska świadomość narodowa rozwija się razem z państwowością. Rozwija się, nawet jeżeli ta państwowość nie zawsze obywatelowi odpowiada.

Ostatnio świadoma narodo młodzię z Białorusi często emigruje do Polski, na Litwę. Czy nie straci ona swej tożsamości w innych krajach?

Wyjeżdża bo, w dużym stopniu, nie widzi dla siebie perspektyw w kraju. Jest to niestety prawda. Historia wskazuje na różnego rodzaju emigracje, ale jeżeli będzie bardzo rozproszona, jeżeli nie potrafi jakoś na tyle się zorganizować, żeby dbać o swoje, to pewien rodzaj zagrożenia niewątpliwie istnieje. To jest chyba w dużym stopniu uwarunkowane szerszymi europejskimi problemami społeczno-politycznymi. Jeżeli zwycięży tylko dążenie do dobrobytu – to się rozproszy, to się zasymiluje z tym środowiskiem w którym żyje. Ale jeżeli będzie wartością chociażby ta państwowość, którą oni już zdobyli i poczuli jako wartość, może być inaczej. To nie jest tak, że jest im wszystko jedno. Oni rozumieją, że jest Białorus, że są Białorusinami. Kwestia jak głęboko w mentalność ludzką weszło to, że oni na co dzień są rosyjskojęzyczni. To trochę przeszkadza w zachowaniu odrębności. To, że Ukraina, przynajmniej Zachodnia, tak konsekwentnie trzyma się swego języka – jest dużą wartością. Bo ona czysto zewnętrznie odróżnia się od reszty,

od innych. Natomiast każdy przychodzący z zewnątrz jeżeli nie widzi tej odrębności językowej to unifikuje. U nas się mówi – Rusczy. Handlują na targu Ruscy. A czy oni są Ukraińcami, czy oni są Białorusinami, czy Rosjanami to każdemu jest wszystko jedno. Myślę, że akcja zadbania w tej chwili o zachowaniu języka ukraińskiego tutaj, też ma duże znaczenie. Nie wiem jak pan to ocenia, ale wydaje mi się, że dużą wartością jest zachowanie języka, ażeby nie stracić tożsamości narodowej.

Czy mianowanie Ambasadora RP na Białorusi było dla Pani niespodzianką?

Było niewątpliwie w jakimś sensie niespodzianką i rzeczą przed którą ja się dość długo wzbierałam, bo dobrze się czułam w swojej naukowej skórze. Ale myślę, że dobrze się stało, bo ja znalazłam Białorus jako badacz – badacz przede wszystkim języka wiejskiego, a w tej nowej funkcji poznałam stosunki właśnie odgórnie i to jak Białorus funkcjonuje jako państwo. Myślę że dzięki temu zyskałam szerszą wiedzę na temat narodu, na temat kraju. Nie żałuję tej decyzji. Ale jak tylko się umowa skończyła, natychmiast wróciłam do swojej uniwersyteckiej pracy i do swoich badań. Pozostaje niewątpliwie doświadczenie z tej pracy i pozostają szerokie kontakty. Nieraz jestem zaskakiwana, bo było to tyle lat temu, a wracają do mnie różne ludzkie wspomnienia, takie czy inne, ale na ogół pozytywne. Tak, że jakąś satysfakcję z tego okresu mam.

Jak pani profesor ocenia obecną sytuację na Białorusi?

Niestety dość jednoznacznie. To nie jest takie łatwe do określenia, dlatego że Białorusinom żyje się w miarę normalnie. Z tego względu, że nie mają bardzo dużych wymagań. To jest jedna z tych przyczyn, dla których tam nie ma szeroko rozbudowanej opozycji. Natomiast rzeczy, które się dzieją z jednostkami walczącymi o zachowanie większej swobody i demokracji są bezwzględnie do potępienia.

Jaki jest cel Pani wizyty we Lwowie?

Cel tej wizyty jest bardzo ściśle określony. Ja, przebywając kiedyś jako stypendystka państwa polskiego na Ukrainie, doznałam bardzo wiele dobrego od grupy osób z inteligencji lwowskiej. Ponieważ miałam tutaj pewien wypadek – uszkodziłam sobie kręgosłup, byłam leczona przez panią doktor Pelczarską. W jej domu

przeleżałam prawie miesiąc. Więc w sytuacji kiedy poznałam tych ludzi, a zarazem wartość życia, uznałam, że trzeba w jakiś sposób ich upamiętnić. Napisać wspomnienie o ludziach z okresu powojennego, którzy wtedy tutaj reprezentowali, kontynuowali kulturę polską. O ludziach, którzy w moim przekonaniu są zasłużeni dla tego regionu. Nie tylko dla samej kultury polskiej, ale i pokazania sposobu na życie. Należy pokazać te kontakty, które one, jako Polki, miały z miejscową ludnością ukraińską. I myślę, że to jest ta zasadnicza rzecz. Poza tym mam trochę materiału od nich samych. Mam trochę rysunków, wierszy okolicznościowych, świadczących o zwyczajach. Ja bym określiła to tak – sposób na życie w warunkach całkowicie odmieńionych.

Skrawkiem polskości na tych ziemiach był Kościół...

Tak, w dużym stopniu był Kościół i one były z tym Kościołem bardzo związane. Tu są różne środowiska polskie we Lwowie. Ja miałam do czynienia akurat bardziej z jednym środowiskiem, można je nazwać lekarsko-pielęgniarskim i tym się chciałam zająć. Natomiast wiem, że już powstały różne prace. Ja w tej chwili rozmawiam z różnymi ludźmi, także z panią Janiną Zamojską.

Wydaje mi się, że jest bardzo ważne żeby nie puszcząć w niepamięć różnych ważnych okresów historycznych. A osoby, o których mam zamiar napisać, miały duże znaczenie w pokazaniu tych zmian historycznych i roli kultury polskiej we Lwowie. Zupełnie niezależnie od jakichś resentymentów, bo nie o to chodzi. Chodzi o zachowanie prawdy, ciągłości kulturowej i niezakłamania, niezapomnienia o tym, że była tu Polska. Jeżeli się nie wychwyci konkretnych czynów, działań ludzkich i nie pokaże, to trudno żeby młodzież mogła o tym wiedzieć. Za młodu niechętnie uczymy się historii. Natomiast kiedy człowiek dojrzewa i zaczyna więcej rozumieć, powinien wiedzieć jak żyli jego przodkowie. W tym celu, między innymi, chciałabym napisać o ludziach, którzy mi zaimponowali, których ja jako młody człowiek poznałam. Wracam do tego dopiero teraz. A poznałam ich jako młody człowiek, który zobaczył jak można odnosić się do miejsca swego urodzenia, wychowania, przodków. Chciałabym, żeby pamięć o wartościowych ludziach nie zaginęła i dlatego zajęłam się tym.

Bardzo liczymy także na pomoc naszych czytelników. Dziękuję za rozmowę.

Elżbieta Smułkowa przygotowuje udokumentowane wspomnienia i zbiera informacje o życiu i działalności pań Ireny Pelczarskiej, Marii Skierskiej i Janiny Sosabowskiej. Interesuje się ich działalnością w czasie okupacji i w okresie sowieckim, zbiera materiały potrzebne do odtworzenia życiorysów tych wybitnych Polek-Lwowianek, które poświęciły się opiece nad chorymi i samotnymi Polakami we Lwowie i działały na rzecz kultury polskiej. Interesuje się też informacjami o ich odznaczeniach i wyróżnieniach, które otrzymywały od władz RP za swą działalność.

Osoby posiadające informacje, wspomnienia i dane potrzebne do pracy naukowej proszone są o kontakt mailowy:

esmu@obta.uw.edu.pl

Czy odnajdą szczątki generała „Nila”?

Z tego miejsca nikt nie wraca takim, jakim był wcześniej – powiedział mi mój przyjaciel, informując mnie, że od dwóch tygodni trwają prace ekshumacyjne obok muru warszawskiego cmentarza na Powązkach. Od pół roku polski Instytut Pamięci Narodowej realizuje projekt badawczy pod tytułem „Poszukujemy miejsca pochówku nieznanych ofiar terroru komunistycznego” w całym kraju.

MARCIN ROMER

Jesteśmy tu na tzw. „Łączce”, czyli na kwaterze „Ł” wojskowego cmentarza powązkowskiego w Warszawie – mówi dr KRZYSZTOF SZWAGRZYK, prowadzący prace ekshumacyjne z ramienia IPN. – Tutaj w latach od 1948 do 1956 były grzebane ofiary systemu komunistycznego – tych najważniejszych, tych, których skazano na karę śmierci i stracono. Wśród nich gen. Fiedorfa – „Nila”, rtm. Pileckiego, mjr. „Łupaszka”, płk Olechnowicza, mjr Dekutowskiego – „Zaporę” i wielu, wielu innych. Tych którzy organizowali opór przeciwko reżimowi komu-



dr. Krzysztof Szwagrzyk

nistycznemu i tych, którzy za ten opór zapłacili cenę najwyższą. To miejsce, w którym przed dwoma tygodniami rozpoczęliśmy działania ekshumacyjne jest najważniejsze, jeżeli chodzi o skalę terroru w naszym kraju. Tutaj spoczywają nasi bohaterowie, ci którzy w normalnym kraju byłiby kiedyś ministrami, urzędnikami, byłiby dowódcami, naukowcami. W Polsce bolszewickiej uśmiercono ich, a potem przez kilkadziesiąt lat zacierano ślady ich pochówku. Bardzo się cieszę, że po latach doszło do takiej sytuacji, gdy nie mówimy, że trzeba ich odnaleźć, a prowadzimy konkretne działania ekshumacyjne, których zadaniem jest odnalezienie szczątków i najważniejsze, ich identyfikacja.

Dziś, po dwóch tygodniach prac mogę powiedzieć, że udało nam się wydobyć szczątki 28 osób – jednej kobiety i 27 mężczyzn. Byli pochowani bez żadnych trumien, po prostu wrzuceni po dwóch, trzech, a nawet, jak przekonaliśmy się dziś, po sześciu do jednej jamy grobowej. Większość tych ludzi została uśmiercona metodą katyńską – strzałem w potylicę z przyłożeniem. W kilku wypadkach kat modyfikował tą wersję i strzelał skażącymi między oczy. Jednocześnie z naszymi pracami ekshumacyjnymi prowadzimy poszukiwania rodzin i bliskich ofiar po to, żeby pobrać od nich materiał genetyczny. Pozwoli nam to na ostateczną identyfikację znalezo-



nych szczątków. Po to podejmujemy te działania, żeby nie tylko odnaleźć, szczątki jeńców, ale móc ich nazwać po nazwiskach. Materiał genetyczny przekazywany jest do naszego centrum, gdzie w laboratorium będą trwały wielomiesięczne prace nad ustaleniem tożsamości ofiar. Zanim ogłosimy jakiegokolwiek nazwisko musimy mieć absolutną pewność do kogo należą szczątki. Nikt z nas nie udzieli jakiegokolwiek informacji, nawet o naszych przypuszczeniach, bo społeczeństwo nie może opierać się na naszych przypuszczeniach, a mieć wiedzę absolutną i niepodważalną.

Czy przychodzą rodziny straconych?

Bardzo dużo. Zdarza się, że w ciągu dnia mamy kilka lub kilkanaście rodzin, Niektórzy przyjeżdżają nawet z bardzo daleka. Jest to dla tych ludzi ogromny ładunek emocjonalny. Jeżeli ktoś przez kilkadziesiąt lat nie miał szans na odnalezienie



pochówku ojca czy męża, a instytucje tego państwa traktowały tych ludzi źle, a nawet wrogo. Jeżeli minęło ponad 20 lat od upadku komunizmu i dalej nic o nich nie wiadomo. Aż tu nagle pojawia się informacja, że prowadzone są prace ekshumacyjne. Poszukujemy tych ludzi wyłącznie po to, aby pobrać materiał genetyczny – to jest informacja, na którą ci ludzie czekali kilkadziesiąt lat. Trudno się dziwić, że towarzyszy temu taki ogromny ładunek emocjonalny.

Co Pan odczuwał rozpoczynając prace? Czy liczy Pan na odnalezienie szczątków gen. „Nila”?

Nie rozpoczynaliśmy naszych prac z taką świadomością. Chcemy, naturalnie, odnaleźć szczątki generała „Nila”. Ale dla mnie oni wszyscy są równi. Jeżeli my zostaniemy obrani, żeby go odnaleźć, to będzie to sytuacja, po której mogę powiedzieć, że „teraz mogę tylko umrzeć”. Ale nie wiem jak będzie. Cudem zabezpieczyliśmy materiał genetyczny, szukamy go tutaj. Ale może to nie my będziemy mieli szczęście go odnaleźć. Może ten materiał posłuży komuś dopiero za lat 50. Nauka daje nam instrumenty, ale my jesteśmy ułomni. A nauka się stale rozwija. My możemy czegoś nie dopatrzeć, źle przeanalizować. I mam świadomość tego, że może się nam nie udać zidentyfikować zwłok generała „Nila”.

Czy to jedyne miejsce, w którym prowadzicie prace?

Nie, nie jedyne. Poszukiwania na Dolnym Śląsku realizowaliśmy już wcześniej. IPN prowadzi je od

Straszna historia kota i jego pani, czyli o dobrym carze i złych bojarach

Ten kot i ta starsza pani na pewno przejdą do historii ukraińskich wyborów. Te postacie wywołały nerwową reakcję urzędników obwodu dnipropropietrowskiego. Z pozoru śmieszna historia może jednak świadczyć o tym, że w czasie tej kampanii władze centralne będą walczyć z opozycją, wykorzystując właśnie lokalnych urzędników.



PIOTR POGORZELSKI
Polskie Radio
<http://elections.blox.ua>

Jedna z informacyjnych stron internetowych Dnieprodzierżyńska, związana z opozycją, reklamowała się na billboardzie plakatem ze zdjęciem starszej pani z kotem i podpisem: „Dowiedziałam się, że wnuk głosował na Partię Regionów, zapisałam [w testamentie] chatę kotu”. Od razu zareagował gubernator obwodu dnipropropietrowskiego Oleksandr Wilkuł, który zażądał, aby zdjęto billboardy. Plakatu nie zdjęto, za to zaklejono jego pierwszą część, gdzie mowa jest o rządzącej Partii Regionów.

Wiadomość obiegła od razu cały kraj i spowodowała wysyp twórczości internetowej. Pojawily się zatem przeróbki reklamy. W jednej z nich, kot zapisuje się do UPA ponieważ dowiedział się, że wnuk głosował na Partię Regionów.

Rzeczywiście pomysłodawca pierwowzoru jest poszukiwany przez milicję, prawdopodobnie jednak w związku z inną sprawą, swojej działalności na posadzie sołtysa. Niemniej jednak historyczna reak-

cja miejscowych władz pokazuje, że boją się one wszystkiego, nawet najmniejszych przejawów wolności słowa. Część działań ma jednak pewne cechy koordynacji z centrum. Nikt już nie prześladowa teraz w Kijowie telewizji TVi, ani jej szefa Mykoły Kniażycyckiego, który kandyduje w wyborach z listy Bloku Julii Tymoszenko. Teraz jest ona wyrzucana z sieci kablowych w poszczególnych miastach kraju. Nikt nie walczy z reklamami opozycji na poziomie ogólnokrajowym. Znikają one jednak w poszczególnych obwodach. W tym samym Dnieprodzierżyńsku, od którego rozpocząłem dzisiejszy wpis, spłonęło 15 tablic reklamowych, na których były hasła opozycji.

Później oczywiście władze centralne, na czele z prezydentem, będą mówić, że starały się zrobić wszystko, aby kampania wyborcza była uczciwa, niestety nadgorliwi urzędnicy przeszkadzali. Stara bajka o dobrym carze i złych bojarach będzie wciskana Brukseli i innym zachodnim stolicom. Wydaje się, że właśnie w tych wyborach władze stawiają na drobne działania oddolne licząc na to, że nikt na Zachodzie ich nie zauważy.

PODOBNO NIE MA PRZYPADKÓW

Spotkałem KRYSTYNĘ LENKOWSKĄ kilka lat temu kiedy, w składzie delegacji polskich pisarzy, przebywała w Iwano-Frankowsku. Podarowała mi swoją książkę „Pochodnio, różo”. W zasadzie, nie mieliśmy potem kontaktów pocztowych, aż do czasu kiedy podjąłem się tłumaczenia poezji polskiej poetki Haliny Poświatowskiej. Wiedziałem, że Krystyna Lenkowska ma niemałe doświadczenia translatorskie i że jej rady będą dla mnie cenne. Teraz pomaga mi w odczytywaniu pewnych niuansów których, jako człowiek z obcojęzycznego środowiska i innej mentalności, nie mogę uchwycić. W trakcie naszej korespondencji, dowiedziałem się, że Lenkowska pracuje nad tłumaczeniami Emily Dickinson. Przedstawiam czytelnikom KG wywiad z poetką. Może nieco spontaniczny, ale frapujący.

WOŁODYMYR HARMATIUK

Kilka lat temu była Pani w Iwano-Frankowsku w składzie delegacji pisarzy z Krakowa. Od tamtej pory Ukraina znów oddaliła się od Europy. Choć jesteśmy sąsiadami, wciąż dzieli nas rzeczywistość i karkołomna granica między państwami. Czy ma Pani uczucie, że jesteśmy blisko czy daleko?

Zostałam zaproszona do udziału w tournée literackim po Ukrainie, wraz z grupą innych poetów zrzeszonych w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Między innymi odwiedziliśmy Lwów, Drohobycz. W Iwano-Frankowsku gościliśmy w Związku Literatów oraz na uniwersytecie. Rzeczywiście dotkliwie jest przekraczanie granicy polsko-ukraińskiej. Doświadczyłam tego kilka razy. Zarówno celnicy polscy, jak i ukraińscy muszą mieć jakieś odgórne, surrealne (bo czemu to służy?) przepisy żeby „dręczyć” turystów na granicach. W moim wierszu, który miał już swoje publikacje książkowe i radiowe, pod tytułem „Ukraina Ukraina”, jest taki fragment:

*Za stepem miasto Chmielnicki
Granica*

Krakowiec

*w alfabecie łacińskim zapisana
karta kolejka*

*kolejka do mycia nie-do-myta kolejka
do historii do małej białej karteczki
po małą białą karteczkę po takim
bielmy*

kartok po dziurki w nosie

po horyzont konwoje

karawany stepowe

exodus do manny do mekki

do medyny w każdą stronę

deszcz

Uważam, że w sensie poczucia czasu, cywilizacyjnie, Ukraina i Polska, oddalają się nie tylko od siebie, ale od świata, a może nawet od historii. Tak jakby nasze historie biegły wstecz, ale w przeciwnych kierunkach (zmieniając parametry czasoprzestrzeni) i żaden z nich nie był kierunkiem w przyszłość. W Polsce, swoiste uwstecznienie, widoczne na razie na poziomie debaty politycznej, mało koncyliacyjnej, dotyczy statystycznie (i geograficznie) jakby tylko (aż?) połowy kraju. Nadzieja w drugiej połowie? Której? Mam nadzieję, że nie w tej z nutką nacjonalistyczną. A może nadzieja w ucywilizowaniu dyskursu między opozycją a rządem? Ukraina pod względem demokratycznej debaty nie wygląda lepiej, bo tam demokratycznej debaty, z naszej, polskiej, perspektywy, nawet nie widać. Chciałabym się mylić. Spotkałam mnie kiedyś (nie wiem czy aby zasłużony) zaszczyt partnerowania w dyskusji radiowej na żywo, z udziałem pu-

bliczności, wybitnemu ukraińskiemu filozofowi, profesorowi Myroslawowi Popowyczowi z Kijowa. W ramach Spotkań Europejskich i Transatlantycznych, zainicjowanych i współorganizowanych przez konsulat generalny USA w Krakowie, które były próbą konfrontacji poglądów na wybrane tematy polskich i ukraińskich intelektualistów – ludzi nauki i kultury, wtedy w roku 2007, rozmawialiśmy o „Poszukiwaniu Autorytetów”. Dopiero teraz zaczynam rozumieć dogłębnie gorzkość przewidywań filozofa i nasz polski naiwny sentyment do Rewolucji Pomarańczowej, wiarę, że demokracja na Ukrainie jest tuż tuż. Prywatnie, myślę, że mimo ograniczeń wokół, jako ludzie, Ukraińcy i Polacy, jesteśmy znów bliżej siebie (jak sprzed stalinowskich czasów). Mówię to na przykładzie moich własnych relacji oraz relacji moich przyjaciół i znajomych. Wiele zawdzięczamy Internetowi, o czym świadczy choćby ten wywiad. Internet nie musi stać w kolejce, on biegnie przestrzenią ponad granicami.

Mówi się, że kultura jest ponad granicami i ponad polityką, chociaż tak chyba nie jest. Na przykład artyści ukraińscy uważają, że instytucje państwowe Ukrainy niezbyt chętnie wspierają projekty kulturalne. Na przykład projekt polskiego zespołu Karbido i ukraińskiego pisarza Andruchowycza wspierany jest przez polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, natomiast nie wsparło go Ministerstwo Kultury Ukrainy. W naszym środowisku muzycznym mówi się, że Polska lepiej dba o kulturę niż Ukraina. Jak wygląda wsparcie kultury w Polsce w Pani odczuciu?

Odnoszę wrażenie, że u nas też jest z tym kiepsko, a nawet coraz gorzej. Artyści i pisarze protestują, wręcz strajkują, z powodu braku wsparcia rządu dla stowarzyszeń twórczych, likwidowania umów o dzieło, redukcji dotacji, budżetów, etatów. Tytułowi pisarze i artyści, nie może sobie pozwolić na kredyt mieszkaniowy ani szpital w ramach podstawowych świadczeń. Znikają z mapy kulturalnej Polski renomowane festiwale, orkiestry, wydawnictwa, periodyki, stowarzyszenia, muzea. Cały świat oszczędza w kryzysie, więc naturalnie i Polska oszczędza. Szkoda, że też na kulturze, bo to ma krótkie nogi. A fakt wsparcia Andruchowycza przez MKiDN świadczy o tym akurat, że w Polsce kultura jest ponad granicami i polityką. Ten gest jest chwalebny nie tylko z powodów dobrosąsiedzkich sto-



sunków. Strategia wspierania wysokiej kultury (Jurij Andruchowycz otrzymał w Polsce prestiżową, międzynarodową Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus) budzi nadzieje na postawienie spraw kultury z głowy na nogi. A mówię to w kontekście finansowania przez polskie ministerstwa i samorządy kultury niskich lotów; szczególnie lokalne budżety w tym brylują (muzyka disco polo, gwiazdy jednego sezonu, festiwale na przypadkowo zdany temat, bez tradycji, wiarygodnej proweniencji, stylu, a szczególnie bez jakości artystycznej). Z powodu braku odpowiedniego mecenatu państwa, również instytucje kultury, nawet te narodowe, dryfują w kierunku blichtru i masowej popularności.

Nad czym teraz Pani pracuje? Pisała Pani, że nie ma czasu na własną poezję, na tłumaczenia...

Na pisanie poezji zawsze mam czas. Kiedy przychodzi zew, to uczucie staje się tak dojmujące, że rządzi moim czasem, a nawet dzieje się w sferze pewnej „bezczasowości”. Natomiast wiele uświadomionego czasu poświęcam ostatnio na tłumaczenie wierszy XIX-wiecznej Emily Dickinson. W największym skrócie, pod względem wagi, Dickinson to „amerykański Szekspir”.

Dlaczego właśnie Emily Dickinson? Czym ona Panią zachwyca?

Emily Dickinson zachwyca mnie precyzją. W krótkim lub bardzo krótkim wierszu jest głęboka myśl, niezmiennie absorbująca i aktualna, choć minęło około 150 lat od jej napisania. A w niej – zagadka i kosmos. Dickinson jest uważana za jednego z najoryginalniejszych amerykańskich poetów (gramatyczna końcówka męska oznacza, że chodzi zarówno o poetki i poetów). Wciąż intryguje świat swoim niekonwencjonalnym łamanym metrum rytmicznym oraz stylem poetyckim wyprzedzającym epokę. Poetka była introwertyczką, która tak uchwyciła rzeczywistość swoim wrażliwym, wyostrozonym wzrokiem, że to unikalne oko wciąż inspirowało miliony miłośników poezji na całym świecie. Nie jestem oryginalna, też zachwyca mnie poezja Dickinson. Ona wpasowuje się w moje osvajanie rzeczywistości; afirmowanie życia poprzez zgodę na śmierć i ułomną rzeczywistość, przez ciągle rozszyfrowywanie światów przyszłych i jakby codzienne doświadczanie wieczności, która już się zaczęła. Religijność Dickinson bardzo odbiega od tego, co na ogół uważamy za religijne. Na pewno jest anty-obrzędowa. Szukać jej można w przyrodzie i metafizyce.

Pierwsze spotkanie z Emily Dickinson. Jakie ono było?

Pewnie po raz pierwszy spotkałam Emily Dickinson na studiach, bo ona jest w programie literatury filo-

gii angielskiej. Widocznie nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, bo nie pamiętam uderzenia piorunem. Na pracę magisterską wybrałam dramat. Potem było kolejne „pierwsze” spotkanie w księgarni w Anglii. Kupiłam sobie małą, śliczną książeczkę z obrazkami. Śliczną nieprzystającą do siemiężnie, genialnie prostej treści. Kilka lat później przetłumaczyłam kilka wierszy; opublikowano je w literackiej FRAZIE i wciąż byłam przed swoim „pierwszym” spotkaniem. Myślę, że zdarzyło się to pewnej nocy, kiedy po raz już nie wiem który, przeczytałam wiersz „I heard a Fly Buzz – when I died –” („Usłyszałam Muchę – umierając –”). Końcówka wiersza „– and then / I couldn't see to see” („– i już / Nie widziałam widzenia –”) wciąż pozostaje dla mnie nieodcignioną frazą poetycką. Chyba niemożliwą do oddania z tym, co mieści się w jej wieloznaczności i rytmie. Nie tylko ze względu na specyfikę samego języka angielskiego bogatego w jednosylabowe wyrazy.

Tłumaczenie to rzecz bardzo delikatna – nieudolne może zabić treść oryginału. Aktor musi przeżyć swoją sceniczną rolę, żeby była prawdziwa. Czy łapie się Pani na tym, że w swoich wierszach, w życiu „to już nie jestem nie ja, a Emily...”?

Nie mam takich dylematów. Choć w jakimś sensie zawsze pisze się przez panią Bovary („Madame Bovary to ja”, powiedział Flaubert), poezja nie podlega wariacji i transformacji. Poezja jest wariacją i transformacją samą w sobie, dlatego niczego nie powiela ani nie naśladuje. Może mieć mistrzów, jednak jest czymś zupełnie osobnym. Inaczej nie byłaby Poezją. A w życiu poety jest podobnie. Musi mieć osobną „różę tożsamości”, siłę osobności aby udźwignąć swoją samotność.

Czy w wyborze ważny jest czynnik płci autora? Może na przykład poezja kobiet jest bliższa kobietom, a pisana przez mężczyzn, bliższa mężczyznom?

Myślałam, że nie jest ważne kto tłumaczy, ale jak tłumaczy. Jednak coraz bardziej wydaje mi się, że to, czy ON czy ONA też może być istotne. Dickinson pisze o sprawach ponadczasowych, ale po drodze spotyka pszczoły, trzmielce, świerszcze, ptaki, róże, fiołki, plusz, muślin, tiul, azur, welon, koronki, filizanki, ścięgi krawieckie... W tym sensie sublimacji „kobiecego” szczegółu, rozmowa kobiety z kobietą jest ważna. Cenię tłumaczenia naszego znanego tłumacza Zbigniewa Barańczaka. Wolę go jednak w tłumaczeniach Szekspira, T. S. Eliota. Jakby mniej w głosie kobiety Emily Dickinson.

Czy poezja ma płeć w ogóle?

Dobra poezja, mówią, nie powinna mieć płci; nie zawsze jednak się to sprawdza. Słyszałam tak zwane wiarygodne komplementy na temat „apłciowości” poezji napisanej przez kobietę. A z drugiej strony, komplementy na temat kobiecości tej samej poezji. Nie wiem. To sprawa indywidualna. W polskiej poezji synonimem kobiecości jest poezja Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Hanny Świrszczyńskiej czy Haliny Poświatowskiej. Dla mnie ważne jest, że jestem kobietą i to, że poezję, którą tłumaczę napisała kobieta. I choć Dickinson jest herosem literackim, spotykam ją jako słabą, złąknioną kobietę szukającą sensu w wieczności. I która tak ukochała świat i naturę, że nie wie co począć z tym ogromem swojej empatii.

Jakich innych poetów anglosaskich tłumaczyła Pani na język polski?

Tłumaczyłam Michaela Ondaatje oraz Anne Carson. To są współcześni poeci kanadyjscy. Oba nazwiska znaczące w Kanadzie, USA i nie tylko. Ondaatje, poeta i prozaik, znany jest m.in. ze swojej powieści adaptowanej do filmu „Anielski pacjent”. Spotkałam Michaela Ondaatje w Londynie, a Anne Carson w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Fakt, że tłumaczmy wiersze poetów żyjących, może być bardzo pomocny w pracy tłumacza. W moim przypadku jednak tak nie było. Ondaatje jest gwiazdą i ma prawo być niedostępny. A Carson, choć nie mniej sławna, jest skromna i życzliwa, ale tak introwertyczna i nieszablonowa w zachowaniu, że nasza komunikacja była równie trudna jak jej wiersze. „Trudne wiersze”

w tym wypadku oznaczają: bogate w kulturowe, akademickie odniesienia. Zwłaszcza antyczne. Nic dziwnego, bo poetka jest też profesorem literatury antycznej.

Jak Pani wybiera autorów do tłumaczenia? Przecież jest ich dużo. Dlaczego ci, a nie inni?

Podobno nie ma przypadków, więc może zrzędzeniem losu jest natknięcie się na poetę lub wiersz. W drugiej kolejności jest wybór. Wybrałam Ondaatje’go, bo zakochałam się w jego erotyku „Cynamon Peeler” („Obieracz cynamonu”), potem wybrałam Carson, bo poruszyła mnie do kości jej książka „The Beauty of the Husband” („Piękno męża”), teraz pracuję nad Dickinson, bo jej wiersz jest niedoścignionym wzorem poetyckiego skrótu, który mieści w sobie ogrom fundamentalnych spraw i uczuć. Bo pociąga mnie wyzwanie.

A kto tłumaczy Krystynę Lenkowską na język ukraiński?

Mój kontekst może zabrzmieć sztywno wobec powyższych tez literackich; a co najmniej nieadekwatnie. Cóż, Emily Dickinson nie doczekała się za życia ani jednej znaczącej publikacji, ani jednej książki, żadnego spotkania autorskiego, żadnego tłumaczenia. A ja mam tłumaczenia i publikacje wierszy na kilka języków. Bóg jest paradoksalny. Na język ukraiński moje wiersze tłumaczyli Vasyl Machno, Evgen Baran, Oleksander Gordon. Myślę jednak, że wciąż czekam na swojego stałego ukraińskiego tłumacza, podobnego w stałości do mojej tłumaczki z Bostonu, Ewy Hryniewicz-Yarbrough, z

którą wydaję już swój kolejny wybór wierszy w języku angielskim.

Krytyk literacki, Ewgen Baran, po przetłumaczeniu cyklu Pani wierszy napisał, że „Lenkowska – to poetka kultury. (...) To poezja, która nie od razu ‘do Ciebie przemawia’, ona wymaga pracy nad sobą. Tam wiele dzieje się na poziomie uczucia, ale i na poziomie intelektualno-filozoficznym”. Co Pani o tym sądzi?

Najmniej wie się o sobie. Nie umiem jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Pewnie tak jest jak mówi Baran, ale są krytycy, którzy mają odmienne zdanie. Może jest trochę intelektualizmu w tym, co piszę. Jest też jakiś ułkon wobec dziedzictwa kultury, osób, zjawisk. Dla mnie jest to tylko moje proste życie. Jeśli myślę o Joyce’u czy Kafce, czy Keats’u piszę o Joyce’u, Kafce i Keats’u. Jeśli czytelnikowi te nazwy wydają się zbyt egzotyczne czy encyklopedyczne, może je sobie zachować jako piękne neologizmy, bo i taką rolę pełnią w wierszu słowa. Znaczą brzmieniem, odległym skojarzeniem, zachęcają do podjęcia wysiłku. Wiersz nie musi być zrozumiały w pierwszym czy drugim czytaniu. Pisząc wiersz, nie myślę o czytelniku, a tym bardziej o kokietyowaniu czytelnika prostotą przekazu.

Jewhen Baran pisze dalej: „To głębokie, przesycone liryczną teksty o dramatycznej osnowie. Każdy wiersz (...) – to mały życiowy dramat (...) Kobiety”. Czy te dramaty żyją naprawdę czy żyją tylko w wierszach?

Dla literatury to nie ma znaczenia. Banalne przeżycie może transformować, stając się poetycką głębią i odwrotnie, szlachetne uczucie zachowane w wierszu może okazać się płytkim i tuzinkowym zjawiskiem w delirycznej formie. Oczywiście prywatnie też ulegam pokusom poznania, tak zwanej, prawdy dokumentalnej, dlatego bardzo lubię artystyczne biografie. Jednak życie wiersza rządzi się innymi prawami niż nasza realność. Pociąga mnie myślenie abstrakcyjne i nadrealne, które w formie literackiej objawia się tak subtelnie i niepozornie, że sprawia wrażenie oswojonej rzeczywistości.

Halina Poświatowska napisała „moje serce jest władczą absolutnym”. Co lub kto jest Pani absolutnym władcą?

Myślę, że bliżej mi do poddania się sercu niż rozumowi. Jednak to sprawa nazewnictwa. Czuję, że i w mózgu są pokłady uczuć często bardziej wyrafinowanych niż uczucia wychodzące, jak to się mówi, prosto z serca. Emily Dickinson napisała w wierszu:

(...) *Hojnego czasu – się doczekam – Kiedy – cierpliwa – na schodach – Serce!*

Do Ciebie – cicho zapukam.

W wrywkowym i pobieżnym odczytaniu można by sądzić, że podmiot liryczny jest poddany jakimś innemu sercu. Z całego kontekstu poetyckiego tej poezji można jednak zaryzykować tezę, że głosem nadrzędnym jest tu nie tyle serce, co samo stukanie do serca. A czy do swojego, czy cudzego, czy boskiego, to jakby inny, nie mniej znaczący, temat. Wisława Szym-

borska pisała „pukam do drzwi kamienia”.

A ja, w swoim wierszu „Smaragd”: (...) dzielę kosmos na kosmate kosmyki zieleni/ strącam szmaragd do ziemi”. W „Epigramie” zaś: (...) wszystko tu mam czyli nie mam / w geometrii wiersza i sensu jej dotykam/ dziurawym szkieletem”. Zastanawiam się teraz, czy aby „geometria wiersza” oraz „szmaragd natury”, których nic nie obchodzi i na których wzajemność nie mogą liczyć, są moim panem? Oto moja chwilowa konstatacja w formie cytatu z Emily Dickinson: „Oto jest mój list do Świata / Co nie pisał do Mnie –”.

Dziękuję.

O autorce

Krystyna Lenkowska wydała siedem tomów poezji: *Walc Prowincja 1991*, *Nie deptać przyłasczek / Keep off the Primroses 1999 (YES)*, *Pochodnio, różo 2002 (Nowy Świat)*, *Wiersze Okienne 2003 (Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu)*, *Wybór Ewy / Eve’s Choice 2005 (Polski Instytut Wydawniczy)*, *Sztuka białego 2008 (Instytut Wydawniczy Erica)* oraz *Tato i inne miejsca 2010 (Miniatura)*. Wiersze, fragmenty prozy, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady opublikowała w wielu pismach literackich w Polsce (m.in. *Akcencie*, *Frazie*, *Nowej Okolicy Poetów*, *Pracowni*, *Toposie*, *Twórczości*, *Tyglu*, *Zeszytach Literackich*), w USA, w tłumaczeniu Ewy Hryniewicz-Yarbrough, (m.in. *Absinthe*, *Boulevard*, *Chelsea*, *Confrontation*), na Ukrainie, w *Mołdawii*, *Czechach*, *Macedonii*, *Albanii*, *Indiach*. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Rzeszowie.

Gdzie toczyły się bitwy, dziś jest pastwisko

Opodal cichego podolskiego miasteczka Buczacz leży niewielka wioska Podzameczek. Zachowały się tu ruiny zamku, przy których niedawno rozpoczęły się prace konserwatorskie. Szkoda, że nie ma tam osoby, które opiekowała by się tym, co jeszcze się zachowało. Teren samego zamku i wokół niego sprzątajają osoby, zarejestrowane w rejonowym wydziale zatrudnienia. Historycy i przedstawiciele władzy z sarkazmem żartują, że co nie zniszczyli Turcy, zniszczą sami mieszkańcy Podzameczka.

SABINA RÓŻYCKA tekst i zdjęcia

Wprawdzie przed wjazdem do ruin zamku na wysokiej skarpie nad rzeką Strypą ustawiono szlaban, a pasterze, pasący wokół zamku swe trzody sami postanowili chronić pozostałości budowli przed wandalami. Roztacza się stąd wspaniała panorama na rzekę Strypę i okoliczne wzgórza.

Oto co usłyszała od wójta Podzameczka Iwana Lepaka dziennikarka Kuriera:

- Zamek został zbudowany około roku 1600 z piaskowca, którego wokół jest pod dostatkiem. Jak pani widzi, kamień ma specyficzny, ciemno-czerwony kolor, – opowiada wójt, prowadząc pomiędzy ruinami zamku. – Wybudował zamek Jan Buczacki-Tworowski, herbu Piława. Nasz zamek był pomocniczą twierdzą obronną dla głównej siedziby rodu – zamku w Buczaczu. Po jego śmierci, siostra wniosła te ziemie do majątku Potockich, wychodząc za mąż za Andrzeja Potockiego. Kolejnym właścicielem zamku był Stefan Potocki, a z czasem przypadł on Marii Mohylance – córce hospodara moldawskiego. Zamek nie



Kierownik działu naukowo-rezerwatu „Zamki Ziemi Tarnopolskiej” opowiada o historii zamku

raz był burzony przez Turków, Tatarów i Kozaków. Po ostatnim najeździe w 1676 roku, zamek utracił funkcję obronną i został przebudowany na rezydencję mieszkalną.

W czasach „austriackich”, po 1772 roku, zamek zaczął niszczeć. W XIX wieku stworzono tu papiernię, a część murów rozebrano na materiał



Ruiny twierdzy w Podzameczku

budowlany. Po drugiej stronie rzeki naprzeciw zamku w latach 1885-1939 działała filia warszawskiej fabryki tkackiej, gdzie produkowano wyroby bawełniane. Założycielami manufaktury były rodziny z miejscowości Nagoriany i rodzina Gładuków. Produkowano tu jedwabne tasiemki, dwustronne pasy, makatki, materiały tkane srebrnymi i złotymi nićmi w roślinne i geometryczne wzory. Najbardziej jednak twierdza ucierpiała w okresie sowieckim, gdy jej mury rozbierano na budowę kolchozowych ferm i klubu”.

„Zamek zbudowany był na planie pięciokąta, zwężającego się ku północy, – kontynuuje Iwan Lepak. – Dobrze jest to widoczne na zdjęciach satelitarnych. Pozostałości po zamku – to mury do wysokości 3 m, wieże, ruiny pałacu i arka bramy wjazdowej z herbową tarczą. Zapis na tarczy świadczy o historii powstania zamku i jego budowie. Bramę wjazdową broniły dwie pięciokątne basteje – one zachowały się do dziś. Nad bramą zachowało się częściowo przejście pomiędzy bastejami – ta część jest

stosunkowo najlepiej zachowana. Krótki, północny bok murów zajmowały pomieszczenia mieszkalne. Pozostały po nich tylko fragmenty ścian. Pałac znajdował się pomiędzy dwoma pięciokątnymi wieżami. Z jednej pozostała tylko ściana zewnętrzna. Druga jeszcze się zachowała, ale bez zadaszenia”.

Mieszkańcy wioski martwią się, że okienne i bramne arki rozmyły deszcze. Potrzeba wzmocnić ruiny, aby ich resztki nie rozsypały się całkowicie.

BODIO – Bohdanowi Stupce in memoriam

Odszedł jeszcze jeden wybitny lwowianin – popularny aktor teatralny, filmowy, działacz teatralny, minister kultury, wreszcie dyrektor artystyczny ukraińskiej sceny narodowej w Kijowie – BOHDAN STUPKA.

ZBIGNIEW CHRZANOWSKI
tekst
zdjęcia archiwum prywatne
autora

Znaliśmy się od ponad pół wieku, kiedy to w latach 60. błyskotliwie zadebiutował na lwowskiej scenie rolą mechanicznego człowieka – Mechanropa w dramacie Aleksandra Liewady „Faust i śmierć”, a był wtedy jeszcze studentem studia teatralnego przy teatrze im. Marii Żankowickiej. Po tym sukcesie grał dużo, był chętnie obsadzany przez reżyserów zarówno w klasycznym, jak i we współczesnym repertuarze. A kiedy zadebiutował w głośnym filmie „Biały ptak z czarnym znamięm” stał się jednym z najpopularniejszych i najbardziej lubianym przez ukraińską publiczność aktorem.



Larysa Kadyrowa i Bohdan Stupka na inauguracji czeskiego festiwalu, Kijów, 2009 rok

Wyjazd ze Lwowa wraz z reżyserem Sergiuszem Danczenko do Kijowa w latach 80. dał mu możliwość bliższej współpracy z kijowską wytwórnią filmową. Był chętnie zapraszany do współpracy przez polskich reżyserów filmowych – Krzysztofa Zanussiego i, przede wszystkim, Jerzego Hoffmana, który darzył Go szczególną sympatią, a rola Bohdana Chmielnickiego w pamiętnym „Ogniem i mieczem”, jak też Popiela w „Starej baśni”, przysporzyły mu sławy i popularności. Warto wspomnieć,

że również chętnie był zapraszany do współpracy i przez rosyjskich reżyserów filmowych.

Bohdan Stupka krótko piastował urząd Ministra Kultury Ukrainy i właśnie wtedy wystarał się o kapitalny remont siedziby stołecznego Teatru Narodowego im. Iwana Franki. Szkoda tylko, że nie zdążył zaplanować remontu dawnego teatru Skarbowskiego we Lwowie, na scenie którego tak wspaniale debiutował i grał przez wiele lat.

Nasza znajomość rozpoczęła się faktycznie nie w teatrze, ale w lwowskim studio telewizyjnym na Wysokim Zamku, gdzie wtedy pracowałem, a Bohdan był częstym gościem wielu programów. I dopiero w 1975 roku los połączył nas na scenie teatralnej podczas realizacji komedii Aleksandra Fredry „Damy i Huzary”. Nie wyobra-

załem sobie innego wykonawcy roli Rotmistrza. Bohdan Stupka zagrał ją brawurowo – sztuka nie schodziła ze sceny prawie przez pięć lat, zagrano ponad 300 przedstawień, aż do pamiętnego 1981 roku, kiedy to nazwisko reżysera z wilczym biletem nie mogło firmować spektaklu. Predyspozycje aktorskie, bystrość, ostry wzrok, nadzwyczajna sprawność ruchowa Bohdana Stupki – wszystko to znakomicie formowało postać postarzałego kawalerzysty, ciągle pełnego wigoru i werwy.

Od tego czasu zaprzyjaźniliśmy się i nawet wyjazd do Kijowa nie przeszkodził temu, a moja późniejsza współpraca z Łarysą Kadyrową, która również przeniosła się do Kijowa, tylko utrwaliły ten związek.

Spotykaliśmy się, zresztą, nie tylko w Kijowie, ale też i w Polsce. Bohdan Stupka gościł wielokrotnie w Przemysłu. Podczas jednego z pobytów zagrał „Pamiętnik Wariata” według Mikołaja Gogola. Do realizacji tego przedstawienia potrzebne było łóżko, a ekipa przyjechała bez tego rekwizytu. Tę rolę musiało spełnić moje prywatne łóżko, przeniesione na scenę Zamku Kazimierzowskiego i na nim z powodzeniem hasał gogolowski bohater. Wtedy też zadebiutował na scenie jego syn Ostop w roli strażnika. Za drugim razem Bohdan Stupka pojawił się w Przemysłu w spektaklu „Tewje – mleczarz” Szolom Alejchemy. Była to zresztą jedna z jego ulubionych ról.

Bohdan był człowiekiem wesołym i pogodnym, nie lubił konwensów i ceremonii. Pamiętam, jak przedstawił mnie w Kijowie, gdy piastował urząd Ministra Kultury – łamiąc wszelkie konwenanse podczas konferencji prasowej na Festiwalu Kultury Polskiej przedstawił mnie jako starego znajomego. Wtedy też zaprosił nasz zespół z „Kartoteką” Tadeusza Różewicza na występy do Kijowa.

Pamiętam, spotkaliśmy się przed gmachem teatru im. Iwana Franki. On z laseczką szedł na sztywnych nogach. Pomyślałem, że coś mu dolega, ale pytać nie wypadało. Natomiast spostrzegawczy Walera Bortiakow zawyrokował, że mistrz już od rana próbuje wieczorny spektakl. Grano wtedy sztukę poświęconą Zygmuntovi Freudowi pt. „Histeria”, a bohater sztuki miał właśnie kłopoty z nogami. Bohdan był znakomitym profesjonalistą, doprowadzając każdy szczegół roli do perfekcji – i kiedy to robił, nikt nie wiedział. Nigdy nie zapomnę Jego pierwszego wejścia na scenę w dramacie Iwana Franki „Skradzione szczęście” – takiej precyzji przekazu stanu zziębniętego, zmęczonego i starego człowieka, rzadko można dziś ujrzeć na scenie



Zbigniew Chrzanowski (od lewej) i Bohdan Stupka po spektaklu w sali kameralnej Teatru Narodowego im. Iwana Franki, Kijów, 2008 rok

teatralnej. Była to wspaniała kreacja aktorska od początku aż do tragicznego końca. Rolę tę powtarzał rokrocznie przez kilkanaście lat, bo Teatr Narodowy zawsze rozpoczynał kolejny sezon teatralny dramatem swego patrona.

Nie raz i nie dwa zdarzały się sytuacje wesołe i niekonwencjonalne z udziałem Bohdana Stupki. Pamiętam, jak po całym dniu festiwalowym monodramatów „Maria”, siedzieliśmy w gronie wybitnych polskich aktorek Ireny Jun, Barbary Dziekan, Niny Repetowskiej i, oczywiście, gospodyni festiwalu, Łarysy Kadyrowej w pokoju gościnnym teatru, który znajdował się faktycznie na poziomie chodnika. Omawialiśmy nasze plany i szczegóły programu. Wrześnieowy wieczór był dość ciepły i pogodny i okno było otwarte – oto w oknie pojawia się postać Bohdana w słomkowym kapeluszu: „A cóż to za konferencja?” – zapytał z uśmiechem, poczym zgrabnie wskoczył przez parapet do pokoju i dołączył do naszej rozmowy, aby już po chwili zaprosić nas do swego dyrektorskiego gabinetu. Tu poczęstował nas znakomitym ormiańskim koniakiem – a rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy.

Kiedy byłem jego gościem w Ministerstwie, zwróciłem uwagę na piękny olejny portret wybitnego reżysera, reformatora ukraińskiego teatru Łesia Kurbasa, potem ten portret zdobył jego gabinet dyrektorski w teatrze.

Bohdan odszedł w pełni sił twórczych. Ironią losu choroba, która trapiła Jego bohatera w sztuce „Histeria” nie oszczędziła Go pod koniec życia. Przez długie lata w teatrze we Lwowie nikt inaczej do Niego się nie zwracał jak „Bodio”, a później już i Bohdan Sylwestrowicz, i Panie Ministrze, i Panie Dyrektorze.

Bardzo Go będzie brakowało na scenie i na ekranie.

PS.

W chwili, gdy kończyłem pisać te wspomnienia dotarła jeszcze jedna smutna wiadomość – w Warszawie w wieku 95 lat zmarł wybitny polski reżyser, pedagog i eseista Erwin Axer, Lwowianin. Był długoletnim dyrektorem Teatru Współczesnego, który w latach 60–70. był czołową polską sceną teatralną. Tak się złożyło, że widziałem jedno z Jego najlepszych przedstawień – „Karię Artura Ui”, zrealizowaną jednocześnie w Warszawie i w Leningradzie, z najlepszymi aktorami kreacjami Tadeusza Łomnickiego i Michaiła Lebidiewa. Aktorzy grali na przemian – Lebidiew na scenie warszawskiej, a Łomnicki w Leningradzie. Miałem możliwość obejrzeć oba spektakle: i w Warszawie, i w Leningradzie. Takie dawne czasy i smutna konkluzja, że sztuka teatralna w tym roku ponosi niepotwornie straty.

KG

Noc muzeów we Lwowie

Już po raz drugi w dniach 27–29 lipca br. we Lwowie zrealizowano trzydniowy projekt „Noc we Lwowie”. Wszyscy chętni (pierwszego dnia nawet bezpłatnie) mieli możliwość podziwiać nocny Lwów spacerując uliczkami miasta, podziemiemi czy Cmentarzem Łyczakowskim.

EUGENIUSZ SAŁO tekst
archiwum Klubu Stypendystów Fundacji Semper
Polonia we Lwowie zdjęcia

I to jeszcze nie cała lista weekendowych atrakcji, bo zaplanowano prawie 100 wycieczek, spektakli teatralnych i performansów na ulicach, w muzeach i galeriach miasta. Kilka godzin przed otwarciem, we wszystkich miejscach turystycznych ukształtowały się długie kolejki. Pierwszeństwo mieli zarejestrowani uczestnicy. Chociaż większość osób trafiła bez rejestracji.

Wszyscy chętni mogli odwiedzić kaplicę Boimów, kościół jezuitów, ratusz, muzeum historyczne, muzeum broni „Arsenal”, muzeum piwowarstwa, pałac Potockich, pałac Bandinelli, podziemia Lwowa, Cmentarz Łyczakowski i in. Ponoć w projekcie „Noc we Lwowie” wzięło udział ponad 6 tys. osób. Większość stanowili mieszkańcy Lwowa, ale też nie brakowało turystów m.in.: z Polski, Anglii, Niemiec, Czech, Rosji, Grecji, Nigerii, Indii, Kanady i in.

Jedną z najciekawszych była teatralizowana wycieczka po podziemiach Lwowa w Muzeum Historii



Michał Hirniak (od lewej), Sabina Malinowska i Eugeniusz Sało

Religii. Aktorzy teatru „Woskresinnia” stworzyli mroczne kreacje katów, wiedźm i duchów. Można było także zobaczyć rzeczy, które kiedyś zostały znalezione w podziemiach miasta.

Natomiast na Dziedzińcu Włoskim zaprezentowano spektakl o miłosnej historii Pelagii i Mikelini. Utwór

ten w ubiegłym roku był najpopularniejszym wśród uczestników akcji.

Po raz pierwszy w tym roku można było wejść nocą do ratusza. Utworzono też trzy nowe nocne szlaki wycieczkowe: „Lwów za babci Austrii”, „Lwów – miasto miłości” oraz przejażdżka „cudo-busem”.

- Po tym nocnym programie zostały mi tylko pozytywne wrażenia – opowiada mój kolega Michał. – Najciekawsza dla mnie była nocna wycieczka po Cmentarzu Łyczakowskim. Podzielono nas na grupki. Przewodnik oświecał latarką nagrobki i opowiadał ciekawe historie. Miałem wrażenie, że niektóre rzeźby zaraz ożyją. To niezapomniane wrażenia.

- Zawsze chciałam wejść na ratusz nocą, – dzieli się wrażeniami studentka Lidia. – Kiedy dowiedziałam się, że będzie taka możliwość, od razu się zarejestrowałam. Naprawdę wspaniały widok. Wydaje się, że cały Lwów masz w zasięgu dłoni.

Jak informuje służba prasowa Lwowskiej Rady Miejskiej, 16–18 listopada 2012 roku odbędzie się kolejna jesienna akcja „Noc we Lwowie”. Wszystkich zainteresowanych serdecznie zapraszamy.

Olimpijski Londyn – dzięki Polakowi

Jak postrzegani są Polacy w Wielkiej Brytanii? Bardzo przykro, że obecnie często przez pryzmat „polskiego hydraulika”, czyli robotnika niewykwalifikowanego. Brytyjczycy szybko zapomnieli, ile zawdzięczają polskim lotnikom z okresu Bitwy o Anglię. Ciekawe, czy obecnie angielska młodzież w ogóle wie co się wtedy wydarzyło? W powojennej historii Zjednoczonego Królestwa były jednak postacie, które nigdy nie wyparły się polskiego pochodzenia, a dzięki swemu uporowi i wykształceniu uzyskały wysokie pozycje społeczne. Jednym z takich był John Sienkiewicz.

**KRZYSZTOF SZYMAŃSKI,
MICHAŁ PIEKARSKI**
tekst
zdjęcie z archiwum
Elżbiety Tysson

John Sienkiewicz był charyzmatycznym urzędnikiem publicznym, który zajmował się planowaniem strategicznym Londynu w latach 80. i 90. ubiegłego stulecia. Wizjoner, jednocześnie twardo stąpający po ziemi, nakładając, wymagając, inspirując deweloperów, polityków, planistów, przyczynił się do realizacji wielkiej wizji modernizacji tego miasta. Miał swój udział w planowaniu oraz przebudowie wszystkich strategicznie ważnych obiektów Londynu, a także ujścia rzeki Tamizy – terenów dawnych doków, przekształcanych w przestrzeń rekreacyjną, dzielnice mieszkalne i obiekty sportowe. John rozwinął strategiczną wizję Londynu, w którym mogły pojawić się nowe strukturalne zmiany. Kluczową częścią jego spuścizny jest jego wkład w rozwój prac przy organizacji Olimpiady 2012, chociaż do końca John Sienkiewicz nie był przekonany co do zalet przeprowadzenia igrzysk w Londynie.

John Sienkiewicz urodził się już na emigracji w Whitehaven. Jego ojciec – Jan Sienkiewicz pochodził z Wilna (urodzony w 1914 r.). Był polskim oficerem, odznaczonym licznymi medalami i obdarzonym niezwykle ciekawym zyciorysem. Wiadomości na jego temat zawdzięczamy jego siostrzenicy – pani Elżbiecie, obecnie mieszkającej we Lwowie, a pochodzącej także z Wilna. Udało się ustalić, że Jan Sienkiewicz jako podoficer Wojska Polskiego w 1939 roku brał udział w kampanii wrześniowej. Po tragicznych wydarzeniach września 1939 r. uniknął sowieckiej niewoli, trafiając do niemieckiego obozu dla jeńców wojennych. W przeciwnym wypadku – jako oficera polskiego czekał by go pewnie Katyń. Uciekł z niemieckiego obozu w Mathausen... w beczce. Następnie w 1944 r. brał udział w Powstaniu Warszawskim, a po jego upadku trafił kolejny raz do obozu jenieckiego. Po wyzwoleniu przez Amerykanów zgłosił się do armii gen. Andersa. Na kontynuowanie walki było jednak za późno – wojna była skończona i polski żołnierz przestał być zachodnim sojusznikiem potrzebny. Po demobilizacji należało życie rozpocząć od nowa. Małżeństwo z Angielką i praca kreślarska – to jego nowe życie. 2 września 1947 roku przychodzi na świat syn – John Sienkiewicz. Mały John dzieciństwo spędził w nienajlepszych dzielnicach Londynu, dokąd przeprowadzili się jego rodzice we wczesnych latach 50. Wykształcenie syna było najważniejszą ambicją Jana Sienkiewicza. Zdawał sobie sprawę, że tylko posiadając odpowiednią wiedzę będzie



Moment dekoracji Orderem Imperium Brytyjskiego

mógł dorównać Anglikom i zająć odpowiednią pozycję społeczną w obcym kraju. John uzyskał stypendium do wyższej szkoły Latymer w Hammersmith, kolejno ukończył londyński University College, zdobywając dyplom z geografii. Następnie uzyskał kwalifikacje planisty miejskiego.

Jego pierwszym stanowiskiem w służbie publicznej było w 1969 roku stanowisko w ministerstwie budownictwa mieszkaniowego. Tu John Sienkiewicz pokazał, że współpraca i praca zespołowa mogły zapewnić realny postęp i rozwiązywać konflikty w sposób, który wcześniej nie wydawał się możliwy. Później John używał swego partnerskiego podejścia z wielkim sukcesem przy przebudowie Londynu. Dzięki swej wiedzy, pracy i zaangażowaniu został członkiem Fundacji Pamięci Winstona Churchilla. Stał się specjalistą od zarządzania nadbrzeżami nad Tamizą. Następnie wyjechał do Australii, aby tam wykorzystać doświadczenie i wciąż zdobywać nową wiedzę.

John powraca do Londynu na początku roku 1979, aby pracować w dziale zabudowy i planowania Wielkiego Londynu w Departamencie Środowiska, gdzie zastosował swoje umiejętności w zakresie odnowy urbanistycznej. W połowie lat 80-tych, zarządzając kilkoma spółkami w centrum miasta, musiał często wprowadzać w życie trudne i nieraz lokalnie niepopularne decyzje. John miał wspaniały sposób patrzenia na świat klasycznymi oczami geografa. Jego legendarne proste i efektywne szkice włączał do swoich podstawowych planów mer Londynu Boris Johnson.

Po zakończeniu pracy dla londyńskiej Jednostki ds. Rozwoju, w r. 2000 wraca do Departamentu Środowiska, aby zostać dyrektorem Biura Strategicznego ds. Ujścia rzeki Tamizy. Działania Johna Sienkiewicza przekształciły ten teren, z planów istniejących jedynie na papierze w realny program, przyczyniający się do zmian w życiu wielu ludzi. Powstały tam m.in. liczne kampusy

uniwersyteckie uniwersytetu w Southend i Medway. Główne bowiem zainteresowanie Johna Sienkiewicza jako planisty koncentrowało się nad myślą o dalszym rozwoju Londynu oraz właśnie nowym zagospodarowaniem nadbrzeży Tamizy.

Do zawodowych osiągnięć Johna Sienkiewicza należy także m.in. plan odbudowy i rewitalizacji Stadionu Wembley, Arsenal's Emirates oraz legendarnego teatru londyńskiego – Shakespeare's Globe Theatre. Polak z pochodzenia, był twórczo i zarazem z wielką odpowiedzialnością zaangażowany w szereg kluczowych obiektów w stolicy Wielkiej Brytanii.

Za swoją działalność na rzecz rozwoju Londynu John Sienkiewicz, w roku 2003, otrzymał z rąk królowej Elżbiety II wysokie brytyjskie odznaczenie państwowe – Order Imperium Brytyjskiego i otrzymał tytuł Oficera Orderu. W tym też roku odszedł ze służby publicznej na emeryturę.

Osiadł w Lopen, w hrabstwie Somerset z żoną Teresą, której wiele zawdzięczał, bo to ona, pomimo swoich obowiązków zawodowych, prowadziła dom i wychowywała dzieci, gdy John planował kolejne wyburzenia i modernizacje urbanistyczne. Szybko włączył się w życie swojego miasteczka, mając też czas na oddawanie się swoim licznym hobby. Będąc zawsze zapalonym czytelnikiem, dodawał do swojej biblioteki książki na tematy tak różnorodne jak średniowieczne systemy upraw, historia Polski. Miał dwoje dzieci – Alexa i Marylę oraz wnuki – Toma i Neda. Rodzina zawsze była dla niego ważna, dlatego jeszcze w czasach, gdy pracował zawodowo, niemal każdą niedzielę spędzał razem ze swoimi rodzicami.

John – a właściwie Jan Sienkiewicz i syn Jana – nigdy nie zapomniał, że jest synem Polaka z Wilna. Mówił dobrze po polsku i utrzymywał stałe kontakty z rodziną w Polsce, Wilnie i Lwowie.

John Sienkiewicz zmarł w sile wieku. 14 marca 2009 roku.

RADIO WNET POLECAMY!

Słuchaj przez internet
doskonałych programów
warszawskiego Radia Wnet
www.radiownet.pl

Program Wschodni
w każdą sobotę o godz. 11:07 (czas ukr.)

Program wschodni jest radiową emanacją platformy, którą Radio Wnet przy współpracy Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie tworzy z polskimi redakcjami na terenie byłego ZSRR. Platforma pozwoli tym redakcjom współpracować i wymieniać się tworzonymi materiałami. Nasza współpraca obejmuje redakcje w następujących miastach: Równe, Lwów, Stanisławów (Iwano-frankisk), Winnica, Jej owocem jest Program Wschodni. Ponadto będą nas od-



wiedzać specjaliści od Wschodu z Polski. Program prowadzi Wojciech Jankowski.

Historia Wnet
w każdą sobotę o godz. 12:00 (czas ukraiński)

Doskonały program historyczny, w którym nie ma tematów tabu. „Pod sztandarem Radia Wnet rozmawiamy o historii. Zapraszam. Kontakt: Historia@radiownet.pl – napisał prowadzący program Piotr Dmitrowicz.



Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu: www.radiownet.pl

NA POLSKIEJ FALI POLECAMY!

NA POLSKIEJ FALI
to nowa audycja radiowa
w języku polskim
na falach iwano-frankowskiego Radia Weża
w paśmie 107 FM,
a także w internecie
na stronie:
www.kuriergalicyjski.com



Program jest nadawany w każdą sobotę o godzinie 21:15
Program jest też powtarzany:
w niedzielę o godz. 11:30
w poniedziałek o godz. 21:15
w wtorek o godz. 21:15
Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu www.kuriergalicyjski.com

NA POLSKIEJ FALI to wspólna inicjatywa Kuriera Galicyjskiego, warszawskiego Radia Wnet oraz iwano-frankowskiego Radia Weża. Naszych słuchaczy zapraszamy do współpracy, dzielenia się z nami swoimi uwagami i tym, co chcielibyście usłyszeć. Piszcie do nas na mail kuriergalicyjski@wp.pl
ZAPRASZAMY!!!

Potomek dawnych lwowskich cukierników wykladał we współczesnym Lwowie

W dniach od 30 lipca do 2 sierpnia, we Lwowie miało miejsce kolejne spotkanie polsko-ukraińskiej komisji konserwatorskiej, tym razem połączone z warsztatami konserwatorskimi „Wspólnie do ratowania piękna przeszłości”. W warsztatach udział wzięli również konserwatorzy dzieł sztuki z Rumunii. Była to pierwsza taka trójstronna akcja, która okazała się bardzo owocną dla wszystkich.

JURIJ SMIRNOW tekst i zdjęcia

Tym razem komisja skupiła swoją uwagę tylko na jednym obiekcie – kościele oo. jezuitów p.w. św. Piotra i Pawła (obecnie cerkwi garnizonowej UGKC). Natomiast warsztaty konserwatorskie odbyły się w dawnym pałacu Sapiehów. Udział w wykładach wzięli fachowcy z Krakowskiej ASP im. Jana Matejki, Krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, Uniwersytetu Sztuki z Cluj-Napoca (Rumunia) i Lwowskiej ASP. W szkoleniu wzięła też udział grupa lwowskich konserwatorów sztuki i studentów z lwowskiej ASP.

Z wielkim zainteresowaniem wysłuchano wykładu prof. dr. hab. Edwarda Kosakowskiego pt. „Projektowanie konserwatorskie”. Na konkretnych przykładach prac konserwatorskich, na takich obiektach jak Zamek Królewski na Wawelu, zamek w Krasicy, zabytkowe kamienice w Krakowie i Rzeszowie prof. Kosakowski opowiadał o nowych metodach tworzenia projektów konserwacji, w tym komputerowych. W tym wypadku wyniki konserwacji można już przewidywać na stadium powstawania projektu. Ale dla tego trzeba wcześniej zgromadzić wiele potrzebnej informacji i wszystkie możliwe materiały. Działalność konserwatora składa się w taki schemat: informacja – analiza – projekt – realizacja. Ta metoda skutecznie działa już na ASP w Krakowie w pracowni projektowania konserwatorskiego. Podstawą każdej pracy konserwatorskiej jest precyzyjny projekt. „Doceniamy to w trakcie realizacji, która jest rozciągnięta w czasie. Mogą być nawet różni wykonawcy, ale projekt ma obejmować całość” – powiedział na zakończenie prof. Edward Kosakowski.

Bardzo aktualnym dla słuchaczy konserwatorów z Ukrainy był referat prof. dr. hab. Władysława Zalewskiego z ASP w Krakowie pt. „Konserwacja malowideł bizantyjsko-ruskich w Pol-



Prof. Edward Kosakowski podczas wykładu

sce”. W województwach wschodnich współczesnej RP znajduje się dużo obiektów zabytkowych, w których zachowały się malowidła, wykonane w tradycjach kościoła wschodniego, w tradycji bizantyjskiej. Ciekawe, że nie tylko w dawnych cerkwiach greckokatolickich, ale i w kościołach rzymskokatolickich, a nawet w słynnej kaplicy królowej Zofii w katedrze wawelskiej.

Postać prof. Zalewskiego wzbudziła szczególne zainteresowanie wśród obecnych również z powodu jego lwowskiego pochodzenia. Jest on wnukiem znanego lwowskiego cukiernika Ludwika Zalewskiego, o którym znawca tematyki lwowskiej Jerzy Janicki napisał: „Jego firma na Akademickiej 12 wystarczała za

całą wizytówkę Lwowa, a smak ciastek i kandyzowanych pomadek do dziś jeszcze każdy ma w gębie”. Dla naszych czytelników przypominam, że jest to właśnie ta słynna cukiernia i sklep z cukierkami, który za czasów sowieckich nosił nazwę „Switocz”, a teraz bez żadnego smaku i walorów artystycznych został przerobiony na „Puzatą Chatę”.

Nikt lepiej od Janickiego nie może już uchwycić najbardziej charakterystycznych obrazków przedwojennego Lwowa. Otóż mistrz pióra pisze o tej rodzinie: „Zalewski to nie tylko firma cukiernicza, której wyroby co dnia samolotem fruwały do Warszawy i Paryża. Był to cały rytuał obyczajowy: niedzielne spotkania po „dwunastówce” w Katedrze, klub dyskusyjny, gdzie przy kawie rozprawiali Mościński, Bartel, Makuszyński, Badeni i Zbierchowski, tradycyjne miejsce, gdzie studenci ubiegali się o podpis w indeksie u Oswalda Balcera, Gerstmana, czy Askanazego, to coroczne bożonarodzeniowe wystawy, na których kompozycje z marcepanów i czekolady projektował Batowski i Sichulski... Niestety finał życia założyciela dynastii Zalewskich nie należał do słodkich... Nadchodzi rok 1939, o którym nikt jeszcze nie wie, że już „miało się ku końcowi starożytnemu światu...” Jeszcze sześćoosobowy lśniący „Buik” woził fortunatów Zalewskich na karnawałowe bale do Strzelnicy na Kurkowej, jeszcze miss Polonia, Zofia Batycka, ofiarowała im swój

portret, świeżo wykonany na Montparnasse w Paryżu, jeszcze przy stoliku w kawiarni dyskurs wiedzy Majkowski z Balickim o swym podręczniku „Mówią wieki”, a już zbliżała nowa data nie wieku, a całej epoki, która na długo Azję miała przesunąć w środek Europy. Tą datą był dla Lwowa dzień 22 września, kiedy bolszewicy weszli do miasta.”

„Zakład Zalewskich zamieniono na radziecką „Kooperatywę Trud Inwalidów”, zaś dawny pan właściciel wraz z rodziną przeszedł do „konditorskim robotnikom”. Nie wytrzymało tego wszystkiego serce starego Ludwika Zalewskiego. Zmarł 17 lutego 1940 roku. Rodzina przeprowadziła się z ogromnego mieszkania przy Kadeckiej, do skromniejszego przy Grunwaldzkiej. Ale w 1944 roku NKWD dotarło i na Grunwaldzką i aresztowało Władysława Zalewskiego, syna założyciela firmy, a ojca obecnego profesora krakowskiej ASP, również Władysława Zalewskiego. Profesor opowiada, że szczególnie jest związany z kościołem oo. jezuitów, bo był w tym kościele bierzmowany w 1945 roku. „Przeprowadzaliśmy się w czasie wojny z jednego mieszkania do drugiego. Kiedy ojca aresztowano, zostaliśmy we Lwowie i czekaliśmy na jego powrót z Syberii, gdzie go zesłano do Tiumentu. Miał tam spędzić pięć lat. W rodzinie zachowały się listy z tej nieludzkiej ziemi. W jednym z nich



Prof. Władysław Zalewski

spotkanie z doradcą prezydenta ds. współpracy międzynarodowej, z doradcą prezydenta miasta Krakowa, z przedstawicielami Fundacji Conrada Adenauera, aktorem Stanisławem Mikulskim i innymi.

W Gdańsku spotkali się z Lechem Wałęsą, który rad był się spotkać z młodzieżą, ponieważ na młodzieży spoczywa teraz największa odpowiedzialność za przyszłość. Aspirant wydziału politologii Wasyl Kedyk, najbardziej zapamiętał spotkanie z laureatem Oskara i wielu prestiżowych nagród filmowych reżyserem Andrzejem Wajdą. „To właśnie spotkanie dało nam możliwość zrozumienia fenomenu polskiego kina na tle dążenia Polaków do przemian demokratycznych, niepodległości i wolności od ko-

munistycznego dyktatu” – zaznaczył Wasyl Kedyk.

Studentzi-politolodzy odwiedzili redakcję Gazety Wyborczej. Spotkali się z zastępcą redaktora naczelnego. Na zakończenie szkoły wszyscy otrzymali odpowiednie certyfikaty zakończenia kursu. Młodzież wróciła do swych miast – ktoś na Wschód, ktoś – na Zachód. Jedni wzięli ze sobą częścią kultury i tolerancji, inni – dobre stosunki z przedstawicielami mediów i profesorami Uniwersytetu Warszawskiego. Ale w pamięci utkwiły spotkania z kolegami, które już niebawem staną się dobrym początkiem wprowadzania nowych wspólnych ogólnoukraińskich projektów, badań, spotkań w ramach porozumienia i współpracy Polski i Ukrainy.

Prace komisji konserwatorskiej i wyniki jej prac omówimy w następnym repozycie.

KG



Uczestnicy warsztatów

Na politologię do Polski

„Polska droga do demokracji i formowanie społeczeństwa obywatelskiego. Polska i Ukraina” – tak brzmiała nazwa letniej szkoły młodych politologów z Ukrainy, która odbyła się przy Uniwersytecie Warszawskim.

SABINA RÓŻYCKA

„Już po raz szósty młodzi studenci i naukowcy z Instytutu Historii i Politologii Uniwersytetu Przykarpaciego im W. Stefanyka biorą udział w tym projekcie. Organizatorem Szkoły jest Instytut Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, MSZ RP i Fundusz Europejski – powiedział dziennikarce Kuriera prorektor ds. współpracy międzynarodowej

uczelnicy Wasyl Marczyk. – Przez dwa tygodnie w Warszawie studenci i młodzi uczeni ze wszystkich zakątków Ukrainy studiowali i zdobywali doświadczenie formowania wartości demokratycznych, tradycji instytucyjnych, politycznej kultury i mieli możliwość na własne oczy przekonać się w wartościach europejskiej integracji”.

Uczestnicy szkoły mieli możliwość wykładów profesorów uniwer-

sytetu, eurodeputowanych, znanych polityków, działaczy społecznych. Zwiedzili znane miejsca historyczne w Polsce. Odwiedzili Gdańsk i Kraków, odwiedzili ambasadę Ukrainy w Warszawie, Pałac Prezydencki, gmach Sejmu, Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Organizatorzy pobytu pokazali również tragiczne karty historii, miejsca kaźni Polaków, Żydów i Ukraińców w obozach Auschwitz i Birkenau. Na długo zapamiętują też

spotkanie z doradcą prezydenta ds. współpracy międzynarodowej, z doradcą prezydenta miasta Krakowa, z przedstawicielami Fundacji Conrada Adenauera, aktorem Stanisławem Mikulskim i innymi.

W Gdańsku spotkali się z Lechem Wałęsą, który rad był się spotkać z młodzieżą, ponieważ na młodzieży spoczywa teraz największa odpowiedzialność za przyszłość. Aspirant wydziału politologii Wasyl Kedyk, najbardziej zapamiętał spotkanie z laureatem Oskara i wielu prestiżowych nagród filmowych reżyserem Andrzejem Wajdą. „To właśnie spotkanie dało nam możliwość zrozumienia fenomenu polskiego kina na tle dążenia Polaków do przemian demokratycznych, niepodległości i wolności od ko-

munistycznego dyktatu” – zaznaczył Wasyl Kedyk.

Studentzi-politolodzy odwiedzili redakcję Gazety Wyborczej. Spotkali się z zastępcą redaktora naczelnego. Na zakończenie szkoły wszyscy otrzymali odpowiednie certyfikaty zakończenia kursu. Młodzież wróciła do swych miast – ktoś na Wschód, ktoś – na Zachód. Jedni wzięli ze sobą częścią kultury i tolerancji, inni – dobre stosunki z przedstawicielami mediów i profesorami Uniwersytetu Warszawskiego. Ale w pamięci utkwiły spotkania z kolegami, które już niebawem staną się dobrym początkiem wprowadzania nowych wspólnych ogólnoukraińskich projektów, badań, spotkań w ramach porozumienia i współpracy Polski i Ukrainy.

Pamięci Zofii, która uratowała miasto

W Trembowli na górze zamkowej podczas obchodów 915-lecia miasta odsłonięto pomnik odważnej Polce, żonie komendanta Zamku Trembowelskiego Zofii Chrzanowskiej (historyczne imię Anna Dorota von Frenzen), która w 1675 roku uratowała miasto przed Turkami

SABINA RÓŻYCKA
tekst
Rada Miasta Trembowli
zdjęcia

Autorem pomnika jest tarnopolski rzeźbiarz Roman Wilguszyński. Makietę pomnika stworzył on pod koniec 2011 roku. Podstawą jego pomnika były zdjęcia przedwojennego pomnika Zofii Chrzanowskiej, który stał w miejskim parku na Górze Zamkowej i został zniszczony po wojnie. Jako materiał pomnika autor wybrał szary trembowelski piaskowiec. Na otwarcie pomnika od rana na Górę Zamkową ciągnęli mieszkańcy miasta. „Pamiętam pomnik jeszcze z tamtych lat, – mówi mieszkanka Trembowli Sofija Moroz. – Taki był ładny, a go zniszczyli. Stała Chrzanowska z jedną ręką i bez głowy. A teraz zrobiono bardzo ładny pomnik”.

„Według przekazów, w czasie wojny polsko-tureckiej w 1675 roku, wojska tureckie pod dowództwem Ibrahima Paszy, przez dziewięć dni oblegały zamek, – mówią w radzie miasta. – Załoga zamku był nieliczna – około 200 osób, z nich 80 dragonów pod dowództwem Jana Samuela Chrzanowskiego. Broniono się ostatkiem sił. Turcy oblegali zamek metodycznie i po kilku dniach zamienili go na kupę kamieni, ale zdobyć go nie mogli. Nieprzyjaciel cztery razy zakładał pod zamek miny, ale gdy te wybuchły, więcej szkody zadawały oblegającym niż obrońcom. Jednak obrońcom powoli zaczęły puszczać nerwy i zaczęto myśleć o kapitulacji, aby zachować życie. Tą rozmowę podsłuchiwała dzielna żona Chrzanowskiego. Gdy radzono o kapitulacji otworzyły się drzwi i do komnaty weszły kobiety i dzieci. Na czoło wysunęła się pani Chrzanowska z dwoma nożami i powiedziała: „Nie może być żadnych rozmów z najeźdźcą. Będziemy walczyć razem i razem zginieć lub obronimy za-



Tak wyglądał pomnik Zofii Chrzanowskiej przed 1944 rokiem

mek”. A potem zwróciła się do męża: „Mój mężu, jeżeli poddasz fortecę, to jeden nóż przebije twoje serce, a drugi moje, jeżeli w nich zgaśnie miłość do wolności i Ojczyzny”. Takim argumentom komendant nie mógł nic przeciwstawić, rozpuścił naradę i do 5 października forteca trzymała się, aż podeszły z odsieczą główne siły Rzeczypospolitej z Janem III Sobieskim na czele. W nagrodę Samuel Chrzanowski otrzymał kolejny stopień wojskowy, a żołnierze po 100 dukatów. Decyzją Sejmu obrońca Trembowli otrzymał tytuł szlachecki i pięć tysięcy złotych.

Trembowelski zamek Turcy jednak zdobyli i zniszczyli go. Ale stało się to dwanaście lat później, w 1687 roku. Po tym forteca trembowelska

nie już dźwignęła się z ruin, a po 1699 roku już całkowicie straciła swoje znaczenie obronne. Austriacy zorganizowali tu koszary, które ostatecznie zlikwidowali w 1880 roku. Potem mury zamkowe zaczęto rozbierać na materiał budowlany i do moszczenia dróg. Pod koniec XIX wieku ruiny oczyszczono i doprowadzono do porządku. W latach 20. XX wieku z inicjatywy komisarza miasta Sylwestra Komisiewicza i burmistrza Kazimierza Missoni ruiny zamkowe odrestaurowano, główną wieżę wysprzątno i zrobiono w niej restaurację, a w 1930 roku uczniowie trembowelskiego gimnazjum zorganizowali tu teatr pod otwartym niebem.

Mieszkańcy Trembowli pamiętali o swej dzielnej obrończyni. Już a XVII wieku został wykonany pomnik, który ustawiono na pagórku poza zamkiem. Jak wyglądał ten pierwszy pomnik – nie wiadomo, – mówią urzędnicy w Radzie Miasta. – W XX wieku Rada gminy postanowiła uczcić Zofię Chrzanowską nowym pomnikiem. Autorem tego był trembowelski rzeźbiarz Jan Bochenek. Pomnik przedstawiał kobietę o zdecydowanym, a jednocześnie błagalnym wyrazem twarzy, jedną ręką trzymającą nóż, a drugą – wskazującą na miasto. Ten pomnik, który był okrasą miasta, został zniszczony w 1944 roku. W 1982 roku uporządkowano cokół pomnika i wmurowano nie zniszczoną płytę. Na cokole ustawiono symboliczną wazę.

Cokół został odnowiony i nową figurę ustawiono na początku lipca 2012 roku.



Grupa artystów pracujących przy pomniku z Romanem Wilguszyńskim na czele

Potocki w grobie się przewraca

Podczas silnej burzy, która przeszła nad Iwano-Frankowskiem (dawn. Stanisławowem) zawaliło się drewniane rusztowanie przy bramie Pałacu Potockich, którą przed dwoma miesiącami zaczęto odnawiać. Wielki baner, który zakrywał rusztowania przemienił się w żagiel. Stara cegła nie wytrzymała obciążenia i... brama zawaliła się.



SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

Ani zaraz po burzy, ani do samego wieczora terenu nikt niczego nie zabezpieczył, ani milicji, ani pracowników służb komunalnych na miejscu nie było, bo wichura szalała w... weekend. Władze i konserwatorzy uspokajają i twierdzą, że wszystko będzie dobrze (!). Bo samej bramy wiatr nie uszkodził całkowicie – zawaliła się „tylko” górna część lewego słupa, gdzie zamocowana była metalowa krata. Zawalone rusztowanie da się odnowić. Teraz najważniejsze zadanie konserwatorów – przywrócić bramie pierwotny wygląd. Rozmowy o konieczności konserwacji bramy toczyły się już od dawna. Zarówno władze, jak i historycy uważali takie prace za konieczne, bo brama coraz bardziej niszczała. Do niszczenia bramy przyczyniły się też i służby komunalne, które kilkakrotnie prowadziły prace remontowe przy bramie z użyciem młotów pneumatycznych. Przeszkód dla restauracji było wiele: długo sprzeczano się do kogo należy brama – miasta, województwa, czy lokalnego oligarchy, długo szukano wykonawców.

W czasie prac zniszczono wiele cegieł, ale wykonawca uspokaja, twierdząc, że jest wiele materiału budowlanego, który nie podlega renowacji. Do dziś spod bramy wywieziono trzy wywrotki cegieł, a kolekcjonerzy przychodzą tu i zbierają ułamki. Wykonawcy zapewniają, że do odnowienia bramy będą szukali XIX-wiecznej cegły. „Proszę się nie martwić, – mówi szef wykonawców

Wołodmyr Marceniuk. – To już nasza sprawa, skąd wziąć „litewską” cegłę (jak ją fachowo nazywają konserwatorzy). Część mamy u nas w magazynie, a część dokupimy. Naszym zadaniem jest rzetelne odnowienie bramy – my to zrobimy”. Według zasad rekonstrukcji zabytków architektury, wystarczy aby było w nich 50% autentycznego materiału.

Co do maszkaronów-rycerzy, które stały na obu filarach bramy, to fachowcy twierdzą, że zostały one oczyszczone od brudu i kurzu i są zmagazynowane na terenie pałacu. Kolejne prace dotyczą elementów metalowych. Prace są monitorowane przez uczonych. Gdy rozebrano ceglana konstrukcję, okazało się, że już kiedyś była poprawiana. Prawdopodobnie w okresie sowieckim. Kierownik wydziału ochrony środowiska historycznego Iwano-Frankowska Igor Panczynszyn, przekonuje, że w ciągu minionych trzech stuleci prawie cała historyczna infrastruktura miasta była niejednokrotnie przebudowywana. Zachowała się jednak autentyczna niepowtarzalność miasta. „Weźmiemy, na przykład, bramę pałacu Potockich, – mówi pan Panczynszyn. – Dodawano do niej przez wieki różne detale architektoniczne. My też możemy robić swego rodzaju transplantację cegieł. Zrobiliśmy to w bastionie i panuje tam wspaniały klimat dawnych lat”.

Prace konserwatorskie przy bramie Potockich miały być zakończone do sierpnia, ale zostały przedłużone do października. Kosztorys prac opiewał na ponad 500 tys. hrywien.

KG

Kancelaria Adwokacka Natalii Żak

- Usługi prawne w sprawach cywilnych, administracyjnych, karnych, podatkowych, celnych, gospodarczych, emigracyjnych i deportacyjnych;
- Pomoc prawna cudzoziemcom na Ukrainie;
- Rejestracja, zmiany w spółkach w Ukrainie i za granicą;
- Doradztwo i rejestracja wizowa.

Adres: Lwów, prospekt Czornowola, 67 g
tel.: 032-232-77-58, kom.: +38 067 706 25 59
e-mail: pomoc.prawna@ukr.net

W poszukiwaniu Dzikiego Stepu

Do podjęcia tej wyprawy od lat pobudzała mnie pieśń „Hej sokoły!” Interesowało mnie, czy wciąż, gdzieś tam, na południu Ukrainy, blisko brzegu „czarnej wody”, czyli Morza Czarnego, pozostał chociażby kawałek prawdziwego stepu? Chciałem usłyszeć, czy wśród bujnych traw „dzwonia” tam skowroneczki oraz zobaczyć, co naprawdę pozostało po Dzikich Polach. Wsiadłem do pociągu Lwów – Chersoń, aby po dwudziestogodzinnej jeździe w starym sowieckim wagonie od razu znaleźć się w objęciach suchego południowego wiatru.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst
zdzjęcia archiwum autora

Jak przewidziałem, znaleźć w tym okresie kogoś z Towarzystwa Polskiego w Chersoniu łatwiej jest w Polsce, niż tu na miejscu. Wszędzie urlopy. Mapy i foldery turystyczne też trudno jest nabyć, ponieważ promocją obwodu chersońskiego prawie nikt się jeszcze na poważnie nie zajmuje. Jedyne, czego zdołałem się dowiedzieć to to, że na wybrzeżu Morza Czarnego funkcjonuje kilkadziesiąt niedrogich posowieckich pensjonatów. Obok przystanku, skąd wyruszają busiki do nadmorskich miasteczek i osad: Żelaznego Portu, Łazurnego i Skadowska, pachniało szaszłykami, do spróbowania których uprzejmie zapraszał czarujący przy ogniu młody Tatar. Tu, muszę się przyznać, też zabrzmiał mi refren: „Dziki Tatar w stepie gania, ale Polak go dogania...” Tymczasem Tatar od szaszłyków był chętny do rozmowy. Powiedział, że pochodzi ze starej krymskiej rodziny tatarskiej. Po latach przymusowego wygnania, spędzonych w Azji Środ-



Dziennikarz Kuriera dotarł do Nowej Askanii

nie ma. Wszystko już dawno zostało zaorane.

„Ale pewnie też wybierasz się na piaski aleszkowskie? – chytrze popatrzył na mnie. – Sporo tu waszych „zapadeńców”, to znaczy z zachodu Ukrainy. Ze Lwowa też tu przyjeżdżają – nawet rowerami”. Po chwili uprzedził, że różne wypadki się tam zdarzają. „Jakby tam nie było, to jest pustynia, – zaznaczył. – Kiedyś był tam poligon wojskowy. Wiesz coś o tym?”

Słyszałem o tym wcześniej, i właśnie dlatego zaplanowałem przede

Sahary, ponieważ na skutek przemieszczenia się 5–7 metrowych barchanów – miejscowych wydm piaszczystych, odsłaniają się pozostawione bomby-niewybuchy. W drugiej połowie XX wieku zrzucano je tam z sowieckich samolotów. Poligon już jest nieczynny, jednak teren, z powodu ciężkich warunków, nie został całkowicie rozminowany. Już w tym roku zdarzyło się kilka wypadków. Niektórzy próbują rozbrajać bomby na metal. Na miny i bomby natykają się też jeepy podczas rajdów á la safari.

żadnego drzewka, krzaczka czy jakichś punktów orientacyjnych. Tylko piaszczyste wydmy, aż po horyzont. Mroczny i jednorodny krajobraz. Po nogami kawałki żelaza i metalowe kulki. Zauważyłem, że ktoś przejeżdżał tędy motocyklem.

Sergiusz narzeka, że kilka lat temu władze obiecywały ludziom, że Aleszkowskie Piaski będą nową Mekką turystyczną. Na początku było sporo gości, także z innych krajów. Wyznaczono kilka tras turystycznych, ale nadal nikt poważnie tym się nie zajmuje. „Pod wieczór można dojść do oazy – lasu sosnowego z jeziorkiem i tam spędzić noc” – zachęcał. Ale tym razem nie jesteśmy przygotowani do dalszej pieszej wyprawy przez piaski. Powoli włączymy się za Sergiuszem jeszcze przez trzy godziny, już nie zwracając uwagi nawet na węże, żmije i inne drobne stworzenia. Półpustynia powoli przechodzi w step z biedną roślinnością. Już słychać brzęk dzwoneczków i stado owiec: „Dzwoń, dzwoń, dzwoń dzwoneczku...” – znów nasuwają się słowa piosenki. Na przystanku autobusowym żegnamy się z naszym

hodowane są bizona, dzikie konie, zebry, antylopy, wielbłądy, inne zwierzęta oraz wiele gatunków ptaków. Obok znajduje się wspaniały park dendrologiczny.

W Nowej Askanii żywe są wspomnienia o rodzinie von Falz-Feinów. Jeden z potomków rodziny do dziś przyjeżdża z Liechtensteinu i pomaga materialnie w funkcjonowaniu podupadłego rezerwatu. Ostatnio wzniesiono tu pomnik Friedricha von Falz-Feina i odbudowano jego zdewastowany dworek. Z ust przewodniczki, oprowadzającej nas po parku, padło też nazwisko Józefa Paczoskiego, dzięki któremu w 1898 roku zostały zachowane dwa obszary dzikiego stepu dziewiczego. Polak był kierownikiem jednego z pierwszych rezerwatów na terenach dzisiejszej Ukrainy, ówczesnej południowej Rosji.

To właśnie ten sam Józef Konrad Paczoski, znany jest w Polsce jako badacz flory Puszczy Białowieskiej, twórca teorii pantopizmu i podstaw fitosocjologii. Profesor Uniwersytetu Poznańskiego, od 1932 roku członek-korespondent Polskiej Akademii Umiejętności; od 1899 roku współ-



Step

kowej, dwadzieścia lat temu wrócili na Krym. Chłopak skończył liceum techniczne, jednak na Krymie pracy nie znalazł. Potomek rodu tatarskiego powiedział też, że nigdy nie był w dzikim stepie, ponieważ dzisiaj go...

wszystkim zobaczyć ten cud natury – Saharę na zielonej Ukrainie.

Aleszkowskie Piaski

Rozległy półpustynny obszar 15x20 km, zwany także Dolnodnieprowskie Piaski, jest położony na południe od Chersonia i zaczyna się niedaleko od Ciurupińska (dawna nazwa Oleszki, Aleszki). Jest kilka wersji o powstaniu tej bezładnej krainy słońca i piasku. Niektórzy twierdzą, że tyle piasku pozostało tu kiedyś po zmianie koryta Dniepru, a inni udowadniają, że półpustynię wygenerował wypas ogromnych stad owiec w wiekach XVIII i XIX.

„To jest tam, za lasem skąd widać dym – wyjaśnia kierowca busika przestraszonym pasażerem, którzy udają się nad morze. – Corocznie zdarzają się tu pożary na zalesionych terenach stepowych”. Na początku sierpnia br. w obwodzie chersońskim pożary objęły obszar ponad 700 ha.

Zostały też zamknięte inne drogi prowadzące przez las do ukraińskiej



Sztuczna oaza w Nowej Askanii

Teren sprawia wrażenie pozbawionego wszelkiego życia, a jednak przyciąga coraz więcej turystów. Bo gdzie jeszcze można ugotować jajko w piasku przy temperaturze +75°C? „Najgorzej, jak dojdzie do burzy piaskowej – stwierdza Sergiusz, przewodnik z okolicznej wioski, który za niewielkie pieniądze oprowadza turystów. – Piaski mogą dojść aż do Chersonia. Wtedy nic nie widać i piasek zgrzyta na zębach. Nieraz zdarzało się, że piaskiem zasypywało drogi, jak śniegiem w zimie. Aleszkowskie piaski „następują” także na ogrody i pola. Tylko las chroni przed atakiem pustyni...”

Wspinamy się na kuczugurę – niewielkie wzgórze piasku. Dookoła

lotem i mijając rozorane kurhany Scytów czy Polowców, jedziemy do jedynej w Europie rezerwatu pierwotnego stepu kostrzewowo-ostnicowego i położonej tam unikalnej oazy, stworzonej przez człowieka.

Nowa Askania

Jest to niewielka osada dla naukowców i obsługi słynnego rezerwatu o tej samej nazwie, który obecnie zajmuje powierzchnię 82,5 tys. hektarów. Rezerwat został założony w 1883 roku przez niemieckiego osadnika Friedricha von Falz-Feina. W jego skład wchodzi, między innymi, ostatni na obszarze naszego kontynentu dziewiczy step (11 tys. hektarów), zoo aklimatyzacyjne, gdzie

pracownik Komisji Fizjograficznej PAU. Syn powstańca z 1863 roku, prawnika i administratora dóbr księcia Sanguszkii oraz Ludwika z Wiemuthów. Józef Paczoski urodził się 26 listopada (8 grudnia) 1864 roku w Białogrodce na Wołyniu. Studiował w gimnazjum realnym w Równem, szkole rolniczej w Humaniu, na Uniwersytecie Kijowskim. Pracował jako ogrodnik i kustosz ogrodu botanicznego w Petersburgu. W latach 1895–1897 pracował jako asystent w katedrze botaniki doświadczalnej stacji botaniczno-rolniczej Wyższej Szkoły Rolniczej w Dublanach koło Lwowa, gdzie prowadził zajęcia z sadownictwa oraz w zastępstwie wykładał systematykę roślin. W tym



Komuna – wioska stepowa

samym czasie krakowska Akademia Umiejętności zleciła mu badania florystyczne w różnych regionach kraju i za granicą. Ich odzwierciedleniem były m.in. prace: „Szkic flory i spisu roślin zebranych we wschodniej Galicji, Bukowinie i Komitacie Marmaroskim na Węgrzech” oraz „Spis roślin zebranych na Podolu, w północnej Besarabii i koło Zdolbunowa na Wołyniu”. Wspomniano o tym w Chersoniu podczas obchodów 140-lecia Józefa Konrada Paczoskiego. Uczony pracował także w Urzędzie Ziemstwa Chersońskiego, na stanowisku gubernialnego entomologa do spraw zwalczania w rolnictwie owadów-szkodników. Zajmował się także realizacją pomysłu stworzenia Muzeum Przyrodniczego Ziemiaństwa, którego był wieloletnim kierownikiem. Po Rewolucji Październikowej, w 1918 roku został powołany na profesora zwyczajnego botaniki na wydziale rolniczym Politechniki Chersońskiej, gdzie wykładał morfologię, systematykę i jako pierwszy na świecie – fitosocjologię. W 1923 roku Józef Paczosi przeniósł się do Polski, gdzie objął stanowisko kierownika naukowego rezerwatu w Puszczy Białowieskiej.

Wpisana w 1984 roku przez UNESCO na listę rezerwatów biosfery Nowa Askania jest podzielona na trzy strefy. Na skrawek Dzikiego Pola o powierzchni 11 tys. ha nie ma wstępu. Na tym obszarze nigdy nie tkniętym plugiem, wśród wysokich bylin, które miejscami osiągają wysokość przewyższającą wzrost człowieka, żyją w



Koń Przewalskiego



Kamienne baby

warunkach półwolnych stada ssaków kopytnych z Azji, Afryki i Ameryki. Jest tam największe na świecie żyjące na swobodzie stado koni Przewalskiego. W strefie buforowej dozwolony jest wypas bydła i pokos traw. Trzecia strefa jest zantropogenizowana. W Nowej Askanii działa instytut naukowy prowadzący prace nad adaptacją i aklimatyzacją różnych gatunków dzikich zwierząt, krzyżowaniem ich między sobą i ze zwierzętami domowymi.

Turyści mogą zwiedzać przede wszystkim zoo i park dendrologiczny, a fragmenty Dzikiego Stepu można zobaczyć tylko z odległości. Nie zabezpieczają to jednak pożary. Niedawno spłonęła kolejna stepowa część rezerwatu.

W południowym upale chowamy się w cieniu parku, gdzie do każdego drzewa i krzaka docierają strumyczki wody, dobytej z głębokich źródeł podziemnych. Utworzono też całe jezioro, gdzie zamieszkało mnóstwo różnych gatunków ptaków. Dalej napotykamy na kilka kamiennych bab z kurhanów połowieckich. Ze współczuciem popatrzyłem na zamknięte w tak zwanym zoo zwierzęta. Warunki w jakich żyją, przypominają raczej zacołany kolchoz.

„Zapraszamy państwa, by przyjechać do Nowej Askanii pod koniec maja, – mówi na pożegnanie przewodniczka rezerwatu. – Wtedy jest mniej turystów i można wyjechać na jeepie czy furmanką w kwitnący step”.

*Czarny pałasz w rękę dajcie,
I tak kupą zaśpiewajcie,
Lach i Rusin to są braty
Razem pójdą na psułaty.*

Józef Konrad Paczosi to nie jedyny Polak, który pozostawił dobry ślad w rejonie czapłyńskim. Hryhoriwka, Preobrażenka, Czaplówka, Czarna Dolina – to miejscowości zasiedlone w XIX wieku przez Ukraińców i Polaków, zwłaszcza powstańców zesłanych po wydarzeniach 1830–1831. W niektórych wioskach pozostały mury kościołów. „Warszawą” nazywano kiedyś Preobrażenkę, ponieważ tam na uroczystości i odpusty gromadziło się sporo Polaków z okolicznych stepowych osad. Po ostatnich zmianach migracyjnych spotykamy tu zamieszkałych na południu Ukrainy Koreańczyków i innych przybyszy – zwłaszcza nielegalnych.

W Łazurnym asfaltowa szosa kończy się nad brzegiem Morza Czarnego. Dalej, za płytkim przemykiem jest położony Dżarylgacz – największa wyspa ukraińska na Morzu Czarnym w Zatoce Karkinickiej. Kiedyś był to wąski i długi półwysep, tak zwana kosa, która została odcięta wodą od brzegu. Obecnie ciągnie się aż 50 km.

KG

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować na pocztę!!!

KOD PRENUMERATY

УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej

1 miesiąc – 5,96 hrywien

3 miesiące – 17,88 hrywien

6 miesięcy – 35,76 hrywien

12 miesięcy – 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową: kuriergalicyjski@wp.pl

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 15, tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002); **w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym**, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel. +48 (016) 678 73 33

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”.

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, w Drohobyczu, Truskawcu, Borysławiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebniku;
- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;
- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie;
- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;
- w Iwano-Frankiwsku (d. Stanisławowie) w „Sklepie Żelaznym”, Rynek 7;
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.



Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie
www.wizyt.net/
www.kresy.co.uk stanislawow.pl
www.kresy2000.pl

www.hanaczow.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua
www.lwowiacy.pl

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:
www.kuriergalicyjski.com
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

Kantorowe kursy walut na Ukrainie 16.08.2012, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,11	1 USD	8,13
9,93	1 EUR	9,96
2,44	1 PLN	2,47
12,62	1 GBR	12,76
2,50	10 RUR	2,54

Apollo Korzeniowski (1820-1869)

pisarz i konspirator

W związku ze zbliżającą się wielkimi krokami 150. rocznicą wybuchu powstania styczniowego fundacja Polonia-Ruthenia, podejmująca szereg działań zmierzających do zbliżenia polsko-ukraińskiego na gruncie wspólnych elementów historii obydwu narodów, ma zaszczyt zaprezentować opowieść o Apollonie Korzeniowskim – człowieku pióra, wyznawcy radykalnego programu społecznego, nieprzyjacielu caratu, gorącym patriocie... no właśnie: polskim czy ukraińskim? Z wąsko-nacjonalistycznego punktu widzenia był Polakiem, bo mówił po polsku. Jednakże, jeśli przyjąć jako kryterium świadomość polityczną, był on reprezentantem Ukrainy-Rusi w wobec konspiracyjnych środowisk warszawskich. Postać niejednoznaczna i przez to niezwykle ciekawa.

„Dziecię – synu, powiedz sobie:
Ześ bez ziemi, bez miłości
Bez ojczyzny, bez ludzkości
Póki Polska – Matka w grobie”
Apollo Korzeniowski

**DOMINIK SZCZĘSNY-
KOSTANECKI**

Pamięć dzięki synowi

Przez wiele dziesiątków lat Apollo Korzeniowski znany był w zasadzie wyłącznie jako ojciec wielkiego pisarza Josepha Conrada; czasami przypominano sobie o jego dorobku literackim, ale wydaje się, że gdyby nie pierwsza okoliczność, byłby znany jedynie wnikliwym badaczom literatury XIX-wiecznej. Tymczasem niemniej interesującym – a być może najważniejszym dla samego Korzeniowskiego i dla polskiej tradycji historycznej – aspektem jego życia jest działalność strictly niepodległościowa. I chociaż nie brał bezpośredniego udziału w walkach, był sprawnym konspiratorem i wydatnie przyczynił się do uwrażliwienia środowisk warszawskich na kwestię ukraińską.

Młodość – małżeństwo – ziemiaństwo

Apollo Korzeniowski herbu Nałęcz urodził się w 1820 roku w małej miejscowości Honoratka na terenie dzisiejszej oblasti winnickiej. Podobnie jak Edmund Różycki, był synem powstańca listopadowego, z tą różnicą wszakże, iż jego ojciec nie odgrywał znaczącej roli w czasie insurekcji, dzięki czemu po jej upadku rodzina cieszyła się względny spokojem. Teodor Korzeniowski zarabiał na życie puszczaniem gruntów w dzierżawę. Nie przynosiło mu to kroci, wykluczyć jednak należy, aby w domu panowała bieda, tym bardziej, że młody Apollo po ukończeniu gimnazjum żytomierskiego wysłany został na studia do Petersburga. W stolicy Rosji był słuchaczem dwóch fakultetów: prawa i orientalistyki. Wybór tego drugiego kierunku można wiązać ze swoistą modą na orient, jaka panowała w dobie romantyzmu.

Niewiele wiadomo na temat studenckich czasów Apollona, wiadomo jednak, że po powrocie na Ukrainę w roku 1852, a więc w wieku 32 lat, najął się do pracy jako zarządca dóbr w miejscowości Łuczyniec na Podolu. Nie miał jednak natury hreczkosieja i w czasie wojny krymskiej (1853–1856) wziął czynny udział w przygotowaniu dywersji na tyłach wojsk rosyjskich. Moment historyczny jednak jeszcze nie dojrzał i powstanie polskie nie wybuchło. Nieudana akcja polityczna sprawiła, iż Korzeniowski odsunął się na jakiś czas od bieżącej polityki, wstąpił w związek małżeński

z Ewelina (Ewą) Bobrowską, siostrą Stefana, późniejszego powstańczego naczelnika Warszawy i wydzierżawił wieś Derebczynka. 3 grudnia 1857 w Terechowej, gdzie mieszkała rodzina żony lub w Berdyczowie przyszedł na świat jego jedyny syn Konrad, który później stanie się sławny na cały świat dzięki takim powieściom jak: „Lord Jim”, „Jądro Ciemności” czy „W oczach Zachodu”. Warto przy okazji nadmienić, iż chłopiec otrzymał imię dzięki Mickiewiczowi, którego Konrad z III części Dziadów stał się dla Apollona Korzeniowskiego silną inspiracją.

Niestety, po paru latach dzierżawa Derebczynki okazała się finansową kląpą, co zmusiło rodzinę do przeprowadzenia się na stałe do Żytomierza i zmianę stylu życia przez naszego bohatera.

Życie literackie

Wydaje się, że Apollo Korzeniowski przeżył pierwszą czynną przygodę z literaturą na studiach w Petersburgu. Zafascynowany Zygmuntem Krasieńskim – którego duch musiał się jeszcze unosić na stolicy carów, albowiem to tutaj powstał w mękach wybitny dramat drugiego ordynata opinogórskiego Irydion – zaczął pisać cykl poematów religijno-patriotycznych pod zbiorczym tytułem „Czyścówce pieśni”. Jednak dość szybko zwrócił się w stronę programu demokratycznego, którego zasady wyłożył w głośniejszym swoim czasie, a i współcześnie odgrywanej sztuce pod tytułem Komedii (aluzja do Nieboskiej komedii aż nadto czytelna.) W dziele tym, ukończonym w 1854, rozprawia się Korzeniowski ze środowiskiem szlachty polskiej na Ukrainie – chciwej, próżnej i głupiej: „O! Wy, pajace życia, światowi kuglarze, W ciele pyszni i wielcy, a w duszy – nędzarze”.

Chłosta była bolesna i została boleśnie odczuta w środowisku, przeciwko któremu została wymierzona. Wywołała ona towarzyski skandal i oczywiście nie mogło być mowy o przeniesieniu jej na deski teatru w dającej się przewidzieć przyszłości. W tym momencie stwierdzić trzeba, że Korzeniowski nie reprezentował stanowiska krańcowo lewicowego – nie uważał, że szlachta powinna ponieść karę z ręki chłopca, jak to miało miejsce podczas rabacji galicyjskiej. Sądził po prostu, że aby można było marzyć o odzyskaniu niepodległości, trzeba przyciągnąć włościan do polskości. By zaś to osiągnąć należy ich zrównać w prawach ze szlachtą. Było to program zbliżony do tego, który wyznawał Edmund Różycki, z tym że jeden z nich realizować go



Apollo Korzeniowski

będzie piórem, drugi szablą. Obaj zaś męczeniem, choć w nierównym stopniu.

W parę lat po zamieszkaniu wywołanym *Komedią* Korzeniowski podjął na nowo wątki społeczne i splótł je wraz z innymi w kolejnym dramacie zatytułowanym *Dla milego grosza*. Jest to utwór jeszcze bardziej przepełniony jadem wobec materializmu rządzącego światem szlacheckim, w którym nie ma miejsca na prawdziwą miłość. I tu Korzeniowski popada w pozorną sprzeczność: wobec modelu życia, reprezentowanego przez „klany pobożnych spekulantów”, pozytywnym wzorcem staje się stary szlachcic-konserwatysta. Nie jest to jednak dychotomia optymalizująca, raczej stara się powiedzieć Korzeniowski, że od bezdusznego kapitalizmu woli mimo wszystko stary świat z jego przyrodzonymi niesprawiedliwościami. W tym duchu będzie też pisał rozliczne artykuły jako korespondent gazet warszawskich.

Początki konspiracji

Pomijając konspiracyjny epizod z czasów wojny krymskiej, o którym wspominałem wyżej, Apollo Korzeniowski włączył się do ruchu spiskowego – prawdopodobnie dzięki szerokim kontaktom szwagra Stefana Bobrowskiego – na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, czyli odkąd przeniósł się do Żytomierza. Tamże w kwietniu 1861 roku wziął

udział w zebraniu przedstawicieli delegatów szlacheckich trzech części składowych Rusi: Wołynia, Podola i Ukrainy, na którym poruszono kwestię stworzenia na bazie istniejących Towarzystw Rolniczych wspólnej organizacji ziem zabranych, mającej w założeniu szerzyć wiedzę ekonomiczną, doskonalić techniki agrarne, założyć gospodarstwo modelowe, wydawać piśmiki rolnicze, itp. Wiadomo, iż Korzeniowski domagał się w trakcie obrad, by wystosować do cara adres z apelem o administracyjne scalenie Królestwa Kongresowego z Litwą i Rusią. Liczono w ten sposób na stworzenie zaczynu Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Pozujący na światłego reformatora Aleksander II nie zgodził się jednak na żaden z przedstawionych wtedy postulatów.

Wybory samorządowe

Latem 1861 Królestwo Kongresowe żyło mającymi odbyć się we wrześniu wyborami samorządowymi. Opinie co do tego, jak należy się wobec nich zachować były podzielone między trzy obozy. Klasy posiadające i millenerzy opowiadali się za czynnym udziałem w wyborach. Przeciwnie stanowisko zajęli czerwoni, stwierdzając, że „droga legalna jest już dla nas bezpłodna”. Stanowisko pośrednie wypracował wtedy Apollo Korzeniowski, sugerując wzięcie udziału w wyborach, ale za pewną cenę. Otóż wyborcy mieli nałożyć na wybranych „mandat”, zawierający szereg postulatów. Przede wszystkim chodziło o rozszerzenie władztwa rządu na Litwę i Ruś, integralne części Rzeczypospolitej, przemocą jej odebrane. By zyskać poparcie dla tego pomysłu, Korzeniowski zorganizował w lipcu manifestację z okazji rocznicy uchwalenia Unii Lubelskiej, a więc tego aktu, który Rzeczypospolitą polsko-litewsko-ukraińską – choć nie znalazło to wtedy odzwierciedlenia w nazewnictwie – powoływał do życia. Warto przy okazji zwrócić na pewną okoliczność, o której wspominał Stefan Kieniewicz, a mianowicie, że manifestacja rocznicowa oprócz budzenia pamięci, odegrała rolę manewru politycznego zmierzającego do pozyskania środowisk ugodowych i kunktatorskich dla sprawy czerwonych. Gdyby bowiem ich przedstawiciele przyjęli taki mandat, droga ugody z caratem zakończyłaby się dla nich definitywnie, gdyż niemożliwym było, aby Aleksander zgodził się na ten pierwszy i chyba najważniejszy krok na drodze ku odbudowie państwa polskiego w granicach sprzed 1772 roku.

Niedługo po tych wydarzeniach, ale jeszcze przed wyborami, opubli-

kował Korzeniowski broszurę pt. *Co mamy z tym fantem zrobić, co go trzymamy w ręku*, zawierającą bezpardonowy atak na środowiska milnenskie, obiecujące sobie korzyści z reform carskich po upływie kilkudziesięciu lat. Jednocześnie stwierdzał, że trzeba „wybrać na radców ludzi z niespożytą cywilną odwagą; upewnić się o chęciach wybranych, dając im mandat do upamięnienia się o nieśmiertelne i nigdy nieprzedawnione prawa narodowe”. Jak zatem widać Korzeniowski atakował swoich przeciwników zarówno z prawa, jak i z lewa.

Mimo całej akcji zmierzającej do przyjęcia przez elektów mandatu, zwyciężyła koncepcja białych, którzy obawiali się zadzierać z caratem. Same wybory, rozłożone w czasie na trzy tygodnie, miały spokojny przebieg, mimo iż w XI cyrkule sto-

skim i krakowskim, następnie zalapanym przez Austriaków i wydany Moskalom, zostanie rozstrzelany w 1866 r. na stokach Cytadeli warszawskiej.

Rzecz jasna myliłby się ten, kto by sądził, że narada odbywała się w atmosferze sielankowej. Pomimo jednak protokołu rozbieżności, udało się wypracować wspólne stanowisko. Sama uroczystość miała się odbyć 10 października w Horodle, a więc w zakolu Bugu niedaleko obecnego przejścia granicznego Zosin/Ustyluh – w ostatniej chwili to postanowienie uległo zmianie, albowiem władza carska nie zgodziła się na uroczystość w samej miejscowości, tylko w jej pobliżu. Ustalono, że tego dnia dojdzie do odnowienia unii z roku 1413, a herb I Rzeczypospolitej zostanie uroczystie wzbogacony o wizerunek archanioła Michała, po to, aby dawną niesprawiedliwość przekreślić i ogłosić po-

twić spełnienie zamierzonego przez nas dzieła, prawa nasze do niepodległości, jako nie uległe żadnemu przedawnieniu, oddajemy pod uznanie rządów i sumienia ludów z wyrobionym poczuciem sprawiedliwości”. Akt odnowienia unii był szeroko kolportowany w całej Polsce.

Euforia trwała jednak krótko...

Stan wojenny – Komitet Miejski – Aresztowanie

Nazajutrz po zakończeniu wyborów samorządowych, a w cztery dni po uroczystościach horodelskich i zarazem w rocznicę śmierci Kościuszki – 14 października – namiestnik Królestwa Polskiego Karł Lambert wprowadził na jego terenie stan wojenny. Mógł oczywiście to zrobić już wcześniej, do czego naglił go Petersburg, jednakże nie chciał w ten sposób zniechęcać środowisk konserwatywnych do wzięcia udziału w wyborach.

Wobec jawnie już w tym momencie konfrontacyjnej postawy władz Apollo Korzeniowski zyskał bardzo silny argument w dyskusji z białymi: niepodobna prowadzić dalszych negocjacji w czasie masowych aresztowań, wywlekania ludzi z kościołów, wzmożonej cenzury: jedyne, co pozostawało, to walczyć. Jednocześnie, wobec zdezaktualizowania się kwestii udziału w wyborach, możliwym stało się ponowne zbliżenie Korzeniowskiego i Chmielińskiego, co w istocie nastąpiło. 17 października w warszawskim mieszkaniu ojca Conrada zebrano się 17 albo 18 osób, w taki czy inny sposób powiązanych z czerwonymi. Grupa ta wyłoniła trzyosobowy komitet, do którego poza niedawnymi adwersarzami wszedł jeszcze według wszelkiego prawdopodobieństwa Leon Glowacki. Nie jest rzeczą do końca pewną, jaką nazwę obrał ów tryumwirat, w historiografii spotyka się dwie: Komitet Ruchu i Komitet Miejski. Tak czy owak, twór ten odgrywał wtedy rolę najwyższej władzy wykonawczej w organizacji czerwonych, konsolidując przy tym jej strukturę. Członkowie komitetu podzielili między siebie „resorty” skarbu, wojska i propagandy, tworząc tym samym załączek organizacji polskiego państwa podziemnego.

Na nieszczęście dla sprawy i dla samego Korzeniowskiego, jego działalność w Komitecie Miejskim okazała się dramatycznie krótkotrwała. Cztery dni bowiem po ukonstytuowaniu się nowej władzy, w nocy z 20 na 21 października został on aresztowany, a następnie osadzony w budzącym jak najgorsze skojarzenia X pawilonie warszawskiej Cytadeli. Dla samego Korzeniowskiego nie było to wielkim zaskoczeniem. Popularność jego osoby, antyrosyjskie poglądy, udział w organizowaniu manifestacji patriotycznych, a być może również i usłużny donos w sprawie przystąpienia do Komitetu – wszystko to składało się w oczach władz na obraz człowieka politycznie niebezpiecznego.

W więzieniu – mimo iż znosił je źle – zachował w przeciwieństwie do Karola Jankowskiego postawę wyprostowaną i nie wydał swoich kolegów. Śledczym nie udało się nawet wydobyć z niego informacji na temat jego roli w Komitecie Ruchu – konsekwentnie odmawiał współpracy. Jasnymi momentami w tych ciężkich chwilach były wizyty ukochanego synka, który wraz z babką przynosił mu paczki. Joseph Conrad wspomni po latach te odwiedziny: „od czasu

wizyt na dziedzińcu cytadeli zaczęło się moje świadome życie”.

Zesłanie

Mimo najszczęśliwszych chęci, nie udało się zakwalifikować „przestępstw” Apollona Korzeniowskiego jako zdrady stanu. Jednakże w obliczu napiętej sytuacji w Królestwie zwolnić go byłoby niewybaczalnym błędem. Ta dwuznaczność sprawiła, iż w maju 1862 r. został zesłany wraz z żoną do Wologdy, gdzie z czasem utworzyła się grupa zesłańców politycznych. Tutaj też dotarła do niego wiadomość o wybuchu powstania. Będąc oddalonym od spraw krajowych, skrytykował je jako przedwczesne, nie doceniając powagi sytuacji wywołanej branką Wielopolskiego. Tymczasem stan zdrowia Eweliny pogorszył się na tyle, że Korzeniowscy uzyskali prawo osiedlenia się bliżej stron rodzinnych, w Czernichowie, co też uczynili.

W czasie zesłania podjął na nowo pracę literacką, pisząc między innymi rodzaj pamiętnika historyczno-filozoficznego pod tytułem *Polska i Moskwa*, urywek dramatyczny *Bez ratunku* oraz rozprawę krytycznoliteracką *Studia nad dramatyką w utworach Szekspira*. Szeroki wachlarz tematów i gatunków oraz przemożne pragnienie tworzenia mimo nędznych warunków życia pokazują, jak gruntownie wykształconym człowiekiem był Korzeniowski, który – jak sądzę – w innych

niowa Ukraina była jawnym zaprzeczeniem. Początkowo zamieszkali we Lwowie, by po mniej więcej roku przenieść się do Krakowa, w którym ojciec – ten niezłomny mimo chorób i depresji konspirator – nawiązał kontakt z powstałym tam właśnie demokratycznym pismem „Kraj”. Niewiele udało mu się jednak na tym polu zdziałać, był już bowiem śmiertelnie chory i rzadko wstawał z łóżka. Zmarłego 23 maja Apollona Korzeniowskiego pochowano na Cmentarzu Rakowickim, na prawo od głównego wejścia. Jego grobowiec zdobi pomnik przedstawiający zwieńczoną krzyżem pryzmę kamieni, dłuta Walego Gadomskiego.

Korzeniowski współcześnie

Jak już wspominałem we wstępie, Apollo Korzeniowski na długie lata padł ofiarą sławy własnego syna. Większość haseł encyklopedycznych jemu poświęconych zaczyna się od stwierdzenia: „ojciec Josepha Conrada”. Z drugiej strony ulice polskich miast noszące imię Korzeniowskiego nieodmiennie odwołują się do... Józefa Korzeniowskiego, również pisarza doby romantyzmu, jednego z pedagogów Krasieńskiego. Nie jest jednak tak źle, jak by się wydawało na początku: sztuka Korzeniowskiego „Komedia”, tak niepolityczna w XIX wieku, doczekała się



Kamienica przy ul. Nowy Świat 47 w Warszawie, w której w 1861 roku mieszkał Apollo Korzeniowski

licy doszło do krótkotrwałej próby sił pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami idei mandatu. Jednakże zwycięstwo białych było połowiczne, by nie powiedzieć pyrrusowe, ponieważ regułą w większości okręgów wyborczych było głosowanie na ludzi jawnie nieprzychylnych caratowi.

Rocznica unii horodelskiej

Innym elementem ofensywy Korzeniowskiego na gruncie polityki, którą dzisiaj zdefiniowalibyśmy jako jagiellońską była współorganizacja zjazdu z udziałem przedstawicieli Korony i Rusi w celu uzgodnienia przebiegu obchodów rocznicy unii horodelskiej. Stronę polską reprezentowali obok samego Korzeniowskiego, znany nam już Karol Majewski, postać w dalszym ciągu znacząca, a także student Akademii Sztuk Pięknych Stanisław Szachowski. Ze strony rusińskiej przybył ksiądz unicki z Lublina Stefan Laurysewicz wraz z grupą osób z lewobrzeżnej Ukrainy. Narada oprócz swego celu podstawowego miała być manifestacją jedności obu narodów w walce o niepodległość. Symboliki tego braterstwa dopełnia również fakt, iż według niektórych świadków w delegacji zadnieprzańskej znalazł się Mitrofan Podhaluzin, po mieczu potomek kozaka zaporoskiego, który w powstaniu styczniowym walczył będzie w województwach sandomier-

wstanie Rzeczypospolitej nie dwojga, lecz T R O J G A narodów, „związanych bratnim węzłem”. Było to akt uzupełnienia unii horodelskiej o postanowienia traktatu hadziackiego z 1658 – zjednoczenie Polski, Litwy i Rusi jako „WOLNYCH Z WOLNYMI, RÓWNYCH Z RÓWNYMI”.

Przed obchodami komitet organizacyjny wydał odezwę, napisaną prawdopodobnie przez samego Korzeniowskiego, adresowaną do „Braci Polaków, Rusinów i Litwinów”, którzy wezwani zostali do tłumnego przybycia na uroczystość. Specjalne miejsce w zaproszeniu znalazło się dla przedstawicieli duchowieństwa, jak też osób wyznania mojżeszowego.

Rocznica unii horodelskiej okazała się wielką manifestacją patriotyczną, w której wzięło udział kilkanaście tysięcy osób z Królestwa, Galicji i Litwy. W odnowionym akcie przeczytać można było m.in.: „unię łączącą wszystkie ziemie Polski, Litwy i Rusi ponawiamy na zasadach zupełnego równouprawnienia trzech połączonych narodów i wszelkich wyznań, łącząc się w najściślejszy związek do pracy nad wydzwignięciem wspólnej Ojczyzny naszej z dzisiejszego jej upadku aż do uzyskania zupełnej niepodległości. Przy pomocy Bożej liczymy głównie na własne siły; nie chcąc jednak zaniedbać żadnego źródła godziwego, mającego ula-



Grób Korzeniowskiego na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie

warunkach mógłby z powodzeniem zostać cenionym naukowcem.

W roku 1865 Apollo Korzeniowski został ciężko doświadczony śmiercią ukochanej żony, co z kolei przyczyniło do osłabienia się i jego – od zawsze wątłego zdrowia. W tym czasie chorował jednocześnie na gruźlicę i chorobę serca. Wkrótce wystąpił do władz o pozwolenie wyjazdu i takowe otrzymał.

Ostatnie miesiące

Coraz bardziej schorowany Korzeniowski wyjechał na początku 1868 roku wraz z synem, który do tej pory znajdował się pod opieką wuja Tadeusza, do austriackiej Galicji. Spalony u siebie jako konspirator, liczył na panujące w tym kraju polityczne swobody, których popowsta-

światowej premiery – co prawda w roku 1952, a więc prawie 100 lat po powstaniu – ale zawsze. Dawala się ona łatwo wykorzystać przez komunistyczną ideologię, zmierzającą do zniszczenia etosu szlacheckiego. Była tym bardziej wiarygodna, że napisana przez człowieka z wewnątrz tamtego świata. Powiedzieć trzeba jednak wyraźnie: Korzeniowski nie był pierwszym polskim komunistą, pragnął dać szlachectwu chłopom, nie zaś je likwidować.

Na sam koniec warto podkreślić, iż w Internecie dostępny jest solidny biogram Korzeniowskiego pióra historyka Jerzego Zdrady, a także poświęcony mu artykuł na Wikipedii w kilku wersjach językowych: polskiej, ukraińskiej, niemieckiej, angielskiej i rosyjskiej.

Lwowianki spełniają swe marzenia! Czyli ze Lwowa do Egiptu i Sudanu – przez Warszawę (część I)

16 stycznia 2012 roku absolwentka Średniej Szkoły nr 10 im. św. Marii Magdaleny we Lwowie Anastazja Stupko-Lubczyńska obroniła doktorat w dziedzinie archeologii na Uniwersytecie Warszawskim. W tym samym dniu, 16 stycznia, polonistka tejże szkoły, pani Maria Iwanowa, obchodziła swoje kolejne urodziny.

Historia, którą pragnę przedstawić naszym Czytelnikom rozpoczęła się jednak dużo wcześniej niż półście Nastii do pierwszej klasy lwowskiej „dziesiątki”.

Tak wspomina ten czas Natalia Stupko, matka Anastazji:

„Kiedy trzeba było oddawać Nastię do szkoły, byliśmy z mężem przed niełatwym wyborem. On zdecydowanie był po stronie „dziesiątki”, ja zaś chciałam oddać ją do swojej „czwartej”. Proroczym okazał się głos pani Marii Iwanowej, która powiedziała: *Pani Natalio, proszę oddać dziecko do naszej szkoły, nie pożałuje pani.* Tak też się stało.

Pierwszą nauczycielką Nastii była pani Kornelia Bujnowska, wymagająca i sroga. Położyła dobre podwaliny wychowania i wiedzy w każdym swoim uczniu. Ale fart nie opuścił tej klasy – jej kierownikiem został nauczyciel historii, pan Ryszard Vincenc. To był jego pierwszy rok w szkole, pierwsza klasa, którą się opiekował. Wychowankowie i wychowawca rozumieli się doskonale, zwłaszcza w starszych klasach, bowiem wiekowo dzieliło ich niewiele lat. Ale to nie znaczy, że pan Ryszard nie był nauczycielem wymagającym. Sam posiadał dobrą wiedzę historyczną i potrafił rozkochar w historii niejednego swego ucznia. Uważam, że wybranie archeologii przez Nastię jest poniekąd zasługą jej kierownika klasowego.

Jednak przed archeologią była polonistyka na Uniwersytecie Warszawskim. I tu należy podziękować pani Marii Iwanowej, która cały rok przygotowywała Anastazję do olimpiady polonistycznej. Ogólnie rzecz biorąc, szkoła dała córce dobrą, wszechstronną wiedzę, rozwinęła jej umiejętności, nauczyła rzetelności i odpowiedzialności. Za to jestem jej niezmiernie wdzięczna.”

Z Anastazją Stupko-Lubczyńską umówiliśmy się na rozmowę na Wydziale Polonistyki. Był gorący dzień, więc postanowiłyśmy się schować od upałów wewnątrz polonu. „Tak teraz się określa polonistykę? – uśmiechnęła się Nastia. – Za moich czasów tak się nie mówiło”. Okazało się, że od czasów jej studiów na wydziale zmienił się również sam budynek: została zainstalowana winda (z myślą o niepełnosprawnych studentach) oraz zostało dobudowane trzecie piętro, którego Nastia w ogóle nie знаła. Odbył się również ogólny remont. Słowem – zaszyły zmiany, ale zdecydowanie na lepsze.

Anastazjo, jesteś obecnie archeologiem, miesz-

kas w Warszawie, założyłaś rodzinę. Jak zaczęła się Twoja przygoda ze starożytnym światem?

Ukończyłam Średnią Szkołę nr 10 we Lwowie w 1997 roku. Wzięłam udział w Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego i przygotowywałam materiał o Brunonie Schulzu. Właściwie to nawet nie wiedziałam, co się dzieje, gdy się przejdzie pewien etap w tej Olimpiadzie. Doszłam do etapu finałowego: tutaj w Warszawie pisaliśmy wypracowania, odpowiadaliśmy na pytania i okazało się, że miejsce zajęłam wcale nie jedno z pierwszych. Pamiętam, siedziałam z panią Marią Iwanową i jeszcze jedną koleżanką z klasy w takiej dużej sali i jakaś pani wyszła na

temat siedmiu cudów świata czy wykopalisk, które były prowadzone jeszcze w XIX wieku. Myślę, że duży wpływ na ukształtowanie się tych zainteresowań miały lekcje historii starożytnej, prowadzone przez pana Ryszarda Vincenca, mojego klasowego kierownika i nauczyciela historii. Jednak kiedy nadszedł czas wybierania kierunku studiów, okazało się, że we Lwowie nie ma archeologii. Teraz już podobno jest, ale wtedy nie było w ogóle żadnej: ani śródziemnomorskiej, ani europejskiej, pradziejowej czy jakiegokolwiek innej... A ja raczej nie myślałam o tym, żeby studiować gdzieś poza Lwowem – skoro tam mamy Uniwersytet, to byłam pewna, że tam „wyląduję”. Więc tak sobie tę archeologię

zawsze interesowałam. Wtedy odżyło wszystko z tego nastoletniego okresu, kiedy zaczytywałam się w książkach o piramidach, bo tutaj nagle zaczęły się zajęcia na ten temat, podawano takie szczegółowe różne wiadomości, które ja już znałam, bo już o tym kiedyś czytałam... To było bardzo ciekawe i bardzo łatwo mi to szło (w porównaniu z polonistyką, na której wcale nie było mi łatwo). Okazało się, że jest to coś, co mnie fascynuje i bardzo fajnie się tam odnalazłam, mimo że dwa lata w jednym musiałam zrobić i zdać strasznie dużo egzaminów... To były bardzo przyjemne studia jeszcze z tego powodu, że po każdym roku były wyjazdy na wykopaliska w ramach praktyk.

To było dość... nudne, tak bym powiedziała, choć znam takich, którzy się tym fascynują. Ja z kolei zawsze trafiałam na cmentarzyska, co dla mnie było bardzo ciekawe. Każdy z nas dostawał – nawet ten, kto pierwszy raz był na takich wykopaliskach – swój grób do odkopania. To akurat były popielnicowe groby, co znaczy, że zwłoki palono na stosie, a później zsypany do urny i zakopywano w ziemi, a na powierzchni pozostawiano oznaczenia w postaci jakiegoś większego lub mniejszego kamienia. Była to akurat kultura z epoki brązu i brązowe ozdoby, które były na danym nieboszczyku, czasami nawet nie były spalone, nie były stopione, tylko były sobie w tej urnie w środku, na przykład jakieś bransolety i inne, naprawdę ładne rzeczy.

Ale wyjeżdżałaś również poza Polskę?

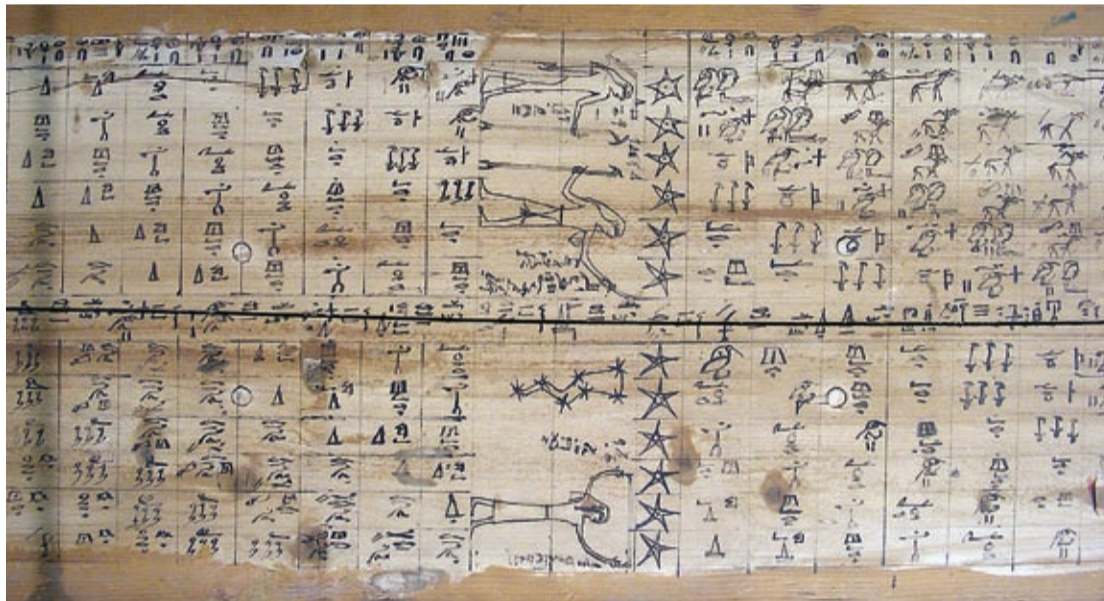
Później, chyba na piątym roku, pojawiła się możliwość wyjazdów do Egiptu. Można było złożyć podanie o stypendium i jeśli się dostało, to można było wyjechać na pięć miesięcy do Kairu. Trzeba było przedstawić projekt, czyli co się chce robić: czy kończyć magisterkę, czy zbierać materiały do innego tematu... Bo w Warszawie – fakt, jest biblioteka w Polskiej Akademii Nauk, dziś dosyć dobrze wyposażona, a wtedy chyba jeszcze tak nie była... Wówczas w takim podaniu o stypendium pisało się, że chce się szukać materiałów, ma się jakiś ciekawy temat i jest on wart tego, żeby takiej osobie przyznać stypendium. Zazwyczaj było tak, że za pierwszym razem się nie dostawało; jeżeli ponawiało się tę prośbę, to znać, że jest się wytrwałym i wtedy dostawało się za drugim, trzecim razem. Ja dostałam za drugim.

Jaki temat zgłosiłaś?

Chciałam się zajmować wierzeniami astronomicznymi i ich odzwierciedleniami w dekoracji egipskich grobowców. Później, kiedy już byłam w Egipcie, okazało się, że ten temat jest za szeroki i zawęziłam go do dekoracji trumien ze Średniego Państwa. (Średnie Państwo to mniej więcej 2000–1900 p.n.e.) Na wewnętrznej części pokryw tych trumien były przedstawiane tzw. „zegary astronomiczne” – takie tabele, w które wpisywano nazwy gwiazd. W zależności od tego, w której godzinie nocy była obserwowana dana gwiazda, jej nazwa przesuwała się w tej tabelce. To jest dość skomplikowana sprawa.

Były rzeźbione?

Malowane. Tabele te składają się z trzydziestu sześciu kolumn. Każda kolumna odpowiada dziesięciu dniom, czyli jest w sumie trzysta sześćdziesiąt dni. W każdej kolumnie jest dwanaście kwadracików, odpowiadających dwunastu godzinom nocy. Pierwsza nazwa zapisana w pierwszej godzinie mówi o tym, że w pierwszej godzinie nocy, czyli tuż po zmroku, zaobserwowano wschód



„Zegar” z Muzeum w Asuanie. Fot. Anastazja Stupko-Lubczyńska

środek sceny i powiedziała: „Będę teraz czytała nazwiska osób, które się zakwalifikowały...” I czy to ja nie usłyszałam do czego, czy to ona nie powiedziała (bo było to oczywiste), ale stwierdziła: „Osoby, które zostaną wyczytane, proszone są później o podejście do mnie i wpisanie się na listę”. I tak czyta, czyta te nazwiska, przeczytała moje i pani Maria Iwanowa mówi: No, to teraz idź tam do niej! A ja mówię: Ale po co? Ona: Dostajesz indeks Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Na co ja: Ale ja przecież wcale nie chcę studiować polonistyki. (*śmieje się*). Okazało się, że tamta pani mówiła, że ci, którzy są zainteresowani dalszymi studiami, muszą się wpisać na listę – była to forma zgłoszenia się.) Stwierdziłam, że nie idę, bo nie chcę podejmować tych studiów, ale pani Maria powiedziała: idź, potem będziesz mogła ewentualnie zrezygnować. (Ja w sumie w ten sposób wtedy nie myślałam). W rezultacie poszłam i się zapisałam. I tak się stało, że w ogóle trafiłam tu, do Warszawy na studia.

Jak więc się stało, że trafiłaś na archeologię?

Kiedyś bardzo chciałam studiować archeologię – bardzo, bardzo. Zatem od nastoletniego okresu zaczytywałam się w różnych książkach

odpuściłam, zapominałam, że w ogóle mnie to kiedykolwiek pasjonowało. Poszłam na polonistykę.

Po drugim roku, kiedy się okazało, że można zacząć studiować równoległe inny kierunek, to stwierdziłam, że może spróbuję? Najpierw starałam się dostać na Historię Sztuki, bo to akurat był okres mojej fascynacji historią sztuki, w dodatku miałam koleżanki z tego kierunku... Jak się okazało – wcale nie było tak łatwo się tam dostać. Była rozmowa kwalifikacyjna, trzeba było naprawdę dobrze się orientować w tematach związanych ze sztuką. Choć przygotowywałam się parę miesięcy do tego egzaminu i choć wydawało mi się, że nie poszło mi jakoś strasznie źle – nie przyjęli mnie. Z opowieści pamiętam, że strasznie rozpaczalam z tego powodu. Stwierdziłam, że w takim razie spróbuję dostać się na jakiś inny kierunek. Na archeologię przyjmowali tylko z wysoką średnią, a ja akurat miałam wtedy taką na polonistyce. Poszłam, złożyłam tam papiery i... zostałam przyjęta.

Okazało się, że muszę zaliczyć program dwóch lat w ciągu jednego roku: pierwszy i drugi. A wtedy obowiązywał taki system, że wybierało się na drugim roku specjalizację. Wybrałam wszystkie zajęcia ze starożytnego Egiptu, bo to Egipsem się

Jak wyglądają takie wyjazdy?

Najpierw się jeździ – a przynajmniej wtedy jeździło – po Polsce, a Uniwersytet Warszawski ma akurat do przebadania Mazury – więc tam są prowadzone wykopaliska, w których siłą roboczą są studenci. Za każdym razem mieszkało się w jakiejś глухой wiosce, spało się na podłodze w jakiejś szkole, takie survivalowe [survival – jak przeżyć – przyp. redakcji] trochę warunki... Takie wyjazdy mocno zbliżają, bo przez miesiąc jest się w tym samym towarzystwie, takie małe społeczności się tworzy ze wszystkimi jego niuansami. Poza tym – chyba też zawsze dobrze trafiałam, bo te wykopaliska były bardzo ciekawe pod względem tego, co kopałam. Chodzi o to, że czasami można było trafić na wykopalisko, które ciebie akurat nie do końca interesowało, np. na stanowisko krzemieniarskie. Wówczas praca wyglądała w ten sposób, że odkrywało się duży obszar, który się potem wyrównywało, czyściło i dokumentowało na zasadzie, że ten krzemień został znaleziony w tym miejscu, pobierało się jego niwelacje, to znaczy na jakiej był on głębokości nad poziomem morza, ile metrów dzieliło go od krawędzi wykopów (od północy, od południa).

danej gwiazdy. W drugiej godzinie, po 60 minutach (czy, w przypadku tamtych zegarów – po około 40 minutach) zaobserwowano wschód następnej gwiazdy. Były to gwiazdy z nieba południowego. Do nich należą na przykład gwiazdy z konstelacji Oriona czy Syriusz. Pozostałe nazwy są przetłumaczalne, układają się w gwiazdozbiory np. hipopotama, lwa, krokodyla, itp., ale nie zostały do tej pory zidentyfikowane z naszymi konstelacjami, które „odziedziczyliśmy” od starożytnych Greków.

W starożytnym Egipcie obserwowano gwiazdy, żeby precyzyjnie przewidzieć wschód Słońca, dlatego że był to bardzo ważny moment pod względem religijnym. Niezwykle istotne było wypełnienie odpowiednich rytuałów w określonym momencie przed wschodem, a przecież w ciągu roku ten moment przesuwa się w czasie. Pomocna w jego wyznaczeniu była właśnie obserwacja gwiazd i najlepszym przykładem tego systemu jest właśnie Orion, który ma mniej więcej tak rozstawione te gwiazdy, że wschodzą one po sobie w odstępie godziny. Jak już wszędzie cały Orion (jest on bardzo charakterystycznym gwiazdozbiorem), to godzinę po nim wschodzi Syriusz, najjaśniejsza gwiazda konstelacji Wielkiego Psa. W egipskiej mitologii Orion jest Ozyrysem, a Syriusz – Izydą, jego żoną, która idzie za nim. W ikonografii Orion przedstawiany jest jako mężczyzna, który idzie do przodu, ale ogląda się za siebie, na Syriusza-Izydę. Czasami w tekstach grobowych, w których z Syriuszem zidentyfikowany jest zmarły, powiedziane jest: „Orionie, odwróć swą głowę, żebyś mógł zobaczyć tego (tu podaje się imię zmarłego) w niebie południowym”...

W każdym razie, obserwacja wschodu Oriona i Syriusza przed wschodem słońca posłużyła do wy-

pracowania systemu, który dał początek „zegarom gwiazdowym” malowanym na wiekach sarkofagów. Pisałam o tych zegarach, bo jest to o tyle fajne, że taki sarkofag – jako całość – powinien symbolizować wszechświat, jak gdyby ciało zmarłego włożone do środka stawało się znów jego częścią. Dlatego właśnie dno sarkofagu symbolizuje krainę podziemną, a wieko – jest niebem. Czyli to, co jest przedstawione na tym wieku, ten „zegar”, jest takim *perpetuum mobile*, bo nazwy gwiazd, które się przesuwają w tej tabeli, odzwierciedlają też ruch sfer niebieskich. Każdą gwiazdę widać coraz wcześniej w nocy, po każdych dziesięciu dniach widać ją o godzinę wcześniej. Właśnie ta informacja jest zapisana w tabeli „zegara” – w postaci diagramu są przedstawione obserwacje związane z poruszaniem się Ziemi wokół Słońca. Jest to być może nieco skomplikowane do wyjaśnienia w dwu słowach, ale nad tym właśnie pracowałam w Kairze.

Czyli przede wszystkim pracowałaś nad „zegarami”?

Tak, ale była to tylko jedna z wielu rzeczy, które można było robić, gdyż są tam rzeczywiście bardzo dobre biblioteki, jak np. w Polskim Centrum Archeologii, do którego my, wszyscy stypendyści łącznie ze mną, byliśmy przypisani. Jest jeszcze centrum Francuskie, Niemieckie i Amerykańskie – i one wszystkie mają bardzo dobre księgozbiory egiptologiczne. Poza tym zwiedzało się wszystkie okoliczne zabytki, były również dłuższe wyjazdy. Można było postarać się o to, by wyjechać na wykopaliska, popracować w różnych polskich misjach.

Czym właściwie są misje?

Misją archeologiczną nazywamy zespół ludzi pracujących na danym stanowisku, może to być np. cmenta-

rzysko, świątynia, osada itp. Polskich misji na Bliskim Wschodzie i w Afryce jest naprawdę sporo – oprócz Egiptu, gdzie ich jest najwięcej, Polacy pracują w Sudanie, Syrii, na Cyprze, w Izraelu. Koordynuje te wykopaliska, a także zapewnia bazę logistyczno-finansową Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego – jednostka stworzona przez prof. Kazimierza Michałowskiego. Trzeba podkreślić, że ten człowiek, uważany za twórcę polskiej szkoły archeologii śródziemnomorskiej, studiował we Lwowie na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. W swoim czasie był bardzo znany w Polsce. W latach 60. chyba każdy kojarzył to nazwisko, bo budowano wtedy tamę asuańską na Nilu, a budowie towarzyszyły zakrojone na szeroką skalę prace wykopaliskowe, w których Polacy – pod kierunkiem Michałowskiego właśnie – brali udział. M.in. wtedy odkryto słynne (teraz) freski w Faras (północny Sudan), z których część trafiła do Muzeum Narodowego w Warszawie. W trakcie budowy tamy przenoszono też część świątyni egipskich, które znajdowały się na terenie przeznaczonym do zalania przez wody powstałego w wyniku budowy tamy jeziora. Przenoszenie świątyni (m.in. słynnej świątyni Ramzesa II w Abu Simbel) to była duża akcja UNESCO, której przewodniczącym – znowu – był Kazimierz Michałowski. On był też twórcą i pierwszym opiekunem galerii starożytnej Muzeum Narodowego w Warszawie. Można dodać: młode pokolenie polskich archeologów śródziemnomorskich – do którego ja się zaliczam – to uczniowie uczniów Michałowskiego.

z Anastazją Stupko-Lubczyńską rozmawiała Elżbieta Lewak.

(cdn.)

Postawiono pomnik kozie

We wsi Żuraki, w rejonie bohorodczańskim, w jednym z tamszych sanatoriów odsłonięto pomnik... kozy.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

„Jest to legendarne stworzenie, – opowiada właściciel sanatorium. – Istnieje na ten temat pewna opowieść. Miało to być w roku 1855, gdy cesarz Franciszek Józef I objeżdżał swe tereny z cesarzową Sisi i małutką księżniczką Zofią. Gdzieś pomiędzy Kołomyją i Stanisławowem kawalkada cesarska stanęła, aby nacieszyć wzrok wspaniałą panoramą Karpat. Tu młodszy brat cesarza Karol Ludwik (ojciec późniejszego księcia Franciszka Ferdynanda, który został zamordowany w Sarajewie, co doprowadziło do I wojny światowej), zauważył opodal dorodne śliwki na drzewie. „Sisi spójrz, jakie wspaniałe śliwki,” – zawołał do księżnej. Ta spojrziała na drzewo, potem na męża. Tu cesarz zrozumiał, że zaraz musi nazrywać dla żony koszyk dojrziałych, fioletowych owoców. Jednak w żadnym powozie nie było drabiny. Kamerdynerzy biegali wokół drzewa, trzęsli je, ale na nic to się zdało. Cesarzowa była niepokojona.

Aż raptem na drodze pojawiła się żydowska furmanka. To że Stanisławowa jechał do Kołomyi Żyd Janosz Lejba z żoną Darcją. Mieli już dziecięcioro dzieci, a Darcja spodziewała się kolejnego potomka. Jechali do



Kołomyi do ojca Darci, zamożnego chłopca. Powodem były ceny „usług” powituch (babek-polożnych), które były tam dwa razy niższe niż w Stanisławowie. Wieźli też ze sobą kozę, którą kupili w Stanisławowie. Oprócz mleka matki noworodkowi potrzeba przecież innego pożywnego mleka. Zobaczywszy całe zamieszanie, Lejba w ot zrozumiał o co chodzi. Z wozu zjął drabinę i zostawiwszy rodzinę, wóz i kozę, wlaźł na drzewo. Już po chwili cesarzowa zachwycała się smakiem dojrziałych owoców. Sprytny Żyd spojrział na kobietę i pożyczyl jej dalszego powiększenia rodziny. I faktycznie w niedlu-

gim czasie po tej przygodzie księżna zaszła w ciążę.

Lejba i jego potomkowie z wdzięczności dostali na własność od cesarza ten malowniczy pagórek i jeszcze szczodry monarcha dorzucił 100 cekinów. Wzbogaciwszy się w taki sposób Lejba wyjechał do Wiednia i tam otworzył aptekę. Mimo, że był bogatym człowiekiem nie zapomniał i o kozie, która nadal była karmicielką rodziny, nawet w Wiedniu”.

Pomnik kozy odlany został we Lwowie i ustawiono go w Żurakach – opodal tego malowniczego wzgórza, gdzie ponoć miała miejsce przygoda rodziny cesarskiej.

Kącik barona Współczesny SAVOIR-VIVRE dla każdego

Drogi Czytelniku!

Nazywam się Leszek Leopold Kazimierski i specjalnie dla Ciebie przygotowałem krótki poradnik na temat *savoir-vivre* i etykiety we współczesnym świecie. We współczesnym, a więc również w Internecie. Dlatego właśnie zdecydowałem się na taką formę publikacji.

Jeśli po lekturze moich porad nasuną Ci się jakieś spostrzeżenia lub inne pytania, których nie ująłem w moim opracowaniu, bardzo proszę, byś się ze mną nimi podzielił. Z pewnością pomoże mi to i uwzględnię je w kolejnych edycjach mojego poradnika *współczesnego savoir-vivre*.



*Z poważaniem
Leszek L. b.o.B. Kazimierski*

Jak Cię widzą, tak cię piszą

W dzisiejszych czasach daje się zauważyć tendencję do upraszczania form nazywanych ogólnie dobrymi obyczajami, czy też *savoir-vivre*. Dotyczy to także ubioru. Nie mniej jednak, pewne żelazne kanony pozostały niezmiennie, pomimo upływu lat. Ubiór staranny, dopasowany do pory, miejsca i okoliczności świadczy o zamilowaniu do porządku i piękna. Zapewnia, poza tym, dobre samopoczucie i jest zewnętrzną oznaką szacunku do innych i do siebie samego.

Aby tego dokonać należy pamiętać o kilku wskazówkach:

- wszystkie części ubioru powinny być bezwzględnie zawsze czyste i znajdować się w należytych (czyli idealnym) porządku;
- dobierając konkretny strój należy koniecznie brać pod uwagę figurę, wzrost, karnację, kolor oczu i włosów, wiek;
- nie nosimy ubrań wyłącznie nie ze względu na to, że są modne, gdyż nie wszystkim pasuje to, co aktualnie jest najmodniejsze (np. „biodrówki”, gole pępki itp.);
- nawet najlepsze i najdroższe ubrania mogą ośmieszyć noszącą je osobę zamiast ozdobić, jeśli nie są noszone we właściwym czasie i miejscu.

Jakie najczęstsze uchybienia u kobiet dają się zauważyć? Jaskrawy makijaż, zbyt duża ilość ozdób, przesadnie duże dekolty i zbyt krótkie spódniczki są dobre na dyskotekę dla nastolatków, natomiast na oficjalne wyjścia (np. do pracy, na rozmowę kwalifikacyjną) wymagany jest strój wygodny, skromny, nie krzykliwy, dopasowany do panującej atmosfery.

Starannie utrzymane dłonie podkreślają, a czasem i podnoszą estetyczny wygląd kobiety. Czasem jednak kobiece palce przypominają choinkę, ozdobione przesadną ilością pierścionków. Niestosownie w miejscu oficjalnym wyglądają też zbyt długie szpony, pomalowane na różne odblaskowe i krzykliwe kolory. Do pracy, czy na rozmowę kwalifikacyjną paznokcie nie powinny być zbyt długie, a lakier na nich nie powinien być zbyt rzucający się w oczy.

Generalnie rzecz ujmując, powinniśmy w tym miejscu dokonać podziału na ubrania do pracy i stroje nieformalne. Te pierwsze powinny być tradycyjne i dyskretne, co nie musi oznaczać nieciekawie. Ubrania nieformalne mają prawo być bardziej śmiałe i kolorowe, ale i w tym przypadku należy mieć umiar. Nie wolno też zapominać o dodatkach, takich jak torebki, chusty, szale, paski i inne akcesoria, które powinny pasować do siebie nawzajem i do zakładanej wraz z nimi garderoby i to nie tylko kolorystycznie, ale i pod względem kroju i materiału, z którego są sporządzone poszczególne elementy.

Przyjęcie koktajlowe czy też bankiet służbowy nie wymagają od kobiety specjalnie wyrafinowanego stroju. Każda sukienka (kostium) modna, dostosowana do sezonu i do osoby ją noszącej w zupełności się do tego nadaje. Na przyjęcia popołudniowe powinno się wkładać ubranie wizytowe lub spacerowe. Tego typu ubranie jest też ostatnio dopuszczalne do chodzenia do teatru. Okropnie wyglądają bowiem w teatrze widzowie siedzący w ponaciąganych swetrach, czy džinsach. Jest to ewidentne uchybienie i nietakt, który można odebrać jako brak szacunku dla siebie, innych widzów i aktorów.

Na bal bezwzględnie należy się ubrać bardzo elegancko, czyli wieczorowo. Na balach powinny królować męskie wieczorowe garnitury, surduty, smokingi i fraki, a kobiece długie eleganckie suknie. Wieczorny makijaż może być nieco bardziej wyraźny od dziennego. Koniecznie należy pamiętać o właściwym doborze dodatków (buty, rękawiczki, torebki, szale itp.).

Strój dobrze ubranego człowieka charakteryzuje się umiarem, dopasowaniem do typu urody, figury i wieku. Niezwykle ważne jest też zharmonizowanie wszystkich elementów stroju. Pamiętajmy, że umiejętność dobrego ubrania się jest prawdziwą sztuką. To nie strój jest tak naprawdę elegancki, tylko człowiek, który go nosi.

(cdn.)

Początki floty podwodnej

„H. L. Hunley”, okręt podwodny użyty przez Skonfederowane Stany Ameryki podczas wojny secesyjnej, był jednym z pierwszych okrętów podwodnych i pierwszym, który zatopił okręt wojenny w czasie działań bojowych.



KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
ilustracje: <http://www.hunley.org>

Budowa

W roku 1863, podczas wojny secesyjnej, z prywatnych funduszy przedsiębiorców Horacego L. Hunleya, Jamesa McClintocka i Baxtera Watsona rozpoczęto budowę okrętu podwodnego w Składzie Artykułów Żelaznych Park&Lyons w Mobile w stanie Alabama. Zbudowanie tej jednostki było możliwe dzięki wsparciu organizacji konfederackich inżynierów w Mobile oraz konfederackich służb specjalnych (Confederate Secret Service) kierowanych przez Edwarda Clarka Singera. Budową okrętu kierował James McClintock wraz z por. Williamem Alexandrem.



Szkic przekrojowy okrętu podwodnego „H. L. Hunley”

potrzeby nadania jednostce większej mobilności. W „H. L. Hunley” zastosowano ręczny napęd trójłopatowej śruby, wokół której znajdowała się pierścieniowa osłona. Śrubę wprawiano w ruch za pośrednictwem przekładni, przy wykorzystaniu wału korbowego biegnącego wzdłuż okrętu. Wał był obracany ręcznie przez siedem osób siedzących na podłużnej ławce wzdłuż prawej burty, dzięki czemu okręt mógł uzyskać prędkość około 2,5 węzłów. Ósmy funkcyjny pomagał korbaczom oraz kontrolował pracę urządzeń znajdujących się w rufie. Natomiast dziewiąty funkcyjny był zarazem kapitanem okrętu i jego sternikiem.

Okręt miał dwa włazy oraz system przewodów do wymiany powietrza. Na dziobie i rufie okrętu znajdowały się zbiorniki balastowe, napeł-

niane wodą i opróżniane za pomocą zaworów i ręcznych pomp, w celu zanurzenia i wynurzenia okrętu. Jako dodatkowy balast, okręt miał żelazne obciążniki, przymocowane do dna śrubami, które w razie konieczności mogły być odkręcone z wnętrza okrętu w celu ułatwienia awaryjnego wynurzenia.

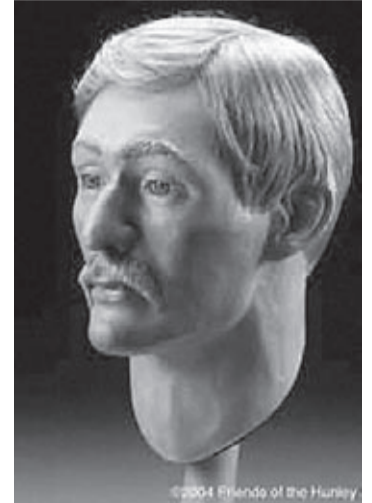
Próby

Okręt opuścił stocznice w Mobile wiosną 1863. W czasie pierwszych prób okazało się, że konstrukcja nie należy do bezpiecznych. Bardzo często zawodził np. system umożliwiający zanurzenie. Ponadto ciągle istniało niebezpieczeństwo, że okręt utknie w mule i w związku z tym nie będzie w stanie odbić się od dna i wynurzyć

Działania bojowe

14 grudnia 1863 gen. Pierre G. T. Beauregard, dowódca obrony Charleston, wydał następujący rozkaz: Porucznik George E. Dixon z 21 Regimentu Ochotników Alabamy obejmie dowództwo i poprowadzi okręt podwodny „H. L. Hunley” do wyjścia z portu bądź też tak daleko, jak tylko okaże się to możliwe, i zatopi każdą napotkaną jednostkę wroga. Wszyscy oficerowie Armii Konfederackiej są zobowiązani, a oficerowie Floty proszeni o udzielenie por. Dixonowi wszelkiej niezbędnej pomocy w realizacji jego zadań.

Ostatecznie, po skompletowaniu nowej załogi, której wszyscy członkowie zgłosili się na ochotnika, minęły jeszcze dwa miesiące, nim doszło do realizacji tego zadania bojowego. 17 lutego 1864 „H. L. Hunley” pod dowództwem por. George’a E. Dixona wyszedł z portu po zapadnięciu

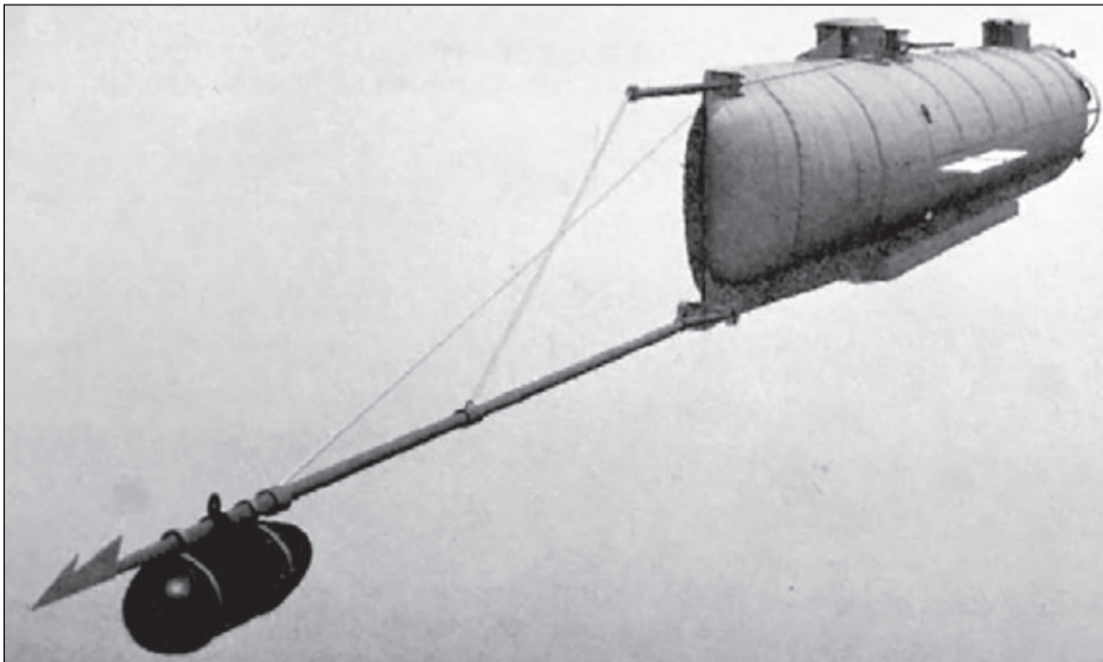


Por. George E. Dixon. Rekonstrukcja na podstawie czaszki

z całą załogą – przyczyną jego zatonięcia nie są na razie w pełni wyjaśnione (być może na skutek uszkodzeń doznanych przy wybuchu lub na skutek ostrzału).

Okręt Hunleya stał się znany z dwóch względów:

po pierwsze – był okrętem feralnym (nazywano go „pływającą trumną”), gdyż zatonął trzykrotnie (choć nie z powodu wad konstrukcyjnych). Łącznie zginęły na nim 22 osoby, tzn. prawie trzy załogi (jedna załoga



Zasada działań bojowych

Początkowo okręt ten nazywano Fish Boat lub Fish Torpedo Boat, lecz ostatecznie nadano mu imię H. L. Hunley. Formalnie nie przysługiwał mu skrót CSS przed nazwą, gdyż okręt ten nie został oficjalnie wcielony do marynarki wojennej Skonfederowanych Stanów Ameryki.

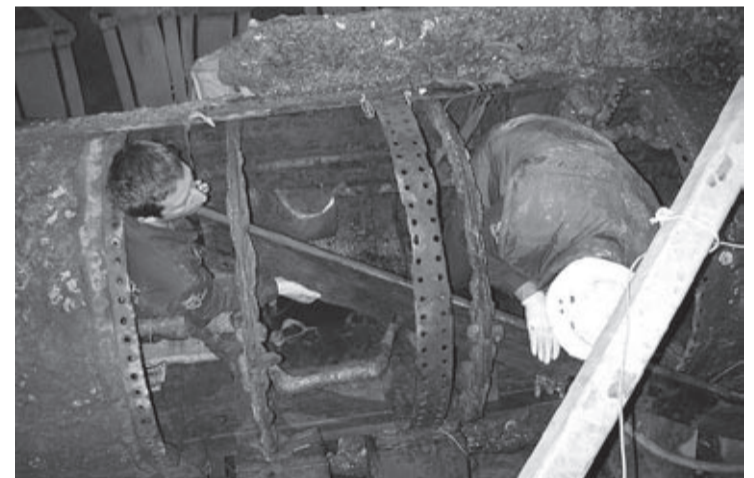
Aby skrócić czas budowy okrętu, wykorzystano kocioł lokomotywy, który został przecięty na pół. Między te połowy wstawiono pas stalowy szerokości 30,5 cm. Po zamontowaniu części dziobowej i rufowej oraz śruby z osłoną, długość jednostki – według danych Jamesa McClintocka – wynosiła 12,19 m (12,01 m – według badań archeologicznych), szerokość – 1,07 m (1,17 m – według badań archeologicznych), zanurzenie zaś – 1,22 m.

Wnętrze okrętu mogło pomieścić 9 członków załogi, choć warunki ich pracy na pokładzie były prymitywne. Taka liczebność załogi wynikała z

niezgodności z warunkami, w jakich miały działać. Do oświetlenia wnętrza używano jednej świecy, która miała palić się 20–25 minut. Gdy płomień świecy zaczynał migotać z powodu braku tlenu, należało przystąpić do wynurzenia okrętu w celu wymiany powietrza. Okręt miał też składane rury do czerpania powietrza pod wodą (chrapy), lecz według źródeł, nie działały one właściwie. Do ustalenia głębokości zanurzenia wykorzystywano barometr ręczny, a do wyznaczania kursu – kompas. Uzbrojenie jednostki stanowiła mina wytykowa umieszczona na 5-metrowym wysięgniku na dziobie okrętu i zaopatrzona w har-

się. 31 lipca 1863 przeprowadzono ostateczne próby z okrętem na rzece Mobile. Obserwowali je konstruktorzy, inwestorzy oraz dowódca Konfederackiej Marynarki Wojennej, admirał Franklin Buchanan. Ponieważ próby zakończyły się wynikiem pozytywnym (np. w teście wytrzymałościowym „H. L. Hunley” osiadł na dnie, załoga zaś przeżywała w nim przez 2 h 35 min bez wypływania na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza), zdecydowano użyć okrętu w działaniach bojowych przeciwko flocie Unii blokującej port Charleston.

Podczas prób okręt jednakże dwukrotnie zatonął z powodu błędów załóg. Za drugim razem, 15 października 1863 śmierć poniósł dowodzący nim budowniczy Horace L. Hunley. Okręt został następnie podniesiony z dna i z nową załogą wyruszył do walki z flotą Unii, pod nazwą „H. L. Hunley” na cześć konstruktora.



Wrak „H. L. Hunley” został odnaleziony przez Amerykanów po 136 latach. Po skomplikowanej konserwacji znajduje się w muzeum

ciemności i przy spokojnym morzu, kierując się w stronę wykrytego okrętu Unii – słuza USS „Housatonic”.

O 20:45 idąca w położeniu nawodnym jednostka została wykryta przez Johna Crosby, pełniącego wachtę na słupie stojącym na kotwicy około 2,5 mil morskiej od zagród zamkających wejście do portu. Mimo iż nie zidentyfikowano podejrzanej jednostki, ogłoszono alarm i podniesiono kotwicę. USS „Housatonic”, nabierając prędkości, skierował się w kierunku okrętu podwodnego. Ten jednak zdołał uderzyć w burzę „Housatonic” i przyczepić minę, po czym przystąpił do zanurzenia, ostrzeliwany z broni ręcznej. Wybuch ładunku przełamał „Housatonic” na dwie części, które w ciągu około 5 minut zatonały. Zginęło jednak jedynie dwóch oficerów i trzech marynarzy załogi: kpt. John Williams, chor. Edward Hazeltine, Charles Muzzey, John Welsh i Theodore Parker.

Jednakże, po zatopieniu „Housatonic”, zatonął również „Hunley”

liczyła bowiem 9 osób). Uratowało się tylko 4 marynarzy, w tym pierwszy dowódca okrętu – por. John A. Payne. W drugiej katastrofie 15 października 1863 śmierć poniósł Horace L. Hunley i 7 członków załogi;

po drugie – „H. L. Hunley” był pierwszym okrętem podwodnym, który wykonał udany atak i zatopił okręt nieprzyjaciela 17 lutego 1864.

Wrak okrętu został znaleziony przypadkiem, gdy w 1995 roku po kolejnym sztormie masy piasku, przykrywającego metalowy cylinder przemieściły się na tyle, że by odsłonić jedną z kopulek i część samej łodzi. Wrak wydobyto dopiero po odpowiednich przygotowaniach w 2000 roku. 17 kwietnia 2004 odbył się uroczysty pogrzeb ośmiu członków załogi, których ciała zostały wydobyte z wraku po 136 latach. W ceremonii mającej miejsce w Charleston brały udział tysiące ludzi z całego USA, wielu z nich ubranych w mundury i stroje z czasów wojny secesyjnej.

Bezgraniczny cynizm władzy

Kilka dni temu zajrzałem do dyskusji pod moim artykułem, zamieszczonym na portalu zaxid.net, „Nie damy przepisać historii!”. Artykuł od dawna już przeniesiony został do archiwum, jednak, jak na ironię, dyskusja pod nim trwała nadal. Liczba komentarzy przekroczyła 800, a zamarła po pojawieniu się komentarza internauty o nicku „Wolyn Vlad”. I tu się zatrzymamy.

WASYL RASEWYCZ tekst
ilustracje www.shimerli.livejournal.com

Nie wiem czy jest to oryginalny tekst autora, czy znaleziony gdzieś w niezmiernych przestrzeniach Internetu, ale jest bardzo trafną kontynuacją też Pawła Czowczyńskiego, który w swoim artykule „Fantomowe historyczne bóle” napisał: „Wypowiedzi polityków (niezależnie od narodowości) nad masowymi grobami niewinnych ofiar typu: „boli mnie” jest niczym więcej niż szczytem cynizmu. Podobnie jak stała gloryfikacja przez sowiecką i współczesną rosyjską propagandę heroizmu radzieckich żołnierzy i pozornej pamięci o ich czynach. (...) Nie wierzę w szczerą ludzką emocję, gdy od jednej do kolejnej parady zwycięstwa na Placu Czerwonym „rośnie się” w randze z podporucznika do generała porucznika, a im dalej od tych tragicznych wydarzeń, tym więcej dekoracji pojawia się na mundurach pseudo-weteranów”.

Myślę, że poniższy wpis lepiej ujawni cyniczny charakter władzy w historycznych manipulacjach.

Gdzie podzieli się weterani-inwalidzi? Ku refleksji dla miłośników szumnych obchodów

W badaniach statystycznych „Rosja i ZSRR w wojnach XX wieku. Straty Sił Zbrojnych” zaznaczono, że podczas wojny zdemobilizowano z powodu ran, choroby i wieku 3 798 200 ludzi, z nich 2 576 000 inwalidów. A wśród nich 450.000 po amputacji kończyn.

Starsi czytelnicy – dużo starsi, prawie dinozaury – jeżeli poszukają w pamięci, wspomną, że pod koniec lat 40. na ulicach było dużo inwalidów – dziedzictwo ostatniej wojny... Bez rąk, bez nóg, o kulach i protezach, a także na „samorobnych” wózkach – właściwie, trudno to nazwać wóz-



kiem, bo były to po prostu deseczki z kółkami, na których siedział beznogi inwalida i odpychał się od ziemi takimi „popychadkami”. Tak się porusza. Inwalidzi byli krzykliwi, rozdrażnieni, nie zawsze trzeźwi, ale zawsze czysto ubrani... Kto ich osądzi?

Żyło się zwycięzcom ciężko i demonstracyjnie nosili oni na wytartych



marynarkach bojowe odznaczenia. Właściwie nie byli okrasą miasta, ale opieki partii i rządu nad ofiarami wojny nie demonstrowano. A jeszcze śpiewali, żebrali na bazarach i w wagonach. Mogło to wywołać jakieś niezdrowe myśli o niewdzięczności narodu radzieckiego wobec swych obrońców – jeżeli ktoś się nad tym zastanawiał. Najważniejsze, że niczego i nikogo nie obawiali się...

Były ich tysiące – ofiar tej strasznej wojny, młodych chłopców, okaleczonych, którzy stali się tułowiami bez przyszłości. Takie pozostałości są po każdej wronie, cóż dopiero po II światowej.

I nagle zniknęli.

Zabrano ich w ciągu jednej nocy, załadowano do wagonów i wywieziono do „internatów typu zamkniętego o obostrzonym rygorze”. Potajemnie, w nocy – żeby nie było głośno. Na siłę – niektórzy rzucali się na tory, ale gdzie im do młodych i zdrowych? Wywieźli, aby nie „psuli” widoku

miast i wsi. Żeby nie przypominali o długu wobec nich, bo to przecież oni uratowali nas wszystkich.

...„zebrzący, odmawiają przyjęcia skierowania do domów inwalidów... samowolnie uciekają i nadal żebrzą. Proponuję przekształcić domy inwalidów i starców na domy zamknięte o obostrzonym rygorze” – dokument nr 06778 – wypowiedź ministra MWD (ministerstwa spraw wewnętrznych – red.) Krugłowa 20 lutego 1954 roku.

Według zamysłu „dobroczyńców” przesiedleniu do internatów podlegali tylko samotni, ale nikt nie sprawdzał – brali wszystkich pod rząd, a ci, którzy mieli rodziny, nie mogli nawet dać im znać! Zabrano im dowody, książeczki wojskowe. Zniknęli i już.

Tam oni i żyli – jeżeli to można było nazwać życiem. Najpewniej, istnieli w jakiejś Aidzie, po drugiej stronie Styksu czy Lety – rzek zapomnienia. Byli tam weterani bitwy pod Stalingradem, pochowani za życia piloci i czolگیści... znów i znów idący w bój, w piekło ognia – za nas. Jako nagrodę dostali medale i internat typu więziennego, skąd nie było wyjścia. A przecież byli to młodzi chłopcy, którzy chcieli żyć!

Właściwie w tych internatach byli oni więźniami. Stamtąd nie można było wyjechać. Taki internat istniał, na przykład, na wyspie Walaam.

Internatami kierowało MWD. Zrozumiałe, co to było za życie. Nawet te skromne środki przeznaczone na ich utrzymanie były rozkradane prawie całkowicie. Schowano ich z oczu jak najdalej.

...Kategorycznie zakazywano nie tylko kogoś tam prowadzić, ale

nawet pokazywać drogę. Za to można było zostać wyrzuconym z pracy i być wzywaniem przez KGB. Ale jednak ktoś tam się prześlizgiwał i chodził tam. Rozumie się, że pojedynczo lub w grupach po 3–4 osoby.

Trzeba było widzieć twarze tych ludzi i ich szok od tego, co zobaczyli. Szczególnie strasznie było spotkać kobiety, które straciły mężów na wojnie, szczególnie gdy nie dostały „pogrzebowego”, a wiadomość, że „przepadł bez wieści”. Niektóre urządziły prawdziwe pielgrzymki do takich miejsc w poszukiwaniu swoich mężów, synów, braci” – pisał Jewgienij Kuzniecowa w „Walaamskim zeszytach”.

Bezręczni i beznogich wynosili czasem na dwór i podwieszali na drzewach – to był spacer. Zdarzało się, że zapominano zabrać ich na noc i oni zamarzali.

„Nie zważając, że pierwsze transporty przyjechały tu jeszcze w 1950, prąd podciągnięto dopiero w 1952. Nie było światła, nie opalano pomieszczeń i większość z nich zmarła właśnie w ciągu dwóch pierwszych lat. W lecie „samowary” i „walizy” (tak nazywano inwalidów bez rąk i bez nóg) na dzień zawieszano, nieraz po dwoje, w koszach na drzewach. Bywały przypadki, że na noc zapomniano ich zdejmować..., a noce w Karelii nawet w lecie są bardzo zimne”. („Zapomniani powieszeni”, Arkadij Bejnenson). Co odczuwali w duszy ci młodzi chłopcy, zwycięzcy nad faszyzmem, którym ojczyzna odwdzięczyła się w taki sposób? Czy nie żałował każdy z nich wiele razy, że nie zginął w walce?

A gdy umierali – od ran wojennych, czy tęsknoty, nawet ich grzebano bez mogił. Nie ma mogił i nie ma imienia. Po prostu szli w ziemię. O Walaamie chociaż jeszcze coś wiadomo, są portrety, wspomnienia, ale były i inne internaty, po których nie pozostało śladu.

Czy wspominają ich, przewiązani taśmami św. Grzegorza, „patrioci” w czasie krzykliwego świętowania Dnia Zwycięstwa?

Niedawno słyszałem (nie wiem na ile jest to prawdą), że panuje zdanie, że wszystkich starszych ludzi, emerytów należy wywieść „na przyrodę”. Do specjalnych pensjonatów, bo w miastach jest im trudno żyć, głośno i duszno, a „na przyrodzie” będzie im dobrze. A ile mieszkają się zwolnić!

Nietrudno zrozumieć, że ta świątlna idea jest tak samo ludobójcza, jak wywiezienie weteranów na Walaam do obozu. Nikt nie będzie pytał o ich zdanie. A jak już będą się tam nimi opiekować – to wiadomo. Wystarczy wspomnieć kilka skandalów w domach starców w Jammie i w drugich zagubionych miejscowościach, gdzie starszków dosłownie sprowadzano ze świata. Trzeba jednak mieć nadzieję, że ta idea nie zostanie urzeczywistniona.



Ale... jeżeli się zastanowić, to ci dzisiejsi starszankowie, których „ojcowie miast” chcieliby „sprzątnąć” z deficytowej powierzchni mieszkalnej – oni pod koniec lat 40. i początku 50. byli w rozkwicie młodości. To oni wywozili weteranów-„samowary” na Walaam. A kto nie wywoził – ten milczał i nie pytał: gdzie się podzieli? Nie interesowali się, nie protestowali, zwolniono miasto od natrętnych i nieprzyjemnych inwalidów – i dobrze. Ale przyszła i na nich kolej. A na co czekali?

„Czytelniku! Drogi mój czytelniku! Czy jesteśmy w stanie zrozumieć bezmiar rozpacz i nieutulonego żalu w momencie, gdy zstąpili na tę ziemię. W więzieniu, w najgorszym łagrze gulagu zawsze więzień ma cząstkę nadziei, że stąd wyjdzie, zdobędzie wolność i inne, nie tak gorzkie życie. Stąd nie było wyjścia. Stąd było wyjście tylko w mogiłę, jak skazańca na śmierć. Proszę sobie wyobrazić, jakie życie toczyło się w tych ścianach.

Widziałem to z bliska przez wiele lat. Ale opisać trudno. Szczególnie, gdy przed oczyma przepływają ich twarze, oczy ręce, trudne do opisu uśmiechy, uśmiechy istot jakby na wieki winnych i proszących o przebaczenie. Nie, tego nie można opisać. Niemożliwe, chyba jeszcze dlatego, że na samo wspomnienie staje serce, zapiera dech, a myśli płaczą się w kłębek bólu! Przebaczenie...” („Walaamski zeszyt”, Jewgienij Kuzniecowa).

Wolyn Vlad (Ukraina, Lwów)

Prawdziwa poezja żyje wiecznie

Przed 14 laty zmarł wybitny polski poeta Zbigniew Herbert. Nasz krajan, urodzony we Lwowie i ochrzczony w kościele św. Antoniego. Zmarł w Warszawie i tam został pochowany. We Lwowie pamiętają o nim i cenią bardzo wysoko jego poezję, jego osiągnięcia literackie, jego nieugiętą postawę do prawa na własną twórczość, na własne myślenie, na niezależność od reżimu komunistycznego.

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Jego myśli i pozycja obywatelska są bliskie naszemu pokoleniu, zarówno Polaków, jak i Ukraińców, którzy obecnie żyją w innej rzeczywistości. Dlatego było bardzo miło, że z inicjatywą organizacji literackiego spotkania, poświęconego twórczości Zbigniewa Herberta wystąpiło lwowskie ukraińskie wydawnictwo „Kamieniar” i jego dyrektor Dmytro Sapiha.

Wydawnictwo to od lat interesuje się dorobkiem Zbigniewa Herberta. Wydane zostały już dwa tomy jego wierszy w przekładzie na język ukraiński. Są to wspólne polsko-ukraińskie projekty. W ramach tych projektów odbyła się też kompozycja słowno-muzyczna, oparta na twórczości poety. W koncercie udział wzięli: Tatiana Pawelko, aktorka ukraińskiego Teatru Dramatycznego im. Marii Żańkowieckiej, Wiktor Lafarowicz, aktor Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie i duet muzyczny na gitarę i skrzypce.

Spotkanie miało miejsce w bibliotece w kamienicy nr 9 przy Rynku, w dawnych salach rezydencji arcybiskupów łacińskich we Lwowie. Brzmi cicha, nastrojowa, nostalgiczna muzyka. Dźwięki przypominają, że nie z własnej woli Herbert wyjechał ze Lwowa, wyjechał na zawsze, że nigdy już nie wrócił do rodzinnej kamienicy przy ul. Łyczakowskiej 55. Melodia przypomina o jego tęsknocie za rodzinnym miastem, za ojczystym krajem. Poeta objechał pół świata, ale nigdy nie zawitał w tak mu drogą stronę, nie zobaczył nigdy więcej znajomych bruków lwowskich ulic, ani rodzinnego grobowca na Cmentarzu Łyczakowskim...

Dalej brzmiały wiersze poety po polsku i w wersji ukraińskiej – o dzieciństwie, o doświadczeniach dorosłego człowieka, o matce, o babci, lwowskiej Ormiance z rodziny Bałabanów..., o piecu kaflowym w przytulnym lwowskim mieszkaniu, o papierze i tajemnicach wszechświata...

Dyrektor wydawnictwa „Kamieniar” Dmytro Sapiha zwrócił się do zebranych: „Czternaście lat temu nad Warszawą szalała burza. Wśród grzmotów i piorunów odszedł na zawsze w dalekie zaświaty poeta Zbigniew Herbert, wielki Europejczyk, wielki Polak, wielki Lwowiak. Ale on nadal rozmawia z nami ze stron swoich książek i nie tylko po polsku, lecz po ukraińsku, angielsku, japońsku. Herbert żył i tworzył w trudnych czasach, w czasach, gdy panował terror, lała się krew i zabijano ludzi. Na całe życie została mu nostalgia za lwowskim domem, ukochanym miastem, rodzinnym grobowcem. Trudno mu było to wszystko zostawić na zawsze. Były w jego życiu również spotkania pełne nadziei i radości, spotkania z całym światem. Wiele rozumiał z tych lekcji życia i wiele wyraził w swoich



Uczestnicy koncertu muzyczno-poetyckiego poświęconego poezji Zbigniewa Herberta

wierszach. Jego poezja jest bardzo kameralna. Nie był on trubadurem, ale raczej filozofem. Dziś, miasto, którego dla niego nie było na mapie, znów obudziło się do życia i Zbigniew Herbert znów jest obecny we Lwowie, na zawsze.

Już od dziesięciu lat Herbert brzmi też po ukraińsku. W tym projekcie aktywny udział brała też redaktor Bożena Rafalska. Obecnie jego poezja dotarła do Odessy, Charkowa, Kijowa i nawet Sum. Jego poezja nadal pozostaje aktualną, jest ona częścią historii literatury światowej. Herbert potrzebny jest nam, jak wielu innych utalentowanych ludzi”.

Znów muzyka. Naprawdę płaczą skrzypce pod smyczkiem Bohdana Dwornika. Tyle alegorii w poezji



Wiktor Lafarowicz, aktor Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie

Herberta. Na przykład: czapla stoi w wodzie na jednej nodze i patrzy na świat – również na nas. Piękna melodia piosenki „Umówiłem się z nią na dziewiątą...”. Z kim? Z poezją Herberta? Kiedy i gdzie nastąpi to umówione spotkanie?...

Ależ, nie! Spotkanie to właśnie trwa, trwa tu dziś i teraz. Ukraińskie tłumaczenie wierszy Herberta zostało wykonane z wyczuciem, zachowano styl poezji Herberta i nie straciły na tym jego głębokie filozoficzne medytacje. Jest w tym wielka zasługa



Kolejny tomik poezji Herberta w przekładzie na język ukraiński

lwowskiego tłumacza Wiktora Dmytruka. On też był obecny na tym spotkaniu i dołączył się do deklamacji wierszy polskiego poety, a później powiedział: „Cóż można powiedzieć o poecie tej miary co Zbigniew Herbert? Niech sam opowiada o sobie swoimi wierszami. Jest to poeta o wymiarze światowym. Po śmierci Herbert zrobił się jak by bardziej zrozumiałym, a jego postać bardziej monumentalna. Chcieli z niego zrobić proroka lub świętego. Ale on nie był święty – często był zwykłym człowiekiem, trudnym w życiu codziennym, nawet dla swoich bliskich. Miał jasne i ciemne okresy życia, ale zawsze był człowiekiem absolutnie uczciwym, prawdziwym. Nigdy nie kłamał – ani w życiu, ani w poezji. Wielu ludziom nigdy nie wybaczył nieuczciwości, z wieloma był skłócony. Widział i rozumiał co się dzieje z Polską. Nie podobało mu się to, co działo się w latach powojennych. Nie milczał, nie chwalił władzy, nie szukał u tej władzy nagród i pieniędzy.

My, współcześni Lwowiacy, chodzimy tymi samymi ulicami, widzimy te same kamienice. Sam kiedyś przeżyłem taki cud. Oglądałem pocztów-



Tatiana Pawelko, aktorka ukraińskiego Teatru Dramatycznego im. Marii Żańkowieckiej

kę, którą Herbert wysłał wiosną 1944 roku do swego przyjaciela Zdzisława Ruziewiczza i dla mnie było ogromną niespodzianką, że ta kartka była wysłana na adres budynku, gdzie teraz mieszkam, do kamienicy, gdzie się urodziłem. Jaki mały jest ten świat!



Dmytro Sapiha, dyrektor wydawnictwa „Kamieniar”



Wiktor Dmytruk, tłumacz poezji Zbigniewa Herberta

I jak ten świat niszczyliśmy, ten nasz mikrokosmos starego Lwowa. Polski poeta Adam Zagajewski pisał o życiu Herberta i o wielu innych jego rówieśnikach: „Było to życie, w środku którego były dwie okupacje, dwa wojska na ulicach starego Lwowa”. Myślę o lwowskich rówieśnikach Herberta, których zniszczyła ta wojna, tamte dwie okupacje. Z drugiej zaś strony, jestem oczarowany królewską godnością jego poezji. Chciałbym, aby tę godność odczuli wszyscy, którzy czytają książki Herberta”.

Znów cicho brzmi muzyka i wiersze poety, często gorzkie:

„Każdy robi swoje.

Jeden handluje, inny dzieci wychowuje,

a Pan Bóg nas wszystkich powoła do siebie w swoim czasie”.

Życie trwa i słowo żyje. Każde takie spotkanie – to maleńki cud, cud spotkania z prawdziwą poezją. Żał tylko, że na to lipcowe spotkanie przyszło tak mało ludzi. Czy nie było dostatecznej reklamy, czy może zmęczył ludzi niezwykle upał.

Muzyczno-poetycki koncert został przygotowany bardzo starannie i na wysokim poziomie artystycznym. Zasługuje on na prezentację przed znacznie szerszym audytorium, nawet w Polsce. Wielbicieli twórczości Herberta powinni zobaczyć jak cenią i lubią poetę współcześni Lwowiacy – Polacy i Ukraińcy.

Obchody 220-lecia orderu „Virtuti Militari” w Kijowie

W tym roku minęło 220 lat od ustanowienia pierwszego polskiego orderu wojskowego „Virtuti Militari”. Z inicjatywy Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda” i pod patronatem konsulatu generalnego RP w Kijowie uczczono tę datę szeregiem imprez i uroczystości.

WIKTORIA RADIK
prezes KNKSP „Zgoda”
tekst i zdjęcia

Pierwszą imprezą był wieczór tematyczny pt „Virtuti Militari – Polski order cnoty bojowej” Obyła się ona 8 czerwca 2012 r. w pięknej Sali Reprezentacyjnej Narodowego Muzeum Historii Ukrainy. Program spotkania obfitował w wystąpienia (referaty) i urozmaicony zwiedzaniem wystawy i ekspozycji muzeum.

Treściwy i nasycony datami oraz faktami referat pod tytułem „Dzieje historyczne i ukonstytuowanie orderu wojennego „Virtuti Militari” przedstawił zebrany konsul generalny Ambasady RP w Kijowie, znany historyk Rafał Wolski. Swoją występowanie pan konsul bogato zilustrował przeżyciami: zmianą wizerunków orderu, portretami osób odznaczonych, widokiem orderu z dawnych lat jak i obecnego – co było bardzo ważnym elementem poznawczym, zarówno dla zebranych polonistów jak i dla obecnych na sali ukraińskich historyków.

Dyrektor muzeum Sergij Czajkowski podał interesującą informację o wieloletniej współpracy naukowych pracowników muzeum z polskimi historykami, instytucjami i muzeami i zaprosił do oglądania niedawno otwartej wystawy pod tytułem „Relikwie dawnego kijowskiego samorządu ze zbiorów Państwowego Muzeum Wojska Polskiego z Warszawy oraz z prywatnego muzeum rodziny Szeremietiewych.

Informację o zbiorach polskich orderów za czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z kolekcji muzeum wraz z demonstracją kolekcji (szkoda, że nie licznej), przedstawiła pracownik naukowy muzeum, kierownik działu numizmatycznego Zinaida Zraziuk. Z wielkim zainteresowaniem słuchacze zapoznali się z ekspozycją muzeum, poświęconą stosunkom historycznym pomiędzy Ukrainą i Polską w XV-XVII wiekach. Temat wieczoru wzbudził wielkie zainteresowanie wśród kijowskich kolekcjonerów, którzy przyszli aby pokazać własne zbiory, podzielić się wiedzą i coś nowego poznać. Obecni dowiedzieli się, że z okazji 200-lecia orderu w Polsce wydano nową jubileuszową srebrną monetę. Pan Andrzej Amons (były prokurator wojskowy) jeden z najlepszych znawców w tej branży, zaprezentował piękną kolekcję orderów Polskich XX w.

Wzruszającym akcentem wieczoru stały się rodzinne wspomnienia pani Heleny Spickiej, starszego pracownika naukowego Muzeum Ukraińskiej Rewolucji w latach 1917-1921, dziadek której służył w Wojsku Polskim. Pani Helena przyniosła zdjęcia dziadka w polskim mundurze wojskowym oraz jego liczne nagrody, odznaczenia i medale, które dziadek



220 lat „Virtuti Militari” – grupa przedstawicieli polskich organizacji Kijowa na uroczystości w Zieleńcach 4 lipca 2012 roku

własnoręcznie umocował na czerwonej aksamitnej poduszeczce i którą jego potomkowie z wielką miłością i szacunkiem przechowują przez wiele lat w rodzinnym archiwum.

Na zakończenie spotkania w ciepłej przyjacielskiej atmosferze odbył się koncert ulubionych polskich piosenek żołnierskich i wierszy patriotycznych.

Ku chwale i na cześć bohaterskiego czynu wizerunek orderu „Virtuti Militari” tradycyjnie po całym świecie wdzięczni potomkowie rzeźbią na pomnikach i nagrobkach żołnierzom polskim. W Kijowie mamy dwa takie miejsca pamięci narodowej. W ramach projektu „Virtuti Militari”, 16 czerwca grupa opiekunów miejsc pamięci narodowej KNKSP „Zgoda” złożyła kwiaty na kwaterze legionistów polskich w Kijowie na Cmentarzu Bajkowa.

23 czerwca, z okazji wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, grupa działaczy polskich uczciła pamięć żołnierzy polskich, pochowanych na Darnickim cmentarzu wojskowym w Kijowie. Prezes organizacji „Zgoda” Wiktoria Radik w swoim przemówieniu zapoznała obecnych z tragicznymi stronicami historii, a zwłaszcza z wydarzeniem, które odbyło się 8 kwietnia 1944 niedaleko od tego miejsca – na dworcu kolejowym Darnica – kiedy to w obronie nieba nad Kijowem



Dr historii Helena Popelnicka opowiada o pieczęci Kijowa z XVII w.

przeciwko samolotom niemieckim, zginęło 43 polskich artylerzystów Pierwszej Armii Wojska Polskiego.

Zebrani w modlitwie wymienili wszystkie nazwiska zaginionych, zapalili znicze, udekorowali mogiły biało-czerwonymi wstęgami i kwiatami.

Cześć i chwała ich pamięci!

Wracając do dziejów historycznych i orderu „Virtuti Militari”, KNKSP „Zgoda” zainicjowało wyjazd grupy przedstawicieli polonijnych organizacji Kijowa do miasteczka Zieleńce w rejonie starokostantynowskim, w dzisiejszym obwodzie chmielnickim na pole bitwy tu stoczonej, aby złożyć hołd pamięci bohaterom poległym za wolność Polski w wojnie polsko-rosyjskiej w czerwcu-lipcu 1792 roku.

„Chcę podziękować redakcji naszej ulubionej gazety „Kurier Galicyjski” za umieszczenie na swoich łamach bardzo ważnych i ciekawych artykułów o treści historycznej. Właśnie w nr 1 „KG” z 2012 rok dowiedziałam się o orderze – mówi prezes KNKSO „Zgoda” Wiktoria Radik. – Byłam tak zaskoczona i wzruszona, że postanowiłam zorganizować obchody jubileuszowe orderu w Kijowie i zobaczyć na własne oczy oraz przywieźć mych przyjaciół z innych polskich organizacji Kijowa na to historyczne miejsce pod Zieleńcami. Dziękuję za wsparcie mojej inicjatywy Ambasadzie RP na



Konsul generalny RP w Kijowie Rafał Wolski

Ukrainie i konsulatu generalnemu RP w Kijowie, a zwłaszcza konsulowi generalnemu Rafałowi Wolskiemu i sekretarzowi konsulatu Dorocie Dmchowskiej, również Polakom – naszym rodakom z ZPU obwodu Chmielnickiego, z prezesem panem Franciszkiem Micińskim na czele, ukraińskiemu patriocie, deputowanemu do Rady rejonowej, dyrektorowi liceum technicznego panu Sergijowi Kuczerukowi i ojcom franciszkanom ze Starokostantynowa za pomoc w zorganizowaniu tego przedsięwzięcia”.

4 lipca 2012 r. wycieczka wyjechała z Kijowa udekorowanym w biało-czerwone i żółto-niebieski wstążki autobusem w stronę Szepietówki. W składzie delegacji byli prezes i członkowie ZPU w Kijowie – zasłużona dla kultury Polskiej pani Aniela Jurkowska, prezes i członkowie Zjednoczonego stowarzyszenia „Zgoda” im. M. Malowskiego – Roman Malowski, członkowie sekcji opieki nad miejscami pamięci narodowej KNKSP „Zgoda”, członkowie Polskiego Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia w Kijo-

wie im. Adama Mickiewicza. Gościem honorowym była konsul RP w Kijowie Ewa Matusiak-Zagata. W Starokostantynowie na placu przed kościołem ojców kapucynów delegację z Kijowa przywitani przedstawiciele polskich środowisk ZPU obwodu Chmielnickiego, z prezesem Franciszkiem Micińskim na czele oraz prezesem Stowarzyszenia Polaków im Juliusza Słowackiego Ludmiłą Kotik.

Obecnych w kościele przywitani mer miasta Mykoła Melnyczuk oraz konsul RP w Kijowie pani Ewa Matusiak-Zagata. Po uroczystym obiedzie miły koncert zaprezentowała młodzież polska z Towarzystwa Polaków w Starokostantynowie, którego prezesem jest Aniela Kurmańska.

W Zieleńcach grupę Polaków ze Wschodu i Zachodu Ukrainy serdecznie przywitani przedstawiciele miejscowej organizacji ZPU, którzy od dwudziestu lat sprawują opiekę nad pomnikiem (wzniesionym w 1992 r.). Po uroczystej ceremonii

składania kwiatów, wspólnej modlitwie i zapaleniu zniczy, konsul Ewa Matusiak-Zagata uroczystie przywitała zebranych. O historii bitwy pod Zieleńcami opowiedział krajoznawca Sergij Kuczeruk, a delegacja z Kijowa zaproponowała koncert wierszy i pieśni patriotycznych, specjalnie dobranych na tą okoliczność. Na zakończenie uroczystości obecni z wielkim natchnieniem wspólnie zaśpiewali hymn „Boże, coś Polskę”.

Grupa z Kijowa zwiedziła jeszcze piękne okolice wioski Peńki, zobaczyła wspaniałe muzeum szkolne, budynek rodzinny Ignacego Kraszewskiego oraz zachwycała się widokami zamku w Ostrogu oraz muzeum w Samczykach. „Jesteśmy bardzo zadowoleni: tyle nowego, tyle miłych wrażeń, – zaznaczyli w drodze powrotnej podróżni z Kijowa. – Dzisiejsza impreza jest pięknym świadectwem przyjaznych stosunków i współpracy pomiędzy narodami polskim i ukraińskim, a także pomiędzy organizacjami polskimi z różnych regionów Ukrainy”.

A gdyby zwyciężyli?

W czasie trwania II wojny światowej przy wielu zawiłościach międzynarodowej gry politycznej, ostatnim sposobem odzyskania niepodległości były działania jakie podjęły władze Polskiego Państwa Podziemnego. Upatrywały szansę w zakrojonej na szeroką skalę aktywności militarno-cywilnej polskich sił niepodległościowych. Była to próba ratowania polskiej racji stanu. Nazwano ją planem „Burza”, którego częścią było Powstanie Warszawskie.



Do broni (Fot. powstanie-warszawskie-1944.pl)



DARIUSZ KUCHARSKI

Plan zakładał uaktywnienie się polskich podziemnych formacji wojskowych i cywilnych na całym obszarze II Rzeczypospolitej w momencie zbliżania się wojsk sowieckich. Polacy zamierzali pokazać, że są przygotowani do rządzenia, z działającymi pełnymi strukturami, że na terenie Polski istnieje pomimo wojny i okupacji prawowita władza: podziemny parlament – Rada Jedności Narodowej, pełnomocnik rządu emigracyjnego na kraj, od maja 1944 roku w randze wicepremiera, cywilne i wojskowe sądownictwo, policja – Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, wojsko – Armia Krajowa. Swoją aktywność wojskową dostosowywali do zbliżającego się frontu, często podejmując współdziałania na tym polu z Armią Czerwoną. Miało to na celu maksymalnie wyzszykać impet działań sowieckich i powstały chaos po stronie niemieckiej. Ze strony wojskowej założenie to w pełni zostało wykorzystane. Natomiast nikt praktycznie nie był w stanie przewidzieć tak barbarzyńskiego zachowania Sowietów wobec Polaków i ich struktur administracyjno-wojskowych już po przejściu frontu i usunięciu Niemców.

Stalin przygotował się bardzo dokładnie do wejścia na terytorium Polski, tak od strony formalnej, jak i merytorycznej. Sowietci dbający o pozory oparli się na zarządzeniach,

dyrektywach i uchwałach już nawet z czasów pierwszej okupacji 1939–1941. Uzupełniali również o nowe, np. 22 czerwca 1943 roku Komitety Centralne partii komunistycznej dla Ukraińskiej, Białoruskiej i Litewskiej SRS przyjęły dokument o zwalczaniu „partyzantów-legionistów polskich” na terenach ZSRS (za które uznawali ówczesne polskie ziemie wschodnie, zwane obecnie Kresami). Formalnie dało to podstawy do usuwania obcych formacji wojskowych i cywilnych. W rzeczywistości zapisy odnosiły się do całego terytorium zamieszkanego przez Polaków.

W nocy z 3 na 4 stycznia 1944 roku w okolicach Sarn, Sowietci przekroczyli przedwojenną granicę Rzeczypospolitej. Władze polskiego podziemia rozumiały doskonale zagrożenie, jakie niosą wkraczające na teren RP wojska ZSRS. Dlatego zdecydowali, że należy (...) nie bacząc na ryzyko, wziąć udział w walce z Niemcami, by nie zawdzięczać uwolnienia armii sowieckiej i w ten sposób ujawnić wobec niej. Poza tym uznano

za konieczne ujawnienie się władz podziemnych i wystąpienie ich w charakterze gospodarza kraju, inaczej tę rolę przywłaszczać sobie organizacje komunistyczne, przede wszystkim PPR [Polska Partia Robotnicza – ekspozytura komunistyczna dla ziem polskich]. Wreszcie pozostanie w konspiracji władz i AK, gdyby było w ogóle możliwe, stwarzając pustkę, otwierałoby pole do realizacji najśmielszych koncepcji sowieckich, włącznie z utworzeniem z Polski 17 republiki. Władze krajowe nie miały co do planów sowieckich złudzeń, jednakże uważały, że należy im się przeciwstawić przez ujawnienie władz i wojska jako atrybutów suwerenności (...) [S. Korboński, Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945, Warszawa 2008, s.157]. Dało to podstawę do wdrażania w życie planu „Burza”, powszechnego powstania, przejęcia władzy, ujawniania się i witania Sowietów przez władze polskie, jako prawowici gospodarze. W rzeczywistości operacja ta była ostatnią próbą



Broń Powstania Warszawskiego (Fot. goldenline.pl)

ratowania niezawisłości narodowej, opartej na własnych siłach i założeniach.

Od początku okupacji niemiecko-sowieckiej przygotowywano zarysy planu wyzwolenia ziem polskich. Już w 1940 roku przeprowadzono w sztabie podziemia pierwsze analizy. Zdawano sobie sprawę z własnych słabości i zmieniających się realiów politycznych. Szczególny problem stanowili Sowietci, ewidentny wróg Polski, a przez wojnę z Niemcami, aliant i sojusznik naszych sojuszników, nie akceptujący Rzeczypospolitej w dotychczasowej formie i planujący wasalizację kraju. Od 1943 roku koncepcje samowyzwolenia zaczęły przybierać realne organizacyjne kształty. Ustalono, że akcja zbrojna ma polegać na wzmożonym sabotażu, dywersji, przygotowaniu w oparciu o przedwojenną strukturę administracyjną ośrodków cywilno – wojskowych jako reprezentantów państwa polskiego, które jako gospodarze razem z podziemną armią miały witać Sowietów. Polacy według tego zarządzenia widząc nadchodzący front, w odpowiednim czasie mieli rozpocząć zmasowane działania zbrojne. „Burza” była niezwykle sprytną koncepcją walki oraz współdziałania z wojskami sowieckimi. Obliczona na stawienie ich przed faktami dokonanymi. Niestety plan nie przyniósł zakładanych efektów. Nikt nie przypuszczał, że Sowietci mogą przyjąć tak totalną, ludobójczą formę zwalczania wszelkich polskich przejawów wolnościowych. Jednak należy pamiętać, że w wielu wsiach, miasteczkach i miastach wschodniej i centralnej Polski plan ten wypalił. Nawet w największych miastach, jak Lwów, Wilno (Powstanie Wileńskie), Lublin, a zakończył się w Warszawie (Powstanie Warszawskie).

Pierwszym oddziałem realizującym założenia „Burzy” było zgrupowanie 27 dywizji piechoty AK dowodzonej przez ppłk. Jana Wojciecha Kiwerskiego „Oliwę”, a po jego śmierci przez mjr. Tadeusza Sztumberka – Rychtera „Żegotę”. 20 marca 1944 podjęli oni z Sowietami pierwszą wspólną walkę przeciw Niemcom. Walczyli koło Włodzimierza, Kowla, Zamłynia, Sztunia i opanowali miasteczka Murzyska i Turopin.

W ramach „Burzy” największą akcję zrealizował okręg wileński. Tu zaplanowano wyzwolenie Wilna i okolic. Nadano jej kryptonim „Ostra Brama”. Uczestniczyło w niej około 9 tysięcy żołnierzy AK, wspieranych posiłkami z Nowogródzczyzny. Współtwórcą tej koncepcji był mjr. Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, który podał ten pomysł w kwietniu 1944 roku komendantowi płk. Aleksandrowi Krzyżanowskiemu „Wilkowi”. W momencie zbliżania się Sowietów do Wilna z 6 na 7 lipca rozpoczęto walki o miasto. Jedna grupa w sile 5500 żołnierzy pod dowództwem płk. „Wilka” zaatakowała miasto z zewnątrz. Druga rozpoczęła walki w mieście. 7 lipca polski atak wsparły zbliżające się oddziały sowieckie. Miasto zdobyto 13 lipca. Niektóre jednostki AK puściły się w pogoń za wycofującymi Niemcami staczając dwie zwycięskie bitwy pod Rykontami i Trokami. W ramach tej operacji Polacy stoczyli z Niemcami około 30 bitew i potyczek. Zdobyli Bieniakonie, Juraciszki, Raduń, Turgiele, Troki, Rudomino i opanowali część Lidy wraz z miejscowym więzieniem. Pod Murwaną Oszmianką rozbili proniemieckie, litewskie ochotnicze

oddziały. W tym czasie w miastach uaktywniały się automatycznie polskie placówki administracyjno – porządkowe. Postawiono tym samym Sowietów przed faktem dokonanym. Witały ich polskie struktury administracyjnoporządkowe. Jednak bezwzględne działania sowieckie prowadzone przy użyciu dużych sił specjalnych, spowodowały wprowadzanie ich brutalnego scenariusza. Walki na obszarze wileńsko – nowogródzkim określa się Powstaniem Wileńskim.

Nieco odmiennie przedstawiała się sytuacja w okręgu białostockim AK. Tamtejszy dowódca, płk Władysław Liniarski „Mściśław”, po podjęciu operacji „Burza”, podlaską i suwalską brygadą kawalerii, 18 dywizją piechoty pod dowództwem płk. J. Stencela „Rawicza” i 29 pod dow. ppłk. W. Ściegiennego „Lisa”, współdziałał w walce z Sowietami, lecz nie ujawnił się przed ich dowództwem. Podwładnym nakazał daleko idącą powściągliwość w kontaktach z nimi. Tym samym uratował wielu od szybkich aresztowań i śmierci. Niektórzy nie zastosowali się do tych wytycznych i to zakończyło się likwidacją ich formacji.

Podobna sytuacja powstała na Polesiu, gdzie dowodzący 30 dywizją piechoty po zetknięciu się z czerwoarmistami i na wieść o stanowczej propozycji wcielenia do armii Berlinga, postanowił samodzielnie przebiegać się z podwładnymi do Warszawy. Po drodze koło Białej Podlaskiej pod wpływem rosnącego zagrożenia część oddziałów rozformował. Dalej z 1000 żołnierzy kontynuował marsz. Prowadząc walki pod Dębem Wielkim został otoczony, a wziętych do niewoli wywieziono w głąb Rosji Sowieckiej.

Na terenach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej (okręg Lwów, Stanisławów, Tarnopol), formacje AK rozdzielono na małe oddziały celem skutecznej obrony miejscowej ludności przed Niemcami, ale i formacjami nacjonalistów z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – OUN i Ukraińskiej Powstańczej Armii – UPA, którzy wpisali się do historii wielkimi akcjami ludobójczymi na Polakach, a także Żydach i Czechach. Według polskich wiarygodnych szacunków w latach II wojny światowej życie z rąk nacjonalistów ukraińskich nie pomijając niemowląt i ludzi starych straciło około 150 000 Polaków. Te tragiczne wydarzenia oraz wcześniejsze szalone wywózki i mordy sowieckie z lat „pierwszej okupacji 1939-1941”, spowodowały znaczące osłabienie polskiego żywiołu na tych obszarach. Z tego względu tamtejsze polskie podziemie nie było zbyt silne w terenie, niż na północnym-wschodzie II RP, podejmowało bardziej ograniczoną walkę i działania. W starciach z dużymi formacjami niemieckimi nie miały znacznych szans, dysponowały zbyt małą siłą ognia. Pomimo tego i na tym terenie plan „Burza”, był częściowo wprowadzony. Podjęto działania celem wyzwolenia Lwowa. Oddziały 5 dywizji piechoty AK w sile 3000 żołnierzy pod dowództwem płk. Władysława Filipkowskiego „Janka”, 14 pułku Ułanów Jazłowieckich, pod komendą „Draży” i przy współdziałaniu z Armią Czerwoną od 23 do 27 lipca walczyli o miasto. Dwa dni po zdobyciu Lwowa, 29 lipca delegata rządu docenta Adama Ostrowskiego, dowódcę obszaru płk. Filipkowskiego „Janka”, z innymi oficerami oraz żołnierzami aresztowano. Poddano ich przesłuchaniu w więzieniu przy uli-

cy Łąckiego. Część ludzi podziemia próbowała salwować się ucieczką za San lecz i tam zostali rozbici.

Wraz z przemieszczaniem się frontu na zachód, „Burza”, była również realizowana z powodzeniem w innych częściach centralnej Polski: Podlasiu, wschodnim Mazowszu oraz Lubelszczyźnie, współwyzwalając również Lublin. Niestety procedura sowiecka była stosowana i na tych obszarach.

Działania wykazały doskonale przygotowanie polskiego podziemia zarówno pod względem wojskowym, jak i administracyjnym. Po przejściu frontu i krótkim rozpoznaniu, tyłowe oddziały sowieckie zaczynały „porządkowanie”. Użyto do tego dużej liczby

Ostatnim akordem „Burzy” było opanowanie przez polskie podziemie Warszawy. Wychodzenie na jaw niesamowitej bezwzględności Sowietów, spowodowało zakończenie jego realizacji na stolicy. Była to przysłowiowa „ostatnia deska ratunku”. Wielu już wówczas nie ufało czynnikom międzynarodowym. Uważano, że zostaliśmy sami na łasce Stalina i w tej sytuacji musieliśmy zdać się na akt heroizmu. Była to ostatnia polska szansa na odwrócenie tragicznej karty. Mieliśmy ponownie walczyć zdani na siebie, tak jak w 1918 roku. Wówczas się udało, to i 1 sierpnia 1944 roku mogłoby się powieść. Przecież byliśmy czwartą siłą w koalicji, po USA, ZSRS i Wielkiej Brytanii, a nasz wkład wojenny był olbrzymi.



Wybuch ciężkiego granatu na budynku Prudentialu (zdjęcie wykonał w czasie Powstania Warszawskiego Sylwester Braun ps. Kris)

jednostek NKWD, i powołanych specjalnie do tego oddziałów „Smiersz-a”, (śmierć szpiegom), które wkroczyły za regularną armią sowiecką. Przeznaczone były do bezwzględnego zwalczania wszelkiej opozycji, aresztując, wywożąc i mordując również osoby cywilne. Zaprowadzano nowe porządki. Zastosowano na olbrzymią skalę terror i pacyfikację. Stosując podstęp zapraszano całe dowództwa na „rozmowy” do jednostek Armii Czerwonej, gdzie ich aresztowano, a oddziały stawiano przed alternatywą poddania się lub wręcz wystrzelania.

Stolica miała tu specjalne znaczenie. Uważano, i to raczej słusznie, że po przejściu władzy w mieście uda się zorganizować tam całą administrację i tym samym powitać nadchodzącego „sojusznika naszych sojuszników”. Dnia 1 sierpnia 1944 roku, od godziny 17:00 rozpoczęły się walki. Krwawo tłumione przez Niemców, przy celowej bierności sowieckiej oraz przy porażającej jałowości poczynają Brytyjczyków i Amerykanów. Powstańcy walczyli 63 dni

Pomyślmy. Powstanie zwycięża. Warszawa wolna z prawowitymi władzami. Na polskim terytorium posia-

da zorganizowane siły zbrojne, administrację, sądownictwo. Rząd polski dysponuje czwartą armią koalicyjną, przebywającą na zachodzie, Polskie Siły Zbrojne – wszystkie rodzaje broni. Na ziemi polskiej dotarła tzw. armia Berlinga, którą stanowili żołnierze, część korpusu podoficerskiego i oficerskiego byli więźniowie sowieccy, marzący o wyrwaniu się z tego więzienia narodów, jak mówiono o ZSRS, i dotarciu do upragnionej Ojczyzny. Zapewne wsparliby polskie władze w Warszawie. I oczywiście społeczeństwo polskie, które opowiedziało się po stronie wolności Kraju, czego dowodem były następne lata. Czyli inna rzeczywistość polska, ale i aliancka. Teheran byłby przekreślony!!!

Czyli Powstanie Warszawskie nie było bezmyślnym zrywem szalonych Polaków. A gdyby Niemcy odpuścili walki w Warszawie. Powstałby w stolicy RP niezależny i co istotne, polski ośrodek państwowy. To zrodziłoby, mówiąc językiem współczesnym nową jakość w geopolityce. Zastanawiające, że Niemcy rzucili tak olbrzymie środki i siły na Warszawę. Przecież opierając się na logice powinni odpuścić i zrobić Sowietom, ale i zachodnim koalicjantom problem. Spotkałem się z dość poważnie rozpatrywaną sugestią o cichym układzie niemiecko-sowieckim w kwestii likwidacji powstania i władz polskich w Warszawie.

Wróćmy jednak do faktów. Rzeczywistość ukazała bezwzględność sowiecką, która dała początek drugiej okupacji, trwającej aż do 1989 roku. Okupant sowiecki zastosował najlepsze metody socjotechniki. Wyrwał połowę narodu z ich wielowiekowych ojcowizn na zachód, na tak zwane Ziemie Odzyskane, gdzie mieli szybciej się sowietyzować. Kolaboranci komunistyczni wysługiwali się im, tworząc z niezwykłym okrucieństwem wasalne, kolonialne państwo pod nazwą Polska Rzeczpospolita Ludowa. Przy zastosowaniu drobnej symboliki narodowej amputowali w rzeczywistości wszystko co dla nas Polaków i naszej tożsamości istotne. Ośmieszali

polnych bohaterów, dezawuowali pamięć o powstańcach warszawskich. Wmawiali, że jesteśmy nieudolni. Niczego nie potrafimy dokonać.

Ten stanowczy polski opór odsunął ostatecznie wizję utworzenia z Nas republiki sowieckiej, o czym marzyło również wielu „polskich” komunistów.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że podjęcie tak wielkiego wysiłku zbrojnego przez społeczeństwo było możliwe dzięki wcześniejszemu przygotowaniu moralnemu narodu. Tu nie do przecenienia był fakt właściwego wychowania patriotycznego – historycznego w II Rzeczypospolitej. Odbudowało ono w Polakach poczucie dumy, znaczenia i wiary w siebie. Moim zdaniem i to należy wypuklić przy omawianiu i analizowaniu „Burzy”, miały wielkie znaczenie nasze zrywy narodowe, w pełni niezależne, których złą passę przerwało Powstanie Wielkopolskie i wojna z bolszewikami 1919–1921, wówczas wciąż świeże w pamięci narodu.

Ten zbrojny opór narodu polskiego wpisuje się w cały ciąg niezależnych działań, które jeśli nie natychmiast, to z czasem przynosiły owoce. Polska droga do wolności, to m.in.: Konfederacja Barska, Powstania Listopadowe, Styczniowe, Śląskie ale i Wielkopolskie, plan „Burza” z Powstaniem Warszawskim, Żołnierze Wyklęci, a także „Solidarność”, która dała wyzwolenie Polakom, ale i wielu narodom Europy, w tym i Niemcom. A to wykazuje słuszność polskiej drogi i uwidacznia naszą siłę i znaczenie w Europie.

1 sierpnia to ważny dzień – symbol, upamiętniający powstańców warszawskich, ale i wszystkich patriotów walczących o Wolną Polskę w ramach planu „Burza”.

Chwała i pamięć naszym bohaterom!

Dariusz Piotr Kucharski – doktor historii, publicysta, ekspert CAFR ds. zagadnień wschodnich, stały współpracownik kwartalnika Myśl.pl, członek Rady Programowej rocznika Actum.

Humor żydowski

Powód

Pan Henich bardzo lubi podróżować. Zwiedził już prawie całą Europę. Znajomi namawiają go do wyprawy za ocean:

- Pan tak lubi podróże, dlaczego więc nie pojedzie pan statkiem do Ameryki?

- Właśnie dlatego, że statkiem. W czasie takiej długiej podróży zbyt dużo jest w rękach Pana Boga...

Kochany...

- Jak się pan masz, kochany panie Juda? – wita znanego kupca-hurtownika ubogi sklepikarz.

- Ja się mam dobrze, panie Berisz – powiada na to hurtownik – a co się tyczy tego „kochanego”, to możeś pan na to wcale nie liczyć...

Trafić mola!

Do składu aptecznego w Busku wchodzi pan Selig i pyta o jakiś skuteczny środek na mole. Subiekt zachwala mu kulki naftalinowe, niezawodne w działaniu. Pan Selig kupuje dwie kulki i wychodzi. Na drugi dzień zjawia się znowu i prosi o sto takich samych kulek. Po paru dniach przychodzi po raz trzeci i każe sobie zapakować aż pięćset kulek naftalinowych. Tym razem subiekt nie może się już powstrzymać od pytania:

- Po co panu tyle tych kulek?

- Dobre sobie! Po co? A czy pan myśli, że łatwo w takiego mola trafić?

Skutek radości

- Mojsze, jak to możliwe?! – woła pan Eliasz do swego przyjaciela na placu Krakowskim. – Wczoraj byłeś całkiem siwy, a dzisiaj masz włosy czarne jak kruk.

- Mój przyjacielu, spotkała mnie niespodziewanie wielka radość i włosy mi przez jedną noc poczemniały!

Lepsi gracze

Pan Iro i pan Leo grają w kawiarni w karty. Pan Iro przegrał dwa złote, pora jest już późna i właściciel zabiera się do zamykania lokalu.

- Nie mam przy sobie pieniędzy – powiada z rezygnacją pan Iro – zapłacę panu następnym razem. Jego partner jest wyraźnie wzburzony.

- Wie pan co – powiada – to jest doprawdy bezczelność. Jak można siadać do gry bez pieniędzy? Czym ja teraz zapłacę za swoją kawę?

Dobra ściana

Pan Juda wbija gwóźdź w ścianę. Po chwili przybiega jego sąsiad.

- Przepraszam pana, panie Juda, czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, abym powiesił swój obraz na drugim końcu pańskiego gwoźdźca?

źródło:

**Janusz Wasylkowski,
Obyś żył w ciekawych
czasach,
Warszawa 1991**

List do redakcji

Od 14 do 28 lipca po raz drugi w Zamłynie, w ciągle powstającym tu Międzynarodowym Centrum Integracji, odbyła się II Letnia Szkoła Języka Polskiego dla dzieci pochodzenia polskiego z Wołynia mających zamiar studiować w Polsce.

Wszyscy przyszli studenci mieli możliwość aktywnego uczestniczenia w czterech godzinach lekcji codziennie. Zajęcia były prowadzone w trzech grupach przez troje nauczycieli z Polski (z Leszna i z Zamościa), którzy stosowali wszechstronne metody nauczania, korzystali z różnych książek wypożyczonych ze Szkoły Polskiej w Kowlu, z atlasów, z książek do nauczania historii, z materiałów kopiowanych w konsulacie RP w Łucku.

Oprócz posługiwania się językiem polskim na lekcjach uczestnicy szkoły mieli możliwość rozmawiania, śpiewania oraz wspólnych zabaw i gier w tym języku z dwiema opiekunkami z Zamościa i z Chełma.

Jako że gospodarzem był ksiądz Jan Buras – pomysłodawca, budow-

Młodzi z Wołynia w Zamłynie



niczy i gospodarz ośrodka – uczniowie mogli uczestniczyć codziennie we mszy św., śpiewając i modląc się po polsku. Brali też udział we mszy prawosławnej.

Uczniowie nie tylko uczyli się języka polskiego. Przez pięć dni mieli możliwość uczestniczenia w warsztatach malarskich prowadzonych przez wybitne malarki z Łucka Tatianę Miałkowską i Halinę Czernisz.

Wykonali prace na szkle, drewnie i ozdobili kolorowo torby ekologiczne.

Dużą atrakcją była dwudniowa wycieczka do Polski. Uczestnicy szkoły podziwiali zabytki Lublina i Kazimierza Dolnego nad Wisłą, kupowali pamiątki, jedli smaczną posilkę i pyszne lody, spacerowali i wspinali się w górę, by obejrzeć piękne widoki. W niedzielę uczni-

wie mogli odpocząć od nauki nad jeziorem Pisoczne. Tam były kąpiel, obiad, zabawy, gry, śpiewy i msza święta.

Gośćmi szkoły byli konsul generalny Marek Martinek i konsulowie Karolina Golubiewska i Krzysztof Sawicki.

Uczniowie mieli spotkanie z młodziem z Lubomla i mogli porozmawiać na interesujące ich tematy związane z przestępczością nieletnich i z prawem karnym.

Aby otrzymać nagrody książkowe i dyplomy ukończenia szkoły, uczniowie napisali dwie prace: wypracowanie o sobie i list do Boga.

W czasie trwania szkoły nawiązały się nowe znajomości i przyjaźnie. Trudno było się rozstać, ale życie ma swoje prawa.

Wszyscy dziękowali Bogu, że mogli spotkać się wśród pięknej przyrody Zamłynia i doskonalić swoje umiejętności językowe, malarskie i śpiewacze.

WIESŁAW PISARSKI

EROS W LEGIONACH

Tematyka dotycząca „tych spraw” od czasu do czasu przewija się w publikacjach poświęconych wojsku, jednak do tej pory nie doczekała się kompleksowego opracowania, głównie ze względu na małą ilość źródeł. Nieco światła na sprawy związane z życiem seksualnym żołnierzy rzucają pamiętniki oraz wspomnienia.

ADAM KACZYŃSKI tekst
Pocztówki z kolekcji autora

Analizując tego typu materiał musimy pamiętać, iż epoka w której były tworzone rządziła się swoimi prawami, przez co nie pisano o wielu rzeczach, bądź używano nieco pokreślonych przenośni, dzięki którym całość nabiera wyrafinowanego „smaczku”. Połączenie tak specyficznej tematyki z tak specyficznym wojskiem jakim były Legiony Polskie będące niczym innym jak ochotniczą zbieraniną ludzi bądź co bądź nieszablonych, daje bardzo ciekawe rezultaty. Jak już wspominałem głównym źródłem zawierającym materiał o tych sprawach są żołnierskie pamiętniki. Jednym z najlepszych spośród nich dziennik spisywany przez dr Sławoja Składkowskiego, który oprócz problemów związanych z higieną wiejskich wychodków dostrzegał także inne przejawy życia swoich podopiecznych. Chęć dbałości o czystość, zarówno tą zwykłą, jak i też moralną, skłaniała przyszłego premiera do skrupulatnego odnotowywania swoich sukcesów w dziedzinie walki z burdelami i innymi miejscami uciech niosących zagrożenie dla legionistów. Moralne aspekty żołnierskiego życia opisywali również księża kapelani. Niestety nie mieli tak wielkich i spektakularnych sukcesów jak dr Składkowski, stąd też ich spuścizna literacka pozostała nieco skromniejsza.

Frontowe warunki i ciągle przebywanie wyłącznie w męskim towarzystwie prowadziło do narastania wśród żołnierzy nastrojów, które dziś moglibyśmy określić mianem skumulowania popędu seksualnego. Zwłaszcza okresy walk pozycyjnych takie jak te nad Nidą wiosną 1915 r., czy też ciągnąca się kilka miesięcy kampania wołyńska z lat 1915 – 1916. Sprawiła, iż widok przedstawicieli płci pięknej stawał się dla legionistów prawdziwym rarytasem. Cała strefa przyfrontowa była na ogół wysiedlana w promieniu kilkunastu kilometrów, dlatego zwykli żołnierze nie mieli nawet najmniejszych szans na ujrzanie kogokolwiek innego poza towarzyszącymi broniami.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sytuacja na tyłach. We wsiach położonych na dalekim zapleczu frontu nie ewakuowano ludności cywilnej. Nie brakowało również dziewcząt „ładnych i śmiałych względem naszych chłopców, lecz pod każdym względem niezbyt czystych” (Solek Wicenty, Pamiętnik Legionisty, Warszawa 1988). Co prawda kobiet było pięć razy mniej niż legionistów, ale co bardziej sprytni żołnierze i tak potrafili się odnaleźć w takiej sytuacji. Schadzki z gospodyniami domów w których kwatrowali żołnierze nie należały do rzadkości. Czasami ich cena była z góry ustalana – i tak podczas kampanii wołyńskiej poleska świtka była warta dwa tygodnie wspólnego pożywania. Nie mniej jednak przy podziale kobiet obowiązywała jedna niepisana zasada – nie wolno było podrywać dziewczyn zamieszkałych poza własnym rejonem zakwatero-



wania, gdyż należały się one innym oddziałom.

„W tych sprawach” znacznie lepiej powodziło się żołnierzom podczas działań ofensywnych. Oddziały legionowe posuwając się przez Lubelszczyznę i Wołyń niejednokrotnie stykały się z miejscową ludnością, a wszystkie nadarzające się okazje były skrupulatnie wykorzystywane przez legunów:

„Są tu wspaniałe drzewa wiśniowe, całe okryte owocami. Chłopcy nasi prosili dziewczęta miejscowe, by im wisien narwały, bo oni są zmęczeni i nie mogą wleźć na drzewo. Te w naiwności wchodziły na drzewa, co bacznie „obserwowali” nasi chłopcy, stojąc pod drzewami. Widocznie widoki, jakie mieli przy tym, dodały im sił, gdyż wkrótce wleźli „pomagać” panienkom. Zapewne w gęstwinie liści nie zawsze chwytają wyłącznie za wiśnie, gdyż co chwila słyhać z drzew piski i krzyki: „Co pon robi, bo zliże zoro!...”

Dotychczas żadna nie zlaża, więc widocznie nic „straszego” się tam w górze nie dzieje” (Felicjan Sławoj Składkowski, Moja Służba w Brygadzie, Warszawa 1990).

Jako puentę do wszystkich spotkań z wiejskimi dziewczętami możemy przytoczyć kolejny fragment pamiętnika doktora Składkowskiego:

„Wczoraj o godzinie 4 rano wymaszerowaliśmy z Dąbrowy. Widocznie flirt, rozpoczęty przez naszych chłopców we dnie na drzewach wiśniowych, rozwijał się pomyślnie wieczorem już na murawie, gdyż na

pożegnanie nasze wyległo jeszcze więcej dziewcząt niż na powitanie. Obok nich stały matki, wyznające zasadę, że córki pilnować należy do ostatniej chwili. Gdy tak ważyły się w powietrzu ostatnie chwile pożegnań bez słów, nagle w pierwszej czwórce jeden z żołnierzy, wsparty na karabinie, a za nim cała kolumna ryknęła refren znanej piosenki:

„Ale ona mi nie dała,
Bo się mamy bardzo bała!”

Dziewczęta udały, że nie wiedzą, o co chodzi, ale matki zaczęły się śmiać z widoczną ulgą z powodu tych śpiewanych zapewnień. Tak wyszliśmy ze wsi, zostawiając piękną połowę jej ludności „pod dobrym wrażeniem”.

Podczas stacjonowania oddziałów legionowych w poszczególnych wsiach zdarzały się również sytuacje, w których zachowania żołnierzy powodowały dość nietypową reakcję płci pięknej:

„Wczoraj w czasie przyjęć chorych przyszły do mnie dwie „kobitki”, jedna starsza już, druga młoda. Nie krępując się obecnością porozbieranych żołnierzy, weszły śmiało i młodsza ze straszonym zgorzaniem opowiedziała:

„Jedyn paskudnik caluśki goły leży za wsio na trowie, z początku do góry d..., a potem jak my szły wykręcił się bezwstydnik do góry... brzuchem. Niech no pan starszy idą z nami, a dobrze go tam <lizną> tą <pidrutą> to mu się odechce we wsi takie rzeczy robić!”

Miałem dużo chorych, byłem zajęty, z drugiej strony „kobitce” zanad-

to trochę oczy błyszczały przy opowiadaniu jak na „czyste” oburzenie. Biorę więc szpicrutę, daję jej i mówię: „A niechże pani idzie go <liznąć> tą szpicrutą, kiedy taki bezwstydnik”.

Niestety, widocznie zostałem źle zrozumiany, bo kobitka plunęła i wychodząc zawołała: „A niech mu ta nawet psy odgryzą, co mi ta, mom swoigo chłopca w dumu!”

Również na Wołyńskim odcinku nacierającym legionistom powodziło się nie najgorzej. Bariera językowa nie sprawiała większego problemu i kontakty nawiązywano dość łatwo. Niestety przesuwanie się frontu sprawiło, iż związane znajomości bardzo szybko się kończyły, a miejsce dotychczasowych oddziałów zajmowały kolejne. Smutek spowodowany przymusowym porzuceniem ukochanych niejednokrotnie stawał się przyczyną docinek i niewybrednych żartów:

„Martwisz się bracie, gdzie idziesz? – zawołał mały, czupurny, słabo widoczny spod ryszunku wiarus-kapral. – A no, to ja ci powiem, idziesz, gdzie nazywa się Bezbabie, możesz zobaczyć na mapie obywatela porucznika. Tam będziesz zatykał dziurę, ale nie taką jak tu w Gradyssku, ale jeszcze większą, bo to dziura we froncie...” (Felicjan Sławoj Składkowski, Kwiatuśki administracyjne i inne, Warszawa 2005).

Szczególnym miejscem dla legionistów był Kowel, w którym oprócz kluczowego dla wołyńskiego odcinka frontu węzła kolejowego znajdowała się cała masa tyłowych instytucji. Obecność dużej ilości kobiet sprzyjała wszelakim kontaktom, także tym wynikającym z nieporozumień i nieznajomości topografii miasta. Było tak min. w przypadku poszukiwania łaźni dla wojska. Zdarzenie, o którym za chwilę będzie mowa było potem długo rozpamiętywane przez żołnierzy i stało się przyczyną docinek wymierzonych w dr. Składkowskiego:

„Sam z trzema żołnierzami udało mi się obejrzeć drugą, wskazaną mi łaźnię. Po przejściu paru bocznych ulic weszliśmy, w myśl wskazówek, z podwórza do ciemnego korytarza, w którym czuć było już parę. Stał w mroku otworzyłem drzwi, które poznałem po jasnej szparce, przez którą wydobywało się światło. Otworzyłem drzwi i... zdębiałem. W łaźni był widocznie damski dzień bo około piętnastu kobiet długich i krótkich, grubych i cienkich, czerwonych i białych – myło się w izzie dość widnej, ale całej zasłanej gęstą parą. Szybko zamknąłem drzwi, nim zdążyły się zorientować w naszym najściu. Stojący za mną z błyszczącymi nie tylko bagnetami, ale i oczami chłopcy ryknęli: „Obywatelu doktorze, my nic jeszcze z tej łaźni nie widzieliśmy!” – zorientowali się bestie od razu, że do łaźni kobiecej wpadliśmy przypadkowo.

- Maszerować za mną! – zawołałem, sam grubo speszony tymi nieoczekiwanymi studiami etnograficzno-anatomicznymi, kierując się z powrotem na podwórze tak szybko jak pozwalała na to ciemność kory-

tarza. Szli więc ospale za mną, dzieląc się głośno swymi wrażeniami.

- Jo to bym se wybroł tę grubą, czerwona, co z cebrzyka wodę lala na siebie – zapiszczał cienko, jak kogucik, niski siedemnastoletni „wiarus”, który „dno” za dużych spodni nosił stale na wysokości kolan.

- Idź szczeniaku – powiedział drugi – toż to stara baba, mogłaby mieć trzech takich synów jak ty. Ja widziałem „brenetkę”, taką w czerwonej chustce na łbie, to ci kobita, a biała jak mąka!

- A skąd wiesz, że brunetka, kiedy chustkę na łbie miała? – odgryzł się pierwszy.

- A ty myślisz że ja ji czas ino na łeb potrzyo, jak obywatel doktor je „inspicrował”. Niedługo było, ale dobre było! Obywatel dokróć ino sam obejrzoł i drzwi zamყო!

- Obywatele dosyć tego gadania – powiedziałem z bardzo sztuczną powagą.

- Cicho! Chłopcy! – pojednawczo rzucił milczący dotąd trzeci, robiąc filozofa – obywatel doktor chciał ino zobaczyć, czy une ni majo... w porzek!

Wszyscy trzej ryczeli za mymi plecami. Ja tylko – przyśpieszałem kroku (Felicjan Sławoj Składkowski, Moja Służba w Brygadzie).

O szybkości roznoszenia się tego rodzaju informacji może świadczyć fakt, iż po południu już cała kompania ryczała: „doktorze my chcemy do tej kobiecej łaźni!”.

Pobyt w Kowlu wiązał się też z zagrożeniem chorobami wenerycznymi, tym bardziej że „Powiat jakiś seksualny wiatr z tych leśnych ostępów i miejskich zaułków, dość że żołnierze o niczym nie mówią tylko wygłaszają przechwałki, jak to było, gdy mu dała, oczywista na miłość. To udziela się smarkaczom osiemnasto- i dwudziestoletnim, no i jest kłopot”.

W samym mieście oprócz kilku oficjalnych domów publicznych istniały podobno także tajne miejsca schadzek, służące wcześniej żołnierzom armii carskiej. W ramach środków zapobiegawczych lekarze batalionowi wygłosili dla żołnierzy odczyty o szkodliwości chorób wenerycznych i sposobach na ich uniknięcie. Innym sposobem walki z zagrożeniem wenerycznym były niemieckie pakiety VIRO – łac. „mężczyźnie”. W skład pakietu oprócz prezerwatywy wchodziły także takie specyfiki jak maść rtęciowa oraz roztwór protargolu, który należało sobie zakropić. Oto co zanotował na ten temat dbający z ogromną zapalczywością o sprawy higieny dr Składkowski:

„Stosunek płciowy żołnierza niemieckiego nie kończy się nawet w chwili opuszczenia mieszkania chwilowej kochanki: ma on jeszcze obowiązek dokładnie zapisać nazwisko, imię i adres partnerki, by podać to wszystko władzom w razie zakażenia się. Inaczej zostaje surowo ukarany. Ułożono nawet specjalne formularze dla chorych wenerycznych, które należy starannie wypełniać, pod odpo-

wiedzialnością lekarza wojskowego. Nasi chłopcy są z reguły zbyt rycerscy, by podawać nazwisko „panienki”, twierdząc, że wszystko odbyło się na „miłość”, że była to uczciwa kobieta, która wyjątkowo tylko uległa, że więc nie ma mowy o niedyskrecji [...] wobec tego, że „viro” nie zawsze pomaga, gdyż widocznie nawet Niemcy nie stosują go zbyt starannie, spokojnie i metodycznie, uczeni niemieccy propagują ostatnio nieszkodliwość samogwałtu, stosowanego w sposób umiarkowany(?). Są to już naukowe teorie, podyktowane wybitnie pobudkami patriotycznymi i to na pewno na czas wojny. Nie wiem jaki wpływ wywarły te teorie na naszych chłopców i niemieckich żołnierzy. Z resztą musi to uregulować jakoś „sama natura”. Chorych na skutek naszej przymusowej czystości obyczajów nie zauważyłem”.

się oblewał rumieńcem wstydu na ich ordynarne wyrażenia”. Oprócz typowych opowieści sprawy erotyczne trafiły także do legionowej pieśni. Żołnierze lubowali się w śpiewaniu „porno” tekstów, których nawet za bardzo nie wypadało zapisywać. Jednym z niewielu ocalałych tego typu utworów jest „Piosenka Urlopnika” autorstwa Wieniawy – adiutanta Piłsudskiego. Jak wspominał sam autor nad Nidą ulani przynieśli mu spis przekleństw i innych niecenzuralnych słów, które ma umieścić w tekście:

*Szedł ulan raz na odpoczynek
A w rękę miał broń na tuj
Potężny ch...! Potężny ch...!
Bo tęsknił bardzo do dziewczynek
I czuł ich całą drogę brak
Niech trafi szlag! Niech trafi szlag!
I dopadł dziewczkę w stogu siana
I stał swej pyty na niej zmiął
Do d... z nią*



Okazje do kontaktów z kobietami stwarzały także wyjazdy na urlopy. Węzłem kolejowym przez który przejeżdżali żołnierze jadący z Wołynia był Lublin. Wykorzystywały to miejscowe panienki, które liczyły na żołnierskie relutum czyli pieniężny ekwiwalent kosztów całodziennego wyżywienia wypłacany podczas wyjazdów na tyły. Niestety biznes kręcił się tu znacznie gorzej, gdyż większość, zwłaszcza młodych żołnierzy, totalnie lekceważyła podstarzałe prostytutki i cały zapas pieniędzy przepuszczała w cukierniach i sklepach ze słodyczkami.

Na totalnym „bezbabiu” można było jedynie oddać się wspomnieniom minionych uciech. Z tego też względu jednym z głównych tematów żołnierskich rozmów stały się sprawy kobiece. „Upadek moralności” szczególnie ciężko przeżywali księża kapelani, którzy musieli wysłuchiwać żołnierskich opowieści. Ojciec Kosma Lenczowski wspominał iż legionieści I Brygady „mówili tylko o świństwach, a o Bogu tylko bluźniąc”, a ks. Konopka z II Brygady narzekał, iż żołnierze „mieli przyjemność gdy

*I powstał we wsi wielki lament
Rodzice w skargach wiodą prym
To sku...
I nie dziękując za traktament
Opuścił on rodzinną wieś
Ja mam ją gdzieś
Miał ch... w rękę wziął karabin
Poszedł i gdzieś na wojnie szczeł
J... go pies!*

Tym oto miłym akcentem zakończyłbym niniejszy artykuł, jednakże pozwolę sobie wrzucić jeszcze jedną, niestety niezbyt wesołą refleksję. W czasach Legionów widok kobiecej łydki, nie mówiąc już o kolanie, dostarczał niesamowicie silnych wrażeń. Dziś, gdy widok super krótkiej mini nie rusza już prawie nikogo, warto sobie postawić pytanie o to czy przypadkiem nie straciliśmy czegoś, co jeszcze posiadali nasi dziadkowie – satysfakcji z „dobierania się do niedostępnego”. Co w takim razie nam zostanie, jeżeli już dziś mamy niemalże wszystko odkryte i podane na tacy? Stringi, toples... – może przyszłe pokolenia znajdą coś jeszcze do odsłonięcia.

KG

Kamizelka kuloodporna powstała we Lwowie

Zmiany, które dosięgły techniki wojskowej po koniec XIX wieku wywołały w świecie prawdziwą panikę. Nowe rodzaje broni strzeleckiej, które pojawiły się w państwach europejskich, nazwano „diabelskimi wynalazkami”.

MYCHAJŁO PAWŁOW

Kuloodporny pancerz

W różnych ówczesnych dziennikach publikowano oszałamiające dane z prób karabinów i pistoletów, a dziennikarze malowniczo opisywali możliwości nowej „superbroni”. W wielu państwach przetoczyły się kampanie na rzecz zakazu używania „długiej kuli”, która wyparła tradycyjną – okrągłą.

Na jakiś czas emocje ostudziła informacja o zadziwiającym wynalazku lwowskiego krawca Bogdana Pisarczuka. Wynalazł on coś, co w



Policja amerykańska testuje kamizelkę kuloodporną



Ul. Karola Ludwika we Lwowie. Tu mieścił się zakład krawiecki Bogdana Pisarczuka

tamtych czasach nazywano „kuloodpornym pancerzem”, czyli prototyp współczesnej kamizelki kuloodpornej. Uczeni i specjaliści od uzbrojenia sceptycznie odnieśli się do tej informacji. Wtedy odważny krawiec zorganizował publiczny pokaz swego niezwykłego stroju.

Wypróbuj na sobie

Latem 1891 roku na przedmieściach Lwowa, w obecności licznie zgromadzonych mieszkańców miasta i dziennikarzy kilku gazet, Bogdan Pisarczuk zademonstrował swój pancerz, w który był ubrany... manekin. Proponował wszystkim chętnym wypróbować go na sobie przy strzałach z dowolnej broni... A gdy nie znalazł się żaden ochotnik, odważny krawiec sam założył swoje dzieło.

„Egzekucją” krawiec kierował osobiście. Pięciu „katów” – ochotników strzelało do Pisarczuka z bardzo dobrych austriackich karabinów, które z bliskiej odległości z łatwością przebijały grubą deskę dębową! W czasie pokazu, gdy niektóre panienki mdlały z wrażenia, „rozstrzeliwany” krawiec uśmiechał się tylko. Po oględzinach pancerza, okazało się że wszystkie kule ugrzęzły naprzeciwko serca, nie zadając żadnej szkody.

Potem zaczęto strzelać do konia, którego „ubrano” też w specjalny pancerz. Zwierzę reagowało spokojnie. Widoczne było, że nie odczuwa bólu, bo w czasie strzelaniny spokojnie szczypało trawę, tylko na dźwięk wystrzałów instynktownie się wzdrygało.

Ale poza pochwalnymi artykułami w lokalnej prasie, sprawa nie posunęła się. A po paru latach pewien krawiec z Monachium, Wilhelm Klaus, ogłosił, że wynalazł „kuloodporną marynarkę”. W odróżnieniu od lwowskiego kolegi, niemiecki krawiec demonstrował swój wynalazek w największych stolicach europejskich – Berlinie, Londynie, Paryżu.

Konstrukcja pozostała tajemnicą

W 1894 roku rząd Niemiec miał zamiar podpisać kontrakt z Klausem na produkcję tej ochrony, ale z niewiadomych przyczyn do tego nie doszło. Ani znawcom uzbrojenia, ani dziennikarzom nie udało się rozwiązać tajemnicy „kuloodpornej kamizelki”. Tajemnicą pozostał też los lwowskiego krawca. Z nielicznych wiadomości wiadomo, że obywatel wynalazcy wykorzystywał wiele warstw blachy, kartonu i tkaniny.

Jak jednak dokładnie tworzyli swe kamizelki krawcy-wynalazcy na zawsze pozostało tajemnicą.

Kącik liryczny

*dojrzały kłos
pachnący chlebem
koronuje lato*

*dożynkowym programem
wyrzeźbiony dzień
stroj się w kolory*

*styl wieńca znaczący
epokowy ślad
w nim
emblem nasycony
treścią*

*w oświetleniu drobniaczka
kształtów
igra idyllą*

*ziemia odpoczywa
w trzepotach ściemisk
w zwietrzałych brzdach*

a ludzie ważą wysiłek

Henryka Dederko
Czułczyce, Polska

List z Kołomyi

NIE ZAPOMNIJMY

Jedną z historycznych pamiątek miasta Kołomyi jest cmentarz rzymskokatolicki, który znajduje się w centrum miasta i liczy ponad 220 lat.

Bardzo ważnym miejscem dla członków naszego Towarzystwa Kultury Polskiej „Pokucie” i dla naszej młodzieży z Polskiej Szkoły Sobotniej im. Stanisława Vincenza jest ta największa nekropolia Polska na Pokuciu. A przecież przez wiele lat było to miejsce dla nas wstydlive. Chaszcze, pogruchotane pomniki, zwalone krzyże, splądrowane grobowce – taki był widok kołomyjskiego cmentarza. Mieliśmy świadomość własnych zaniedbań, ale nie mieliśmy dość sił i środków, by znaczące miejsce spoczynku Polaków, Niemców, Austriaków, Ukraińców i Rosjan wrócić do godnego stanu.

Nieoczekiwanie pomoc nadeszła z Polski.

Ponad 13 lat temu do Kołomyi przyjechała pani redaktor TV Wrocław Grażyna Orłowska-Sondej. Zobaczyła zdewastowane grobowce oraz kości leżące obok i obiecała, że dołoży wszelkich starań, by zabytek ten doprowadzić do należytego porządku. Byli tacy, którzy uważali, to za nierealne. Niektórzy mówili: „W Kołomyi nie ma Polaków, lecz małutkie korzonki”. A jednak udało się! Ilekroć pani Grażyna przyjeżdża na Ukrainę, zawsze jej droga wiedzie przez Kołomyję.

We Wrocławiu został powołany Komitet Odbudowy Cmentarza, zaś na Dolnym Śląsku na apel telewizji zaczęto zbierać pieniądze. Dzięki temu udało się uporządkować nagrobki, zamurować zniszczone krypty, uzupełnić ogrodzenie i zrekonstruować kutą bramę z orłem. W roku 2004 został otwarty odnowiony cmentarz w Kołomyi. Ma on powierzchnię 270x150 m. Jest tam ponad 1000 grobowców.

Ta współpraca trwa do dziś. Ponieważ dużo nagrobków trzeba jeszcze uporządkować. Pani redaktor corocznie organizuje wyjazdy grup harcerskich i wolontariuszy porządkujących polskie cmentarze. W 2012r z Wrocławia na Ukrainę przyjechały 32 takie grupy. Do Kołomyi przyjechały dwie grupy. Jedna z Wrocławia – pod kierownictwem Zbyszka Saganowskiego, 7 osób i grupa młodzieży z Krosna z panią Renatą – 15. osobowa. Pracowali od 9 po 18 lipca br. wspólnie z młodzieżą z polskiej szkoły oraz członkami Towarzystwa Kultury Polskiej „Pokucie”. Dużym ułatwie-



niez odrodzenie zainteresowania Polską w młodym pokoleniu. Po latach pełnych wahań i zwątpień wreszcie urosło w nas przekonanie o sile Towarzystwa i potrzebie naszej obecności tutaj. Dbając o polskie pamiątki, chcemy mieć poczucie spełnionego obowiązku wobec naszych przodków.

Nasz cmentarz budzi też pozytywne emocje z dala od Kołomyi: pozostaje w pamięci mieszkańców Dolnego Śląska, mających tu groby swoich bliskich. Każdego roku

niem w pracach była możliwość wykorzystania kosiarki zakupionej przez Andrzeja Zielińskiego.

Serdecznie podziękowanie panie prezesie!

Akcja porządkowania cmentarza, przywracania nienagrobionych śladów polskości na tych terenach, budziła w nas, niemłodych już ludziach, poczucie odnowienia związków z Ojczyzną. Ze wzruszeniem obserwujemy rów-

uczniowie szkół gimnazjalnych z Dolnego Śląska przekazują nam znicze. Dziękujemy dzieciom i nauczycielom za pamięć.

Chcemy by to miejsce przetrwało i byśmy mogli być z niego dumni.

„A JEŚLI BYM O NICH ZAPOMNIAŁ, TY BOŻE NA NIEBIE ZAPOMNIJ O MNIE”.

Gorące podziękowanie pani redaktor TV Wrocław Grażynie Orłowskiej-Sondej za uratowanie Polskiego cmentarza w Kołomyi od zniszczenia, a również za opiekę nad nekropolią w Żytomierzu, Drohobyczu, Kamionce Buskiej, Podhajcach, Brzeżanach i po całej Ukrainie.

Dziękuję również panu Rafałowi Lusini z Motocyklowego Stowarzyszenia pomocy Polakom za granicą Wschód-Zachód za pomoc w odnowieniu kaplicy na Polskim cmentarzu i pomnika zaginionym Polakom na Kosaczowie (pod Kołomyją).

STANISŁAWA PATKOWSKA-KOLUSENKO
prezes TKP „Pokucie”

REPERTUAR OPERY LWOWSKIEJ
sierpień–wrzesień

Piątek, 31 sierpnia **S. Hułak-Artemowski** opera „ZAPOROŻEC ZA DUNAJEM”, początek o godz. 18:00

Sobota, 1 września **D. Verdi** opera „NABUCCO”, początek o godz. 18:00

Niedziela, 2 września **M. Łysenko** opera „NATAŁKA POŁTAWKA”, początek o godz. 12:00

G. Rossini opera „CYRULIK SEWILSKI”

Czwartek, 6 września **G. Donizetti** opera komiczna „NAPÓJ MIŁOSNY”, początek o godz. 18:00

Piątek, 7 września **P. Hertel** balet „DAREMNA OSTROŻNOŚĆ”, początek o godz. 18:00

Sobota, 9 września **K. Dankiewicz** balet „LILEA”, początek o godz. 12:00

J. Mentus opera „SKRADZONE SZCZĘŚCIE”, początek o godz. 18:00

Czwartek, 13 września **G. Verdi** opera „TRAVIATA”, początek o godz. 18:00

Piątek, 14 września **R. Szchedrin** balet „CARMEN-SUITA”, początek o godz. 18:00

Sobota, 15 września **G. Puccini** opera „FLORIA TOSCA”, początek o 18:00

Niedziela 16 września **L. Delibes** balet „COPPELIA”, początek o godz. 12:00

F. Lehár operetka „WESOŁA WDÓWKA”, początek o godz. 18:00

Czwartek, 20 września **G. Bizet** opera „CARMEN”, początek o godz. 18:00

Piątek, 21 września **P. Czajkowski** balet „JEZIORO ŁABĘDZIE”, początek o godz. 18:00

Sobota, 22 września **G. Puccini** opera „MADAME BUTTERFLY”, początek o godz. 18:00

Niedziela, 23 września **E. Doseiko, M. Silwestrow, I. Striżek** opera „CZARODZIEJSKIE KRZESIWÓ”, początek o godz. 12:00

G. Puccini-M. Skoryk balet „POWRÓT BUTTERFLY”, początek o godz. 18:00

Czwartek, 27 września **H. B. Gluck** opera „ORFEUSZ I EURYDYKA”, początek o godz. 18:00

Piątek, 28 września **J. Strauss** opera „ZEMSTA NIETOPERZA”, początek o 18:00

Sobota, 29 września **R. Leoncavallo** opera „PAJACE”, początek o godz. 18:00

Niedziela, 30 września **S. Hułak-Artemowski** opera „ZAPOROŻEC ZA DUNAJEM”, początek o godz. 12:00

L. Minkus balet „DON KICHOT”, początek o godz. 18:00

Informacje:

tel.: 0-0380 (32) 235-65-86

www.opera.lviv.ua

Apartament do wynajęcia

Wynajmę apartament przy pl. Katedralnym we Lwowie (centrum). Jest to duży pokój (70 m²), z łazienką, kuchenką gazową, naczyniami kuchennymi, Internetem.

Kontakt: +380677842151, Marian

Poszukujemy pracowników

BCJ Konsalting, Oddział w Polsce pilnie poszukuje:

– górników – wiek do 45 lat, mile widziana znajomość języka polskiego

– **nauczyciela** języka polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego

Kontakt: +48717879815,

info@bcj-konsalting.eu lub: 0679028421



W dniu 29 sierpnia
2009 roku zmarła

Śp. DANUTA BARBARA ŁOMACZEWSKA

W III rocznicę Jej śmierci,
w dniu 29 sierpnia 2012 (środa), o godz. 18:00

w kościele Dzieciątka Jezus, ul. Czarnieckiego 15
w Warszawie

odbędzie się Msza święta w intencjach DANUTY, JULII, IRENY
i KONSTANTEGO ŁOMACZEWSKICH

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI RADIOWYCH NA UKRAINIE (czas audycji ukraiński)

Z ETERU

Radio Polonia (godz. 18:30)

- Lwów – Radio Niezależnist - 106,7 FM

- Winnica – Radio TAK – 103,7 FM

- Chmielnicki – Radio Podilla Center - 104,6 FM

- Równe - Radio Kraj – 68,2 FM

- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyla – 71,1 FM i 103,4 FM

Polskie Radio Lwów – w każdą sobotę od godz. 9:00 do godz. 13:00 oraz w niedzielę od godz. 19:15 do 20:15 na fali 106,7 FM (Radio Niezależnist)
Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słycać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie wszędzie).

Polskie Radio Warszawa I – na falach długich 225 kHz

RADIO PRZEZ INTERNET

Polskie Radio – www.polskieradio.pl

Lwowska Fala – autorska audycja Danuty Skalskiej jest nadawana w każdą niedzielę od godz. 9:10 na antenie Polskiego Radia Katowice – www.radio.katowice.pl. Powtórka audycji – w niedzielę o 00:00 w nocy

RMF FM – www.rmf.fm

Radio Zet – www.radiozet.pl

Radio Maryja – www.radiomaryja.pl

Radio Opole – audycje o Polakach na Ukrainie – www.radio.opole.pl

Radio Wnet – www.radiownet.pl

Polskie Radio Lwów – www.radio-n.com

RADIO PRZEZ SATELITĘ

Programy **Polskiego Radia** emitowane są w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, a także przez platformę cyfrową Cyfra+

LWOWSKA MIEJSKA DZIECIĘCO-MŁODZIEŻOWA SPOŁECZNA ORGANIZACJA POLSKI ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „LWOWIACY”

ZAPRASZA do Studium Tańców Polskich, założonego przy PZPiT „LWOWIACY”, dzieci i młodzież w grupach wiekowych 5–8 lat, 8–12 lat, 12–15 lat oraz do starszej grupy zespołu.

Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 we wtorki i czwartki, w godzinach od 18:00 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób zespołu lub na telefon: 0-677-982-315 bądź: 233-05-70, a także udzielamy fachowych rad w dziedzinie polskiego tańca i strojów ludowych.

prezes LMDMSO Stanisław Durys,
kierownik artystyczny PZPiT „Lwowiacy”

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

PIERWSZA STRONA ПЕРША СТОРІНКА

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

STRONY WEWNĘTRZNE ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
pełny kolor
повноколірний

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia również w prasie ukraińskiej
Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie

STRONY WEWNĘTRZNE ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
czarno-białe
чорно-білі

STRONA OSTATNIA ОСТАННЯ СТОРІНКА

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

Adresy placówek dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

01034 Kijów, ul. Jarosławiw Wał 12
tel.: +38 044 230 07 00
fax: +38 044 230 07 43
+38 044 270 63 36
e-mail:
kijow.amb.sekretariat@msz.gov.pl

Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie

01034 Kijów, ul. B. Chmielnickiego 60
tel.: +38 044 284 00 40
faks: +38 044 234 99 89
e-mail: kijow.amb.wk@msz.gov.pl

Wydział Promocji Handlu i Inwestycji przy Ambasadzie

01034 Kijów, ul. Wołodomyrska 45
tel.: +38 044 279 12 98, 279 18 31
+38 044 279 45 37, 279 33 40
fax: +38 044 278 11 40
e-mail: kiev@trade.gov.pl
http://www.kiev.trade.gov.pl/

Konsulat Generalny RP w Charkowie

61002 Charków, ul. Artioma 16
tel.: +38 057 75-78-801
faks: +38 057 75-78-804
e-mail: mailto:charkow.kg.sekreta-



riat@msz.gov.pl
http://www.charkowkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP we Lwowie

79011 Lwów, ul. Iwana Franki 108
tel.: +38 032 295 79 90
faks: +38 032 295 79 80
e-mail:
lwow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://lwowkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Łucku

43016 Łuck, ul. Dubniwska 22 b
tel.: +38 0332 280 640
faks: +38 0332 280 659
e-mail:

luck.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.luckkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Odessie

65014 Odessa, ul. Uspienska 2/1
tel.: +38 048 722 56 96
+38 048 722 60 03
fax: +38 048 722 77 01
e-mail:

odessa.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.odessakg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Sewastopolu

99003 Sewastopol, pl. Pirogowa 3
tel.: +38 0692 539 881
fax: +38 0692 539 885
e-mail:
sevastopol.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.sevastopol.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Winnicy

21050 Winnica, ul. Kozickiego 51 – VI p.
tel.: +38 0432 507-413,
inform.wizowa +38 0432 507-411,
ws. Karty Polaka +380432 507-412
fax: +38 0432 507-414
e-mail:
winnica.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.winnica.polemb.net/

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych
po Kresach w języku polskim

tel.: 0-0380679447843, 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511,
0-380504307007, 0-380509494445, 0-380987175971

Kurier Galicyjski

КУР'ЄР ГАЛИЦІЙСЬКИЙ

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwsk 76000,
абонентська скринька № 80
siedziba gazety:
Iwano-Frankiwsk 76002
ul. Iwasiuka 60,
Івано-Франківськ
вул. Івасюка 60
tel. redakcji w Stanisławowie:
+38 (0342) 71-38-66
tel./faks redakcji we Lwowie:
+38 (032) 261-00-54
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:
ПП Ровіцкі М.М.
Код ЄДРПОУ 1965816635
р/р 2600001244414 в Івано-
Франківськійському відділенні
ПАТ «КРЕДОБАНК»,
м. Івано-Франківськ
МФО 325365

Świadectwo rejestracji
Seria KW nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007
Свідоцтво про державну реєстра-

цію Серія KB № 12639-1523 P
від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:

Marcin Romer:
redaktor naczelny
e-mail: zgroduvery@wp.pl
Maria Basza:
zastępca red. naczelnego,
dział fotoreportażu oraz dział grafiki
komputerowej
e-mail: mariabasza@wp.pl
Konstanty Czawaga
e-mail: konstantyczawaga@wp.pl
Sabina Różycka
e-mail: pluglem@wp.pl
Krzysztof Szymański
e-mail: krzszymanski@wp.pl
dział informacji regionalnej
i reportażu
Julia Łokietko
julietta.stella@gmail.com
Natalia Kostyk
e-mail: nataliakostyk@wp.pl
administracja portalu
Jurij Smirnow:
dział kulturalno-historyczny.

Stale współpracują:
Eugeniusz Sało, Agnieszka Sa-
wicz, Beata Kost, Joanna Demcio,

Elżbieta Lewak, Eustachy Bielecki,
Szymon Kazimierski, Aleksander
Niewiński, Michał Piekarski, Irena
Kulesza, Piotr Janczarek, Tadeusz
Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek
Borzęcki, Renata Kłęczarska, Maciej
Dęboróg-Bylczyński, Wojciech Kry-
siński, Aleksander Szumański, Włod-
zimierz Osadczy, Taras Prochaśko,
Dorota Jaworska, Olga Ciwkacz,
Wojciech Grzelak, Zbigniew Klimec-
ki, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz
Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna
Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zu-
biński, Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów,
z którymi się nie zgadzamy!

Pismo wspierane przez Senat RP
za pośrednictwem Fundacji Pomoc
Polakom na Wschodzie.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam
redakcja nie ponosi odpowiedzialno-
ści, nie zamówionych rękopisów nie
zwraca i pozostawia sobie prawo do
skróćców.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода
Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780
Індекс передплати 98780
Газета виходить 2 рази
на місяць

Organizator

Konsulat Generalny
Rzeczypospolitej Polskiej
we Lwowie

Partner



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Złoty Sponsor

IdeaBank

ZAPRASZAJĄ DO KINA „KOPERNIK” ORAZ „KINOPALAĆCU” NA

PRZEGLĄD
NAJNOWSZYCH
FILMÓW
POLSKICH

POD WYSOKIM ZAMKIEM

21-30 WRZEŚNIA 2012 LWÓW

ПЕРЕГЛЯД
СУЧАСНОГО
ПОЛЬСЬКОГО
КІНО

ПІД ВИСОКИМ ЗАМКОМ

21-30 ВЕРЕСНЯ 2012 ЛЬВІВ

30 filmów fabularnych, krótkometrażowych
i animacji komputerowychFilmy nagradzane na festiwalach i konkursach filmowych
w Polsce i na świecie- m.in. „Róża”, „Młyn i krzyż”, „Sala samobójców”, „Wymyk”,
„Czarny czwartek”, „Różyczka” i „Uwikłanie”Najlepsza polska komedia romantyczna, przebój kasowy roku
2011 i 2012 – „Listy do M.”Pierwszy polski film zrealizowany w technologii 3D
- „1920 Bitwa Warszawska”Retrospektywa twórczości pochodzącego ze Lwowa,
wybitnego reżysera Janusza Majewskiego- „Zaklęte rewiry”, „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny”,
„Lekcja martwego języka”, „Po sezonie”
oraz „Mała matura 1947”Filmy krótkometrażowe, etiudy i najlepsze polskie animacje
komputerowe, w tym nominowana do Oscara
„Katedra” oraz przejmujące „Miasto ruin”

oraz wydarzenia towarzyszące, a wśród nich m.in.:

Spotkania z aktorami i reżyserami

- A. Seweryn, W. Zborowski, S. Bohosiewicz, R. Bugajski oraz
J. Majewski

Wykłady prof. B. Gierszewskiej (Kielce)

oraz prof. T. Lubelskiego (Kraków)

poświęcone przedwojennym tradycjom filmowym we Lwowie
oraz współczesnej kinematografii polskiej

Gra terenowa „Śladami dawnych lwowskich kin”

we współpracy z LKS Pogoń Lwów

Spektakl „Szekspir forever!”

w reżyserii i wykonaniu A. Seweryna

Blok filmowy „Lekcja historii w kinie”

we współpracy z historykami z IPN o/Warszawa

Wieczór z polską i światową muzyką filmową

Wystawa przedwojennego plakatu polskiego (m.in. filmowego)

Szczegółowe informacje w kolejnych numerach
„KURIERA GALICYJSKIEGO”
oraz na stronie PNFP www.filmlwow.eu

Sponsorzy

Mercedes-Benz

eurolot.com

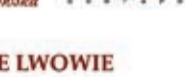
PZU Ukraina
Страховая групаГЕНЕРАЛЬНИЙ
ГАЛНАФОГАЗТарас
БатенкоDUNAPACK
UKRAINA
FACERACING

Współpraca

КІНОПАЛАЦ

KOPERNIK

Picasso



MUZEUM ETNOGRAFICZNE WE LWOWIE

Partnerzy medialni

zik

TVP

Kurier
Galicyjski

Тижень

Informacyjne
agencje

KULTURA

Lwiv Today

FILM

WASH

Lwiv Today

FILM

RADIO WNET

AWKSEN

Joy Radio

RADIO WNET

LWOW

This is UKRAINE

MIST

LьВІВ

Partnerzy medialni

pl.pogranicze.eu

DZIENNIK POLSKI

RADIO
OPOLE
twoje sprawy, twoja muzykaGalway
Reporter
INSTYTUT
POLSKI
KIJÓWNajnowszejHali
RADIO
106.7 FM
Polskie Radio LwówWIZYT.NET
RADIO
wnet
.pl

iUve.pl

BEЖA
www.vezha.org